



**Falszerz,
agentka
i konstruktor
bomby**

**ALEX
CAPUS**

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Rozdział pierwszy Rozdział drugi Rozdział trzeci
Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty Rozdział siódmy Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty Rozdział dziesiąty Rozdział jedenasty Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty Rozdział czternasty

**ALEX
CAPUS**

**Falszerz,
agentka
i konstruktor
bomby**

Z niemieckiego przełożył
Ryszard Wojnakowski

Tytuł oryginału
DER FÄLSCHER, DIE SPIONIN UND DER BOMBENBAUER

Wydawca
Grażyna Smosna

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Roman Honet

Korekta
Irena Kulczycka
Agnieszka Trzeszkowska

© Carl Hanser Verlag München 2013
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Ryszard Wojnakowski 2015
Tłumaczenie zostało dofinansowane przez fundację Pro Helvetia z Zurychu.

Świat Książki
Warszawa 2015

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Akces, Warszawa

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10

www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-200-5

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Emile Gilliéron
1885–1939

Laura d’Oriano
1911–1943

Felix Bloch
1905–1983

Rozdział pierwszy

Lubię tę dziewczynę. Podoba mi się wyobrazenie, że siedzi w otwartych drzwiach ostatniego wagonu Orient Expressu, a tymczasem obok niej przesuwają się połyskujące srebrzyście Jezioro Zuryskie. Może być początek listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku, który dzień dokładnie, nie wiem. Dziewczyna ma trzynaście lat i jest wysoką, chudą, trochę jeszcze kanciastą w ruchach osobką z niewielką, lecz już wyraźną pionową zmarszczką nad nosem, która pojawia się jako wyraz gniewu. Prawe kolano podciągnęła do piersi, lewa noga, zwisająca ze schodka, dynda w próżni. Dziewczyna opiera się o framugę drzwi i kołysze w rytmie wybijanym przez koła pociągu, jej blond włosy powiewają na wietrze. Przed chłodem chroni ją wełniany koc, którym zasłania piersi. Na tablicy z trasą pociągu widnieje napis „Constantinople – Paris”, powyżej błyszczą mosiężne litery i znak firmowy przedstawiający lwa Królestwa Belgii.

Zaciąga się dymem trzymany w prawej ręce papierosów, które na wietrze szybko się wypalają. Tam skąd pochodzi, palenie papierosów przez dzieci to nic niezwykłego. Między jednym a drugim papierosem podśpiewuje fragmenty orientalnych melodii – tureckie kołysanki, libańskie ballady, egipskie pieśni miłosne. Chce zostać śpiewaczką, tak jak jej matka, ale lepszą. Na scenie nigdy nie będzie pomagać sobie odsłanianiem dekoltów i łydek, jak robi to jej matka, nie będzie także nosić różowych boa ani nie weźmie sobie na towarzysza życia takiego typka jak jej ojciec, przed którym zawsze stoi na pianinie szklany kubek do mycia zębów pełen brandy i który za każdym razem, ilekroć matka pokazuje podwiązkę, mruga porozumiewawczo i gra glissando. Ona chce zostać prawdziwą artystką. Jej pierś rozsada wielkie, bezkresne uczucie, któremu pewnego dnia nada wyraz. Wie o tym z całą pewnością.

Na razie jej głos jest cienki i ochryply, zresztą wie o tym. Ledwo może siebie słuchać, kiedy siedzi na schodku wagonu i śpiewa. Wiatr zabiera z jej warg melodie i unosi w wirze powietrza za ostatnim wagonem.

Trzy dni temu razem z rodzicami i czworgiem rodzeństwa wsiadła w Konstantynopolu do wagonu drugiej klasy. Od tej pory spędziła dużo czasu w otwartych drzwiach pociągu. W środku przedziału z rodziną jest duszno i głośno, a na zewnątrz powietrze jest łagodne jak na tę porę roku. Podczas tych trzech dni na swoich schodkach chwyciła w nozdrza zapach bułgarskich winnic i widywała zające na pszenicznych ścierniskach Wojwodiny, machała szyprom na Dunaju, którzy odpowiadali jej sygnałami rogów mgłowych, a na przedmieściach Belgradu, Budapesztu, Bratysławy i Wiednia widziała poczerńiałe od sadzy kamienice

czynszowe ze słabo oświetlonymi oknami kuchennymi, w których zmęczeni ludzie siedzieli nad talerzami w samych podkoszulkach.

Kiedy wiatr znosił na prawo dym z lokomotywy parowej, siedziała w drzwiach po lewej, a kiedy zmieniał kierunek, przesiadała się na drugą stronę. Kiedy któryś z konduktorów ze względów bezpieczeństwa przeganiał ją do przedziału, udawała, że zamierza go posłuchać. Ledwo jednak odszedł, otwierała drzwi z powrotem i siadała na schodkach.

Trzeciego wieczora tuż przed Salzburgiem konduktorzy zaczęli chodzić od przedziału do przedziału i informować o zmianie trasy nieprzewidzianej w rozkładzie jazdy. Pociąg miał skrócić do Innsbrucka i objechać Niemcy od południa przez Tyrol i Szwajcarię; odkąd wojska belgijskie i francuskie wkroczyły do Zagłębia Ruhry, Orient Express praktycznie nie miał możliwości przejazdu zwyczajową trasą przez Monachium i Stuttgart. Dyżurni ruchu Deutsche Reichsbahn specjalnie mylili się przy przestawianiu zwrotnic albo nie dostarczali lokomotywie węgla i wody, a na dworcach policja kazała wszystkim pasażerom wysiadać i przeprowadzała całonocne kontrole dokumentów. Gdy w końcu pozwalano kontynuować podróż, na szynach przy wyjeździe z dworca stał często bezpieczny wagon bydłęcy albo ciężarówka z okrągłakami, których żaden człowiek w całej Rzeszy Niemieckiej nie miał prawa przestawić na boczny tor, dopóki nie przedłożono urzędowej zgody prawowitego właściciela. A ustalenie tego normalną drogą służbową mogło się okazać nad wyraz czasochłonne.

Po wjeździe do Tyrolu zrobiło się ciemno i chłodno, po obu stronach do samego nieba piętrzyły się ściany skalne, które zbliżały się groźnie do pociągu. Kiedy dziewczyna musiałaby położyć się na plecach, żeby móc oglądać gwiazdy na nocnym niebie, wróciła do przedziału i udała się na spoczynek w stęchłej, lecz bezpiecznej atmosferze rodziny. Jednak wcześniej rano, kiedy pociąg pokonał wreszcie szczyt przełęczy Arlberg i zaczął zjeżdżać w dół, wróciła ze swoim kocem na schodki i obserwowała, jak rozszerzają się doliny, a szczyty górskie cofają, o wschodzie słońca ustępując miejsca najpierw wioskom i strumieniom, potem miastom i rzekom, a w końcu jeziorom.

Rodzice od dawna przyzwyczaili się do uporu córki; już jako mała dziewczynka siadywała na zewnętrznych schodkach. Pierwszy raz pobiegła korytarzem do drzwi wagonu między Tikritem a Mosulem, żeby móc lepiej przyjrzeć się żurawiom nad brzegiem Tygrysu. Musiało to być podczas drugiego lub trzeciego bagdadzkiego tournée; w drodze powrotnej znowu usiadła na schodkach i nie dała się oderwać od widoku pól ryżowych, zaatakowanych przez zarazę moskitów pustych stepów i gór płonących czerwienią. Odtąd zawsze siedzi na swoich schodkach podczas przejazdu przez deltę Nilu z Aleksandrii do Kairu, tak samo jak w kolejce wąskotorowej w górach Libanu albo w drodze z Konstantynopola do Teheranu. Zawsze siedzi na schodkach, ogląda świat

i śpiewa. Od czasu do czasu pozwala, by ktoś z rodzeństwa posiedział przy niej chwilę. Ale potem znowu chce być sama.

W Kilchbergu uderza w jej nozdrza zapach czekolady, za plecami przesuwa się fabryka firmy Lindt & Sprüngli umieszczona w okazałym pałacu. Po jeziorze krąży parę żaglówek, w przystani cumuje parowiec kołowy. Poranne mgły już się ulotniły. Niebo jest bladoniebieskie. Łąki na przeciwległym brzegu, ponieważ ziemi nie ściała jeszcze mróz, są zbyt zielone jak na tę porę roku. Z oparów, które zasnuwają początek jeziora, wyłania się miasto. Tory zakreślają długi łuk i łączą się z czterema, ośmioma, dwudziestoma innymi ciągami szyn, które zbiegają się ze wszystkich kierunków, żeby na końcu poprowadzić do dworca głównego.

Bardzo możliwe, że podczas wjazdu do miasta dziewczynie rzucił się w oczy młody człowiek, który w listopadzie tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku często siadywał między szynami na rampie przeładunkowej, przy szarej niszczonej hali towarowej, żeby obserwować wjeżdżające i wyjeżdżające pociągi i rozmyślać nad swoim dalszym życiem. Wyobrażam sobie, jak mnie czapkę w dłoniach, kiedy Orient Express przejeżdża obok niego, i że wpada mu w oko dziewczyna w ostatnim wagonie, która przy sposobności lustruje go z zainteresowaniem.

Chłopak niezbyt pasuje do tej rampy i hali towarowej. W każdym razie nie jest manewrowym ani robotnikiem torowym, bagażowym też nie. Nosi pumpy i tweedową marynarkę, a jego buty błyszczą w jesiennym słońcu. Proporcjonalna twarz świadczy o tym, że miał beztroskie lub przynajmniej nieobfitujące w katastrofy dzieciństwo. Skórę ma gładką, oczy, nos, usta i podbródek są uporządkowane prostokątnie jak okna i drzwi w budynku. Brązowe włosy z akuratnym przedziałkiem. Może trochę zbyt akuratnym.

Dziewczyna widzi, że jego wzrok podąża za nią i że on na nią patrzy tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę. Mężczyźni tak na nią patrzą dopiero od niedawna. Zazwyczaj spostrzegają wtedy szybko, jaka jest jeszcze młoda, i odwracają się zażenowani. Ten wydaje się tego nie zauważać. Chłopak jej się podoba. Wygląda na silnego i zgodnego. I niegłupiego.

On podnosi dłoń w geście pozdrowienia, ona je odwzajemnia. Nie macha przy tym całą ręką jak dziewczyna ani pojedynczo każdym z pięciu palców jak kokota, tylko jakby niedbale unosi rękę. On uśmiecha się, ona odwzajemnia uśmiech.

Potem tracą się nawzajem z oczu i już nigdy się nie zobaczą, to dla dziewczyny jasne. Jest doświadczoną podróżniczką i wie, że zazwyczaj ludzie spotykają się tylko raz, ponieważ każda rozsądna podróż przebiega możliwie po linii prostej od punktu wyjścia do celu, a dwie proste według praw geometrii nie przecinają się dwukrotnie. Ponowne spotkania zdarzają się jedynie między mieszkańcami wiosek, dolin i wysp, którzy przez całe życie chodzą tymi samymi

ścieżkami i dlatego wciąż wpadają na siebie.

Młody człowiek na rampie przeładunkowej nie jest wprawdzie mieszkańcem wioski ani wyspy, bo urodził i wychował się w Zurychu i jest znakomicie obeznany ze ścieżkami miasta, ale chętnie zobaczyłby znowu tę dziwną dziewczynę w otwartych drzwiach. Jeśli wysiądzie w Zurychu, to jeszcze ją zobaczy, jest tego pewien. A jeśli nie, to nie.

Ma dziewiętnaście lat, przed czterema miesiącami zdał maturę. Teraz musi się zdecydować na jakieś studia. Czas nagli, semestr już się zaczął. Nazajutrz o jedenastej upływa termin immatrykulacji.

Ojciec chciałby, żeby studiował budowę maszyn lub inżynierię. ETH, czyli Politechnika Federalna w Zurychu, ma wyśmienitą reputację, a na skraju miasta stoją najlepsze zakłady przemysłowe świata. Brown i Boveri w Baden budują najlepsze turbiny na świecie, Sulzer w Winterthurze konstruuje najlepsze maszyny tkackie i silniki dieslowskie, fabryka maszyn w Oerlikonie najlepsze lokomotywy. Idź na budowę maszyn, mówi ojciec, jako technik będziesz miał zapewnioną beztruską przyszłość.

Sam ojciec nie jest technikiem, tylko handluje zbożem. Handel zbożem z Europą Wschodnią to już przeszłość, mówi ojciec, możesz o nim zapomnieć. Granice są szczelne, cła wysokie, a bolszewicy mają nie po kolei w głowie, z nimi nie da się robić interesów. Zboże było dobre dla twojego dziadka, który się na nim dorobił. Pszenica z Ukrainy, ziemniaki z Rosji, na poprawę humoru trochę węgierskiego czerwonego wina i bośniackich suszonych fig. Wtedy to były dobre czasy, kolej żelazna była już zbudowana, a nacjonalizm nie odgrywał jeszcze takiej roli i będąc Żydem, dało się od biedy żyć pod panowaniem rozpadających się imperiów. Szkoda, że nigdy nie widziałeś naszego domu w Pilźnie. Twój dziadek wierzył jeszcze w handel zbożem, dlatego posłał mnie tu do Zurychu. Posłuchałem go, przyjechałem i zostałem obywatelem szwajcarskim, ale już wtedy nie wierzyłem w ten handel. Teraz jestem tutaj i ciągnę ten wózek dalej, jak długo się da. Dla mnie i twojej matki na pewno jeszcze wystarczy.

Ale ciebie, mój synu, ukraińskie zboże już nie wyżywi i dlatego radzę ci: idź na budowę maszyn. Dzisiaj wszystko robią maszyny. Maszyny wysiewają, zbierają i mielą zboże, maszyny pieką chleb, maszyny zajmują się ubojem naszego bydła i maszyny budują domy. Muzyka wydobywa się z automatów, zbudowanych z kolei przez inne automaty, a obrazów nie robi już malarz, lecz aparat fotograficzny. Tylko patrzeć, a będziemy potrzebowali aparatów także do miłości i mieć czyste, bezszelestne maszyny do umierania; także usuwaniem po cichu trupów zajmą się dyskretne urządzenia i nie będziemy już czcić Pana Boga, ale maszynę lub nazwisko jej producenta, a Mesjasz, który przyniesie światu pokój i odbuduje świątynię w Jerozolimie, nie będzie synem plemienia Judy, tylko maszyną albo jej konstruktorem. Świat stał się jedną wielką maszyną, mój synu,

dlatego radzę ci: idź na ETH i rób budowę maszyn.

Syn słucha i kiwa głową, gdyż jest grzecznym synem, który okazuje ojcu należny respekt. W duchu myśli sobie jednak: Nie, nie będę robił budowy maszyn. Znam tę maszynę. Wolę już w życiu nic nie robić niż służyć jej pomocą. Jeśli cokolwiek będę robił, to będzie to coś zupełnie niepotrzebnego, bezużytecznego, coś, czego maszyna absolutnie nie będzie mogła sobie podporządkować.

Chłopak obserwował z daleka siejącą spustoszenie maszynę przez pół dzieciństwa i młodość. Nie miał jeszcze dziewięciu lat, gdy ojciec przy śniadaniu podał mu nad stołem „Neue Zürcher Zeitung” z nagłówkiem z Sarajewa, i od tego czasu czytał codziennie wiadomości znad Mozy, Marny i Sommy. Sprawdził w atlasie, gdzie leżą Ypres, Verdun i Chemin des Dames, powiesił w swoim pokoju nad łóżkiem mapę Europy i wbijał w nią szpilki, a w zeszytach w kratkę prowadził statystyki, sumując zabitych najpierw w tysiącach, potem w setkach tysięcy, na końcu zaś w milionach. Nigdy jednak nie udało mu się odkryć sensu w tych wszystkich zabójstwach. Ani nawet logiki. Ani przekonującej przyczyny. Ani choćby porządnego powodu.

Żeby się pocieszyć, grał godzinami na pianinie w salonie rodziców. Nie był szczególnie uzdolnionym uczniem. Niemniej kiedy palce stały się posłuszne, szczególnie polubił *Wariacje Goldbergowskie* Bacha, których spokojna, niezawodna i przewidywalna mechanika przywodziła mu na myśl galaktyczny balet planet, słońce i księżyców.

Był samotnym dzieckiem, jak relacjonował dziesiątki lat później w spisanych ręcznie wspomnieniach. W szkole podstawowej dręczyli go koledzy, ponieważ mówił dialektem szwajcarskim z czeskim akcentem, a nauczyciel wciąż przypominał klasie, że Felix należy do złej, obcej rasy.

Jego opiekunką i najbliższą powierniczką była starsza o trzy lata siostra Clara. Kiedy zmarła w drugim roku wojny, bo prawą stopą nastąpiła na zardzewiały gwóźdź, pogrzyżył się na lata w bezdennej melancholii. Wprawdzie lekarze uzbrojeni w swoją wiedzę z początków dwudziestego wieku potrafili dość dokładnie wyjaśnić, co się działo w ciele Clary – zakażenie bakteryjne, sepsa, w końcu zapaść – lecz ich sztuka nie знаła jeszcze terapii, która mogłaby zapobiec jej bezsensownej i banalnej śmierci w wielkich mękach. W następnych miesiącach znacznie obniżył swoje wyniki w nauce w gimnazjum. Dlaczego miałyby się wysilać na lekcjach biologii i chemii, jeśli nauka w decydującym momencie okazała się bezużyteczna? Po co miałyby się w ogóle uczyć czegoś, jeśli wiedza była nieprzydatna?

Przyjemność sprawiały mu jedynie lekcje matematyki ze sprawdzalnymi, pozbawionymi bezpośredniego zastosowania grammi umysłowymi. Równania z wieloma niewiadomymi, trygonometria, badanie krzywych. Dla młodzieńca było wręcz objawieniem, że w świecie, który się rozpadł, istnieje coś tak klarownego

i pięknego jak wzajemne relacje liczb między sobą. Podczas ferii jesiennych w październiku tysiąc dziewięćset siedemnastego roku spędził cały tydzień na wyliczeniu długości jednego dnia, używając do tego celu następujących danych: prędkość obrotowa Ziemi, kąt nachylenia jej osi względem Słońca oraz szerokość geograficzna Zurychu. Następnego dnia zmierzył zegarkiem kieszonkowym czas od wschodu do zachodu słońca i nie posiadał się ze szczęścia, gdy pomiar zgodził się z jego wyliczeniami. Stwierdzenie, że zrealizowana przez niego myśl – w postaci trygonometrycznego obliczenia – ma coś wspólnego z rzeczywistym światem, a nawet jest z nim zgodna, napełniło go przecuciem harmonii między duchem a materią, które miało go już nie opuścić do końca życia.

W latach wojny młodzieńca najbardziej wytrącało z równowagi to, że jego gazetowa wiedza o świecie pozostaje w jaskrawej sprzeczności z codziennym doświadczeniem empirycznym. Kiedy patrzył przez okno swojego pokoju przy Seehofstrasse, nie widział w dole fizyliarów biegnących przykopami ani zabitych koni leżących w lejach po bombach, ale dobrze odżywione służące, które niosły do domu torby pełne zakupów, i rumianolice dzieci bawiące się na bruku szklanymi kulkami. Widział taksówkarzy, którzy stali w grupce, paląc papierosy i czekając na klientów z Opery, i widział drzemiących dorożkarzy na koźle przed zadami drzemiących koni oraz chodzącego od drzwi do drzwi wędrownego szlifierza. Na Seehofstrasse panował taki spokój, że nie pokazywała się tu nawet policja. Ta spokojna ulica położona była w sercu spokojnego miasta, które z kolei leżało w sercu niewyobrażalnie spokojnego kraju. A rolnicy tego kraju, postępując za pługiem, odkładali skiby w odziedziczonej po przodkach ziemi aż po horyzont, za którym odbywała się wielka europejska ludzka rzeź. Ale tylko w wyjątkowo cichej nocy zza Renu i Schwarzwaldy słychać było pomruk działań na froncie niemiecko-francuskim.

Pomruk ten prześladował go przy zasypianiu, a we śnie przeradzał się w ogłuszający ryk. We śnie brodził w potokach krwi płynących po poszarpanej wybuchami ziemi, a po przebudzeniu podczas śniadania czytał w „Morgenblatt” z bezradnym przerażeniem, jak wojenna maszyna przeoruje kontynent i przywłaszcza sobie wszystko pod słońcem, co w jakikolwiek sposób może jej się przydać. Połykała mnichów i wypluwała ich z powrotem jako kapelanów polowych, z psów pasterskich robiła kundły szwendające się przy grobach, z pionierów lotnictwa – pilotów bojowych, ze strażników łowieckich – snajperów, z pianistów – muzyków orkiestr wojskowych, z pediatrów – rzeźników skierowanych do służby w lazaretach, z filozofów – podżegaczy wojennych, a z poetów przyrody – piewców krwawych jatek. Dzwony kościelne przetopiono na armaty, a soczewki lornetek operowych wmontowano w celowniki optyczne, statki wycieczkowe przerobiono na transportowce, psalmy na hymny narodowe. Krosna w Winterthurze nie tkwały już jedwabiu, lecz drelich na mundury, a turbiny w Baden

nie wytwarzały prądu na oświetlenie bożonarodzeniowe, ale do lokomotyw elektrycznych z Oerlikonu, które nie przewoziły już turystów do Engadyny, tylko węgiel i stal do wielkich pieców i odlewni elementów uzbrojenia.

Po tysiącu pięciuset dniach, tuż przed trzynastymi urodzinami Felixa Blocha, maszyna z braku paliwa zaczęła się krztusić i niechętnie, ale się zatrzymała. Od tej pory zachowywała się w miarę spokojnie, to prawda, już jednak powarkuje; niebawem znów będzie szarpać i zrzytać, i prędzej czy później jej koła zamachowe zaczną się na nowo obracać, a jej zęby rozdrabniające wbijać się z powrotem w krajobrazy i ciała oraz dusze ludzi.

Możliwe, że maszyny nie da się już zatrzymać, mówi do siebie młody człowiek, ale mnie ona nie dopadnie. Ja nie przyłożę ręki, nie będę studiował budowy maszyn. Będę robił coś całkowicie bezużytecznego. Coś pięknego i niepotrzebnego, czego maszyna na pewno nie zdoła sobie przywłaszczyć. Coś takiego jak *Wariacje Goldbergowskie*. Na pewno coś się znajdzie. W każdym razie nie pójdę na ETH. Nie będę robił budowy maszyn, choćby ojciec zdarł sobie gardło. Prędzej zostanę woźnicą w browarze.

Hardo odpycha się od ściany, zdecydowany na rebelię zeskakuje z rampy przeładunkowej. Ale zanim wyląduje na szutrze, traci odwagę i opuszcza go zdecydowanie, a kiedy stawia pierwsze kroki na chybottliwych płytach dróżki, która prowadzi między torami do hali dworcowej, cicho, lecz niepowstrzymanie niczym gorzki bąbel szampana z wnętrzości przez serce wstępuje do jego głowy przeświadczenie, że jak najbardziej pójdzie na ETH i będzie studiował budowę maszyn – bo po pierwsze nie zniósłby zerwania z ojcem, po drugie z matematyki, fizyki i chemii ma najlepsze oceny, a po trzecie za żadne skarby świata nie przychodzi mu do głowy, co innego mógłby począć ze swoim jednostronnym talentem oprócz studiowania budowy maszyn na ETH.

Między torami pojawia się sygnał pozwalający pociągowi pośpieszemu do Genewy na wyjazd z hali dworcowej. W jeden z owych pierwszych dni listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku – czy rzeczywiście tego samego dnia, nie da się powiedzieć z całkowitą pewnością – w przedziale pierwszej klasy siedzi artysta malarz Emile Gilliéron. Przyjechał w interesach z Grecji, przez Triest i Innsbruck, do Geislingen pod Ulm, gdzie złożył zlecenie w Wirtemberskiej Fabryce Wyrobów Metalowych. W drodze powrotnej zamierza zrobić wypad nad Jezioro Genewskie, żeby pochować w ojczyściej ziemi prochy ojca, który tuż przed siedemdziesiątymi trzecimi urodzinami osunął się martwy pod stół podczas popijawy w pewnej ateńskiej restauracji.

Ojciec również nazywał się Emile Gilliéron, również był artystą malarzem w Grecji, a ponadto sławnym człowiekiem. Jako rysownik towarzyszył Heinrichowi Schliemannowi podczas wykopalisk na terenie dawnej Troi i Myken i zaprojektował serię znaczków dla poczty greckiej, pracował także jako nauczyciel

rysunku dzieci z greckiej rodziny królewskiej i zbudował okazały dom mieszkalny ze wspaniałym widokiem na Akropol, a także wychował syna na bardzo przydatnego partnera w interesach. Dlatego w rodzinie było wielkie zaskoczenie, kiedy po otwarciu testamentu wyszły na jaw tylko długie i okazało się, że Gilliéronowie żyli wprawdzie na wysokiej stopie, lecz nieustannie z dnia na dzień.

W dodatkowy kłopot wpędziło rodzinę nieboszczyka wyrażone w testamencie życzenie, że ten pragnie być pochowany w dawnej ojczyźnie nad Jeziorem Genewskim; oficjalna legalna repatriacja zwłok przez granice trzech lub czterech państw wiązałaby się bowiem z poważnymi kosztami i zabiegami administracyjnymi, na które mógłby sobie pozwolić co najwyżej papież, król angielski bądź amerykański magnat z branży kolejowej. W pewnej mierze dałoby się wykonać tylko potajemny transport po uprzednim spopieleniu zwłok. Wprawdzie w ortodoksyjnej Grecji kremacje były zabronione pod groźbą surowej kary, lecz w ateńskiej dzielnicy placówek dyplomatycznych działały przedsiębiorstwa pogrzebowe wyspecjalizowane w obsłudze zagranicznych klientów. Za dodatkową opłatą w dniu pogrzebu przynoszono popowi na cmentarz obciążoną workami z piaskiem, lecz pozbawioną nieboszczyka trumnę, a zwłoki po kryjomu przewożono do konspiracyjnego krematorium.

Emile Gilliéron oświadczył kategorycznie, że nie życzy sobie informacji o dokładnym przebiegu tej usługi, nie chciał wiedzieć, który piekarz, garniarz lub ślusarz udostępni w nocy swój piec, zanim następnego ranka znów będzie w tym samym piecu wypiekał bułki lub wypalał dzbany na wodę. Dopiero podczas rejsu z Pireusu do Triestu statkiem pocztowym firmy Lloyd Triestino przyszło mu na myśl, że nigdy nie będzie wiedział na pewno, czy jego ojciec został skremowany, czy rzucony rekinom na pożarcie i czy skrzynka po cygarach w jego walizce nie mieści popiołów obcej osoby bądź utłuczonych na mączkę kości ulicznego kundla.

Emile Gilliéron junior jest przystojnym mężczyzną w najlepszym wieku. Jego twarz wyróżnia się w dalszym ciągu młodzieńczo ostrym rysunkiem i złocistobrązową cerą, którą zawdzięcza latom spędzonym z ojcem na wykopaliskach w Knossos, a jego oczy płoną tak samo jak oczy jego włoskiej matki Josephine, która przez całe życie prześladowała ich obu swoją zazdrosną tkliwością. Włosy na głowie i zawadiacko podkreślane wąsy są trochę zbyt czarne, żeby to był ich całkowicie naturalny kolor, nos jest zaróżowiony od wypijanej codziennie butelki armaniaku, a w kącikach ust spoczywa cień goryczy i zawiedzionej ambicji. W Atenach czeka na niego żona Ernesta, która w wolnym czasie na tarasie ich domu maluje uroczne obrazy olejne z zawsze tym samym widokiem Akropolu, oraz jego pierworodny syn, który nosi imię Alfred i ma cztery lata.

Rozdział drugi

Można by mówić o przypadku, gdyby Emile Gilliéron, wyjeżdżając z zuryskiego dworca głównego, dostrzegł dziewczynę i chłopaka, ale ja sobie tego życzę. Życzę sobie, żeby zasiedział się w dworcowym bufecie i musiał biec do pociągu, żeby spocony i zdyszany zdjął płaszcz i kapelusz i wcisnął walizkę do siatki bagażowej, kiedy pociąg, powoli przyśpieszając, będzie opuszczał dworzec.

Życzę sobie, żeby Emile Gilliéron opadł na miękkie siedzenie i z trudem łapiąc oddech, zaczął wyglądać przez okno po prawej, za którym w pewnej odległości przejeżdża w przeciwnym kierunku granatowy pociąg. W oknach pociągu widać podróżnych, którzy przygotowują się do wysiadania i tłoczą do wyjścia w bocznych korytarzach. Drzwi są jeszcze zamknięte, tylko na schodkach ostatniego wagonu siedzi jakiś blond podłotek i ziewa, otwierając szeroko usta. Osobliwy widok o tej porze roku, myśli Emile Gilliéron, jeszcze głuptaska się zabije, przebywając na zewnątrz wagonu. Pewnie pokłóciła się z rodzicami i teraz nie chce wracać do ciepłego przedziału. Uważa rodziców za pawiany albo ropuchy, siebie natomiast za koronę stworzenia. Świetlista postać przynajmniej jedną ręką powinna trzymać się uchwyty, w przeciwnym razie szybko może się skończyć to młodzieńcze pozowanie na przynależność do grona wybranych. A przy ziewaniu mogłaby zasłaniać usta ręką, na pewno wyglądałoby to sympatyczniej.

Ciemnoniebieski pociąg znika po prawej stronie z pola widzenia, w oknie po lewej odsłania się widok na magazyny towarów, na których tle młody chłopak podąża bez pośpiechu dróżką między torami. Jeszcze jeden taki typek, myśli Gilliéron. Facet wygląda na kogoś, kto chce się rzucić pod pociąg, bo jest zbyt dobry dla tego świata. Albo zbyt zły. Dziwna sprawa, że młodzi, ładni i zdrowi ludzie muszą się rzucać pod pociągi. Pod mój pociąg, dzięki Bogu, nie zdąży, jest za daleko. Za każdym razem po takim wypadku sprzątanie wszystkiego zajmuje wiele godzin, zanim wreszcie można jechać dalej.

Wchodzi konduktor i sprawdza bilety. Emile Gilliéron zapala jeden z egipskich papierosów ze złotym drukowanym monogramem, po czym opiera się wygodnie i obserwuje przez okno kraj swoich przodków, którego wręcz miniaturowy wdzięk fascynuje go na nowo podczas każdych odwiedzin. Pociąg mija uroczy mały browar, śliczny mały młyn zbożowy oraz lśniąca stalowe kule gazowni, potem podąża z biegiem wdzięcznie meandrującej rzeczki ku odnogom łagodnych zalesionych gór. Od czasu do czasu zatrzymuje się na miniaturowych dworcach, które należą do czyściutkich, jakkolwiek posępnych miasteczek otoczonych murami, za którymi żyją ludzie, bardzo pracowici i uprzejmi, ale

w niezbyt dobrych humorach. I niezbyt dobrze ubrani.

Między dwoma miasteczkami pociąg przejeżdża obok wapiennych słupów średniowiecznej szubienicy, widocznej już z daleka na skraju lasu z racji śnieżnobiałego koloru, jakby jeszcze wczoraj zawisł tam na stryczku ostatni nieszczęśnik. Poza tym nie zdarza się to nigdzie na świecie, myśli Gilliéron, żeby jakiś naród wysyłał kata do diabła, ale zostawiał szafot; co to muszą być za ludzie, którzy przez stulecia nie tylko nie burzą miejsc straceń przewycięzonego feudalizmu, lecz co więcej, pucują je i konserwują. Mali ludzie w małym kraju z małymi ideami, którzy budują małe miasta, małe dworce i niewyobrażalnie punktualne koleje. Nawet szubienica jest mała. Otarłbym sobie kolana do krwi, gdyby mnie na niej powieszono.

W ósmym miasteczku Gilliéron musi się przesiąść, potem trasa podróży biegnie wzdłuż małego jeziora do następnego małego jeziora, po czym przez pasmo wzgórz pokrytych zimowo nagimi kartofliskami i przez śmiesznie drobno rozparcelowane winnice, które połyskują złociście jeszcze długo po zachodzie słońca. Na południu wznosi się potężny biały i niewzruszony masyw Mont Blanc, najwyższy szczyt Europy. Wreszcie coś większego w tym kraju, myśli Gilliéron, przy czym wiadomo mu, że Mont Blanc, ściśle biorąc, znajduje się we Francji, natomiast Szwajcaria zadowala się jego widokiem. Z punktu widzenia ekonomicznego to mądre rozstrzygnięcie. Z daleka taki szczyt przedstawia piękny widok, a idylla pocztówkowa przynosi dobre pieniądze na rynku turystycznym. Z bliska natomiast jest on tylko niebezpiecznym i kosztownym gołoborzem.

W Lozannie Gilliéron przesiada się do kolejki regionalnej. Pół godziny później dociera do wschodniego krańca Jeziora Genewskiego, do miejsca narodzin jego ojca i celu swojej podróży.

Dworzec w Villeneuve spoczywa w ciemnościach. Na peronie nie widać nikogo, w budynku stacji nie pali się światło. Kasa biletowa jest zamknięta, w drzwiach poczekalni leżą suche liście. Taksówki ani dorożki nie uświadczą, a tym bardziej bagażowego. Plac dworcowy okalają łyse płatany, na mokrych kocich łbach gołębie dziobią rozjechane końskie łajno. Za dworcem widać czarne kontury Alp Waatlandzkich, przed nimi na niewielkim wzniesieniu stoi hotel Byron, który od stu lat daremnie czeka na zamożnych Anglików i jak dotąd wpędzał w ruinę każdego właściciela.

Emile Gilliéron stawia walizkę na ziemi i wciąga w nozdrza powietrze. Faktycznie czuć zapach zgnilizny – słodki, odurzający bagienny zapach delty Rodanu, na który ojciec potrafił niezmordowanie psioczyć, jakby go miał w nozdrzach jeszcze po dziesięcioleciach greckiej emigracji. Według niego złe powietrze w Villeneuve w przypadku dłuższej inhalacji prowadziło do suchot i głuptactwa, jak również do krzywicy i próchnicy zębów, podobnie do alkoholizmu, półpaśca, epilepsji i rozmaitych form kobiecej hysterii. Tę mnogą

toksyczność tłumaczył tym, że bagienny zapach to nic innego jak smród rozkładu obumarłych organizmów, które przez całe życie miały czas, by zgromadzić zarazki wszelkich możliwych chorób. Niemniej człowiek, co ciekawe, kiedy trafia na trzęsawisko, nie dostępuje łaski tego rozkładu, ponieważ właśnie nie pozostaje na bogatej w tlen powierzchni, lecz dosyć szybko zapada się na głębokość trzech do czterech metrów, gdzie ciężar właściwy jego ciała odpowiada ciężarowi otaczającego go bagna, i o ile jeszcze nie umarł, dusi się tam i w stabilnym stanie zawieszenia, hermetycznie opakowany i łagodnie wygarbowany w kwasie bagiennym, przez tysiąclecia zachowuje cielesną świeżość, o jakiej faraoni w suchym piasku Egiptu pomimo całej swojej sztuki balsamicznej mogli tylko pomarzyć. Dlatego z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że w bagnach Villeneuve leżały zgodnie obok siebie setki, jeśli nie tysiące zachowanych jak żywe zwłok, które nigdy nie mogłyby się spotkać w świetle słońca – celtyccy rybacy obok burgundzkich rycerzy krzyżowych, rzymscy legioniści obok niemieckich pielgrzymów w drodze do Rzymu, mauretańscy odkrywcy obok weneckich kupców korzennych i alemańskich pasterczek – przy czym jedni utopili się w bagnie ze zgryzoty miłosnej, inni w gorączce myśliwskiej, a jeszcze inni po pijanemu, z głupoty lub ze skąpstwa, bo nie chcieli płacić myta hrabiemu Chillon; i gdzieś musiało również leżeć, jakby tylko spali, stu dwudziestu siedmiu Żydów z Villeneuve, których w tysiąc trzysta czterdziestym ósmym roku podczas epidemii zarazy mieszkańcy zmasakrowali i utopili w bagnach pod zarzutem zatrucia studni.

Ach, ci mieszkańcy Villeneuve.

Ojciec spędził z nimi całe dzieciństwo i młodość i choć żył potem na emigracji pół wieku, to jednak pozostał jednym z nich. Może uciekł jako młody człowiek z Villeneuve tylko dlatego, żeby móc pozostać jednym z nich, a nie dać się im ostatecznie odepchnąć.

Mieszkańcy Villeneuve byli rybakami, rolnikami i woźnicami, pracowitymi protestantami i posłusznymi poddanymi, którzy znali swoje miejsce w ustalonym porządku. Każdy syn rybaka wiedział, że przez całe życie będzie wypływał na jezioro, a każdy syn rolnika – że po kres swoich dni będzie uprawiał odziedziczoną po przodkach ziemię; było to tak oczywiste, że nikt nie musiał się nad tym zastanawiać. Pobierano się w wieku dwudziestu paru lat, umierano około pięćdziesiątki, pierworodnemu synowi dawano imię ojca, o wpół do dziesiątej gaszono światła, we środy współżyło się z żoną, a w piątki jadło rybę. W niedziele chodziło się na mszę i nosiło czarny kaftan. W żadnym wypadku szary, a tym bardziej niebieski.

Naturalnie także w Villeneuve zawsze było paru żółtodziobów, którzy nosili niebieskie kaftany, żeby podobać się dziewczętom, jak również sfera szczeniaków, którzy włóczyli się po mieście i marzyli o tym, żeby zostawić za sobą Villeneuve

i przez Wielką Przełęcz Świętego Bernarda dać nogę do Włoch. Mieszkańcy mieli zrozumienie dla tych tęsknot, gdyż sami też niegdyś byli młodzi. Tak samo jasne było jednak, że żarty kiedyś muszą się skończyć: najpóźniej po dwudziestych urodzinach następował kres wieku ochronnego dla szczeniaków. Dla kogoś, kto również później nosił niebieski kaftan, chyba faktycznie lepiej było wynieść się przez Wielką Przełęcz Świętego Bernarda.

Ach, ci mieszkańcy Villeneuve. Choć ojciec potrafił godzinami psioczyć na bagna, to zawsze łagodnie gładził swoją siwą szpicbródkę, kiedy rozmowa schodziła na mieszkańców Villeneuve. Syn wcześniej zrozumiał, że ojciec musiał tak namiętnie nienawidzić bagien tylko dlatego, że pragnął nadal kochać mieszkańców.

Emile Gilliéron podnosi z ziemi walizkę, przecina plac dworcowy i skręca w ciemną jak noc Grande rue ze średniowiecznymi budynkami z muru pruskiego po obydwu stronach. We wszystkich oknach jest ciemno, a przecież nie ma jeszcze nawet dziesiątej. Po prawej apteka, po lewej piekarnia, po prawej rzeźnik, po lewej Hotel de l'Aigle. Tam można podobno zjeść całkiem dobrze, ale okna są już ciemne. W jednej z bocznych uliczek rybak rozwiesił sieć do wysuszenia, w następnej kupa gnoju zdradza zapachem małe zwierzęta hodowane w gospodarstwie domowym.

Przed kościołem pluska woda w samotnej dużej studni. To przy niej musi się znajdować koryto, o którym opowiadał ojciec. Przez wiele wieków kobiety z Villeneuve prały w tym korycie, nie zwracając uwagi na to, że w jednym rogu podpira je podejrzanie okrągła kolumna z napisem „XXVI”. Pewnego dnia zajrzał do Villeneuve kantonalny architekt z Lozanny, który wyjaśnił mieszkańcom, że mają pod swoim korytem liczący dwa tysiące lat kamień milowy starorzymskiego traktu wojskowego i że liczba dwadzieścia sześć podaje odległość w milach rzymskich od miasta garnizonowego Martigny. Na to mieszkańcy statecznie pokiwali głowami, przechyliwszy je w bok, przyjrzeni się z aprobatą swojemu rzymskiemu kamieniowi, a niektórzy mruknęli „tiens donc” i „sacré Romains” albo „ça, par exemple”. Kiedy jednak kantonalny archeolog poprosił mieszkańców, żeby zabezpieczyli świadectwo przeszłości przed niepogodą i mydlinami i postawili w kościele do dyspozycji potomności, przekornie wsadzili ręce w kieszenie i wysunęli dolne wargi, ponieważ do tej pracy trzeba by było wezwać kamieniarza z Vevey i zapłacić mu co najmniej dwieście pięćdziesiąt rappenów, a posłuchali go dopiero wtedy, gdy archeolog odliczył na koryto owe dwieście pięćdziesiąt rappenów i dołożył jeszcze sto pięćdziesiąt.

Wydarzyło się to w połowie dziewiętnastego wieku, kiedy ojciec Emile'a Gilliérona dorastał w Villeneuve jako jedyny syn wiejskiego nauczyciela i zupełnie zwyczajny wiejski chłopak niewyróżniający się niczym szczególnym. Był średniego wzrostu, jego siła fizyczna ani brązowy kolor włosów nie odbiegały od

przeciętnej i nie miał żadnych wybitnych właściwości lub zauważalnych talentów oprócz jednego: potrafił niewiarygodnie dobrze rysować – niewiarygodnie wyraźnie, niewiarygodnie sugestywnie i z niewiarygodną, wprost fotograficzną precyzją i wyobraźnią. Nie odebrał specjalnego wykształcenia, nikt go nie zachęcał ani nie zmuszał do ćwiczeń, nie robił tego nawet zbyt chętnie – po prostu to potrafił. A ponieważ Villeneuve miało do zaoferowania młodym ludziom mało rozrywek, więc rysował bez przerwy. Już jako siedmiolatek szybkimi pociągnięciami kreślił węglem zdumiewające portrety kolegów na asfalcie pokrywającym podwórze szkolne, w niedziele zaś z pudełkiem akwarel chodził do portu i malował na papierze statki i nadbrzeżne wierzby, i zaśnieżone góry z taką lekkością, że oglądający mieli wrażenie, iż czują powiew południowej bryzy od jeziora w stronę lądu.

Mieszkańcy Villeneuve przyjmowali do wiadomości jego talent, lecz nie zaprzęтали sobie nim głowy. Zdarzają się takie rzeczy, mówili, wzruszając ramionami, niektórzy potrafią coś, czego inni nie umieją, to nie powód, żeby nad tym deliberować. Są ludzie, którzy wyczuwają żyły wodne lub słyszą głosy duchów, inni mówią językami lub potrafią usuwać brodawki. Mały Gilliéron zaś potrafi akurat dobrze rysować, i co z tego! To niewinna zabawa i nie szkodzi nikomu. Dopóki bawi się kredkami, nie popełnia większych głupstw.

Sam Gilliéron też nie przywiązywał do swojego talentu większej wagi. Rysowanie było dla niego wyłącznie rozrywką, która zresztą nie sprawiała mu szczególnie wiele przyjemności. Nie czuł także bynajmniej dumy ze swoich rysunków, nie obnosił ich po domach ani ich nie przechowywał, tylko ledwo były gotowe, kładł je obok pieca na drewnie przygotowanym do rozpałki.

Zmieniło się to dopiero w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku, kiedy skończył piętnaście lat, zaczął nosić niebieski kaftan i marzyć o tym, żeby na zawsze dać nogę do Włoch, zamiast jak inne szczeniaki z jego rocznika zostać w Villeneuve rolnikiem, rybakiem lub wiejskim nauczycielem. Kiedy ojciec chciał go wysłać do seminarium nauczycielskiego w Lozannie, oznajmił mu, prychnąwszy pogardliwie, że prędzej da się poćwiartować, niż zmarnuje resztę życia między pulpitem nauczycielskim a łupkową tablicą.

Zamiast tego urządził sobie swoje pierwsze atelier w opuszczonej szopie na skraju bagien, zapuścił włosy i zaczął palić łądygi powojnika, które zrywał na bagnach z drzew i rozkładał do suszenia na strychu szopy. W dni targowe wystawał przed gospodami i obrządzał konie przyjezdnych rolników pod warunkiem, że zafundują mu za to kieliszek féchy. Kiedy potrzebował pieniędzy, pomagał winogrodnikom w winnicach albo czyścił rybakom sieci. Przy dobrej pogodzie spędzał wieczory z przyjaciółmi nad jeziorem pod starą wierzbą płaczącą. W zimnej porze roku spotykali się w jego atelier.

Tak minął rok, potem drugi i trzeci. Kiedy jednak Emile Gilliéron i jego

przyjaciele osiągnęli pełnoletniość i nadal nie przymierzali się do zmiany niebieskich kaftanów na czarne lub przynajmniej szare, mieszkańcy Villeneuve postanowili, że już dość tego. Pewnej niezbyt chłodnej wiosennej nocy atelier Emile'a z nigdy niewyjaśnionych powodów spłonęło doszczętnie, a dwa tygodnie później listonosz przyniósł mu list, w którym Szkoła Rzemiosła Artystycznego w Bazylei ku jego zaskoczeniu informowała go, że został przyjęty na kurs dla przyszłych nauczycieli rysunku i w najbliższy poniedziałek między godziną ósmą a dziesiątą ma się stawić w Aula Magna w celu immatrykulacji.

Emile pojął, że tak naprawdę nadawcą listu nie była Szkoła Rzemiosła Artystycznego w Bazylei, tylko mieszkańcy Villeneuve, którzy pewnie ukradli i wysłali do Bazylei kilka jego rysunków, i że powinien zrozumieć owo pismo nie jako zaproszenie, lecz jako wygnanie. Prychając pogardliwie, spakował więc manatki, pojechał do Bazylei i po pierwszym semestrze stwierdził, że właściwie umie już wszystko, czego chcą go nauczyć profesorowie. Na pewno poznał techniki szkicowania, skrobienia, szpachlowania, grawerowania, modelowania i wypalania kwasem, o których nigdy nie słyszał w Villeneuve, a na wystawie stałej w muzeum sztuki otwierały się przed nim światy, o jakich nawet nie śnił na bagnach delty Rodanu; po powrocie do klasy kopiował jednak, zmieniał i karykaturował wedle uznania każdego z oglądanych dawnych mistrzów, każdy styl i każdą szkołę. Malował pulchne amorki jak Rubens i przebitych strzałami męczenników jak Caravaggio i doprowadzał kolegów do śmiechu za pomocą wizerunków przebitych strzałą amorków i tańczących męczenników, którym wystawały z ust pieczone kurze udka; na kole garncarskim wytaczał wazy i modelował statuetki bogów, rysował greckie świątynie i posągi, jakby całe dotychczasowe życie spędził na Peloponezie, a wszystko to z nonszalancją, obojętnością i lekceważeniem własnego talentu, co fascynowało, a zarazem trochę obrażało jego profesorów.

Po zajęciach włóczył się po knajpach Małej Bazylei i zdobył swego rodzaju sławę, bo potrafił jak nikt inny żłopać białe wino. Gdziekolwiek trafił, zyskiwał przyjaciół dzięki naturalnej serdeczności i chłopskiej ciętości języka; koledzy ze szkoły mieli mu jednak za złe, że on, który podczas zajęć w lot pojmował wszystko, czego oni musieli uczyć się w pocie czoła, stronił od uczonych rozmów przy wspólnym stole o sztuce i pocałunku muz, ponieważ bardziej interesowały go nogi i dekolty kelnerek.

Pomimo lenistwa i nonszalancji Emile Gilliéron był bezspornie najlepszym uczniem w swoim roczniku. Wygrywał wszelkie konkursy, mimo że dyrekcja szkoły za każdym razem musiała go nakłaniać do udziału, a on wykonywał prace dopiero ostatniej nocy przed terminem oddania, kiedy zaś fundacja Meriana rozpiła dwuletnie stypendium na studia w École des Beaux-Arts w Paryżu, postanowił ubiegać się o nie tylko dlatego, żeby odsunąć w czasie nieunikniony

powrót do Villeneuve.

Następne dwa lata spędził głównie w bistrach Marais i Montmartre'u. Od czasu do czasu brał pro forma parę lekcji u najpopularniejszych profesorów i artystów tamtych czasów. Wypłacane co miesiąc stypendium pokrywało jego potrzeby finansowe jedynie do połowy miesiąca, potem kopiował dzieła Milleta, Troyona i Courbeta, a kopie sprzedawał właścicielom knajp i turystom. Najwięcej zarabiał na portretowaniu monumentalnych grecko-rzymskich budowli w owym pompatyczno-historycznym stylu, tak lubianym przez konserwatywne, zadowolone z siebie mieszczaństwo za czasów Napoleona III.

Wprawdzie w kręgach paryskiej bohemy noszenie niebieskich kaftanów było wręcz obowiązkiem, lecz Emile'owi udało się w bardzo krótkim czasie narazić wszystkim dygnitarzom nawet w tym stosunkowo liberalnym otoczeniu. Już na początku pierwszego roku studiów maksymalnie ograniczył swoje szanse na sukces, kiedy na otwarciu dorocznego salonu pojawił się z odkorkowaną butelką białego wina w ręce i przez całe przemówienie przewodniczącego akademii uśmiechał się pod nosem. Gdy potem zaś na dodatek oddał mocz w ogrodzie za posągami Joanny d'Arc i wytrącił lokajowi z ręki tacę z ptifurkami, dwaj umundurowani stróże porządku wyrzucili go na ulicę.

Czas mijał szybko. Zbliżał się dzień, kiedy Emile miał zostać zmuszony do powrotu do Villeneuve i raz na zawsze włożyć czarny kaftan. I właśnie wtedy niemiecki miliarder Heinrich Schliemann, który posiadał piękny dom przy Place Saint-Michel i w połowie życia wbił sobie do głowy, że zrezygnuje z interesów handlowych z Rosją i zostanie najślynniejszym archeologiem świata, złożył zapytanie u dyrektora École des Beaux-Arts, czy wśród jego studentów znalazłby się dobry rysownik, który mógłby służyć mu pomocą na terenie wykopalisk w Mykenach. Wówczas dyrektor kazał wezwać utalentowanego i niesforneho Gilliérona, pomyślał bowiem, że właśnie jemu może się przydać ten wyjazd, a na mocno skostniałym paryskim rynku sztuki młodzieniec tak czy owak by się nie odnalazł. Kiedy go zapytał, czy chciałby wyjechać do Grecji jako rysownik naukowy, Emile natychmiast się zgodził.

Dyrektor uprzedził go również jednak, że Schliemann jest synem meklemburskiego pastora, człowiekiem władczym i wybuchowym, który nie miał jeszcze w życiu przyjaciela, podróżuje bez wytchnienia po świecie i wszędzie w ciągu niewielu dni obsesyjnie musi się nauczyć języka danego kraju.

To jednak bądź co bądź oznacza, że rozmawia z ludźmi, zauważył Gilliéron.

Schliemann nie rozmawia, on komenderuje, odrzekł dyrektor. Miłości i przyjaźni nie zna, w jego pojęciu ludzkość składa się z przełożonych i podwładnych. Z żoną Rosjanką rozwiódł się dlatego, że do tej archeologicznej przygody chciał mieć u swego boku Greczynkę. Wówczas poprosił listownie arcybiskupa Aten o wybór pięknych młodych Greczynek i na podstawie fotografii

zdecydował się na pewną siedemnastolatkę, a podczas podróży poślubnej trzydzieści lat starszy małżonek przez cztery miesiące gnał biedne stworzenie od jednego do drugiego starożytnego zabytku Italii i bezlitośnie zadręczał lekcjami niemieckiego, tak że dziewczyna tuż po przybyciu do Paryża przeżyła załamanie nerwowe.

No cóż, powiedział Gilliéron, on przecież nie zamierza wychodzić za Schliemanna.

Poza tym powinien uwzględnić, rzekł dyrektor, że nikt nie traktuje Schliemanna poważnie jako archeologa. Świat fachowy śmieje się z tego naiwnego Prusaka, który z łopatą w jednej i popularnym wydaniem *Iliady* w drugiej ręce spaceruje przez Hellespont i zawsze bardzo szybko stwierdza, że odnalazł autentyczny pałac Priama wraz z jego skarbcem albo faktyczne miejsce bitwy pod bramami Troi, na którym Afrodyta uratowała swojego ulubieńca Parysa przed toporem bojowym Menelaosa.

Bądź co bądź wydobył na światło dzienne wiele ładnych rzeczy, wtrącił Gilliéron.

Ale nie topór bojowy Menelaosa, zaprotestował dyrektor. Tak samo można by próbować wykopać lancę Don Kichota w Andaluzji albo szukać w Schwarzwaldzie pieca Jasia i Małgosi.

Topór bojowy to jednak topór bojowy, upierał się Gilliéron.

Dyrektor przyznał mu rację. To jednak podejrzane, że Schliemann odkrywa zawsze złote świecidełka dopiero ostatniego dnia wykopalisk, gdy nikt akurat nie patrzy. W obecności świadków udaje się natomiast odnaleźć tylko gliniane skorupy podobnie jak w przypadku wszystkich innych archeologów.

Jeśli te świecidełka wydobywane są z ziemi, rzekł Gilliéron, to trzeba je wiernie odrysować. I on uważa, że to potrafi. Za certyfikat autentyczności jako rysownik nie może jednak odpowiadać.

I taka jest pewnie prawda, stwierdził dyrektor.

Podobno Grecja jest bardzo piękna, powiedział Gilliéron, a u Schliemanna zarabia się dobrze. Uczelnia zaś w najbliższym czasie przestanie mu wypłacać stypendium.

Jednak potem, kiedy przybył na miejsce, Grecja wydała mu się wielkim rozczarowaniem. Już w trakcie trzydniowego rejsu z Triestu przez Brindisi, Korfu i Patras cierpiał przez cały czas na chorobę morską, omal nie umarł, a gdy rankiem dwudziestego trzeciego marca tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku stał w ulewnym deszczu na górnym pokładzie, tęsknie oczekując zejścia na ląd, luksusowy, lśniący biały parowiec austriackiej filii Lloyda, udający się do Egiptu, przed zawinięciem do portu w Pireusie wdał się w drobną przepychankę ze sforą śmierdzących, wygarbowanych na czarno i otoczonych przez trzepoczące mewy łodzi rybackich, z których jedne chciały wypłynąć z portu, a drugie doń powrócić,

wskutek czego wzajemnie blokowały sobie drogę i wpadały na burty, aż trzeszczały wręgi. Kapitan egipskiego parowca kazał zatrzymać statek w bezpiecznej odległości, stanął na mostku w pełnym galowym stroju i czekał. A ponieważ wyglądało na to, że żaden z rybaków w sensownym czasie nie zamierza skapitulować i ustąpić pierwszeństwa sąsiadowi, kazał włączyć syreny parowe na dwie minuty, po czym na połowie mocy ruszył przez środek mrowia łodzi w kierunku wejścia do portu.

Łodzie rozpierchły się niechętnie, robiąc uliczkę, przez którą statek ledwo się przecisnął. Gilliéron patrzył z wysokości pokładu słonecznego na awanturujących się rybaków, którzy na deszczu potrząsali pięściami porośniętymi czarnym owłosieniem i próbowali się nawzajem odepchnąć za pomocą zardzewiałych haków abordażowych. Byli to drobni, przysadziści mężczyźni w pludrach, o pucułowatych policzkach i czarnych wąsach, niewykazujący najmniejszego podobieństwa do marmurowych posągów z orlimi nosami w dziale zabytków starożytnych Luwru, na których Emile ostrzył swoje wyobrażenie o Grecji.

Gdy parowiec przepłynął obok latarni morskiej przy molo, otworzył się widok na port, w którym stali już kiedyś Arystoteles, Perykles, Platon i Aleksander – ciemne półkole utworzone z szarych, jedno- i dwukondygnacyjnych budynków z palonej cegły na tle nagiego, wykarczowanego przed tysiącami lat łańcucha wzgórz, powyżej wznosiło się ołowianoszare niebo, pod którym ciągnęły w stronę lądu czarne deszczowe chmury. Na nabrzeżu między kałużami stały bose postacie w łachmanach i machały z zapalonymi do pasażerów pierwszej klasy, robiły gwiazdę, stójkę na rękach lub wykonywały krótkie tańce, a pasażerowie rzucali im z góry miedziane monety i z rozbawieniem obserwowali, jak obdarci ludzie biją się o nie.

Ledwo Emile Gilliéron poczuł znowu stały ląd pod nogami, choroba morska ulotniła się, za to podczas krótkiego przejazdu do Aten w otwartym pojeździe dwukonnym przemókł do suchej nitki. Po obu stronach zabłoconej drogi siedziały setki dzieci o zapadniętych policzkach, podnoszące na podróżnych duże czarne oczy. Kiedy Emile zapytał dorożkarza o te dzieci, usłyszał w odpowiedzi, że co rano są tutaj wystawiane z sierocińca w nadziei, że jakiś podróżny się zlituje i zabierze jedno z nich.

Kiedy za zasłoną deszczu pojawiły się w oddali białe kolumny Akropolu, humor Gilliérona poprawił się trochę, a gdy po przybyciu do Hotel d'Angleterre przekroczył po raz pierwszy próg swojego jasnego i przestronnego apartamentu, który Schliemann kazał dla niego zarezerwować, i gdy pokojówka wzięła od niego płaszcz i bez słowa wręczyła mu na pokrzepienie kieliszek ouzo, był już prawie znowu pogodzony ze światem: parę tygodni czy miesięcy na pewno tu wytrzyma. A jeśli Schliemann będzie go opłacał rzeczywiście tak dobrze, jak obiecał, to zostanie cały rok i następnej wiosny wróci do domu w Villeneuve z kieszeniami

pełnymi pieniędzy. Tam zbuduje sobie domek nad jeziorem, będzie spędzał wieczory z przyjaciółmi ze szczeniackiego okresu, a w ciągu dnia malował kiczowate małe akwarele dla angielskich turystów, żeby zarobić na utrzymanie – i oczywiście, czy to będzie odpowiadać mieszkańcom Villeneuve, czy nie, zamierza nosić niebieskie kaftany po kres swoich dni. A może nawet żółte.

Tak Emile Gilliéron sobie to wyobrażał, lecz naturalnie wyszło inaczej. Kiedy następnego ranka zjadł śniadanie i wypił kawę, i wybierał się na pierwszy spacer przez miasto na Akropol, przed drzwiami hotelu przechwycił go stangret Heinricha Schliemanna, po czym bez słowa usłużnie zawiózł czterokonnym zaprzęgiem prosto do swojego pana, który czekał w gabinecie bogato udekorowanym marmurowymi posągami, kolorowymi malowanymi wazami oraz reprodukcjami helleńskich fresków.

Siedzący za biurkiem Schliemann wyciągnął żółtą szyję i popatrzył na wchodzącego Gilliérona chłodnymi, bladoniebieskimi oczami przez okrągłe okulary w drucianej oprawce. Przywitał się z nim krótko dziwnie brzmiącą, aczkolwiek bezbłędną francuszczyzną i władczy gestem wskazał na biurko przed sobą, na którym leżała drewniana taca z trzema fragmentami fresku, każdy wielkości dłoni. Jeden z kawałków zaprawy przedstawiał dłoń zaciśniętą w pięść, drugi – ornament w postaci lilii, a trzeci stopę razem z łydką.

Fragmenty te przyjechały poprzedniego wieczora z Myken, oświadczył Schliemann i chciał wiedzieć, co widzi w nich Gilliéron.

Emile wzruszył ramionami i odpowiedział, że widzi dłoń, stopę i kawałek wzoru lilii.

Tego rodzaju dowcipne uwagi są tutaj nie na miejscu, rzekł Schliemann. Gilliéron ma mu powiedzieć, co ten fresk mógłby przedstawiać jako całość.

Nie można tego wiedzieć, odparł Gilliéron.

W takim razie on, Gilliéron, jest dla niego niewłaściwym człowiekiem, powiedział Schliemann.

Żaden człowiek na świecie nie może tego wiedzieć na pewno, uściślił Gilliéron.

Ale przecież można by się domyślić tego i owego, zasugerował Schliemann.

To można zawsze, powiedział Gilliéron, wzruszając ramionami, pochylił się nad tacą i zaczął przesuwając fragmenty tu i tam. Następnie wziął do ręki przygotowany już blok rysunkowy i w minutę naszkicował rydwan, a na nim wojownika, który dzierży w zaciśniętej dłoni oszczep, a jego prawa stopa spoczywa na ozdobionym liliami dnie pojazdu.

Wspaniale, orzekł Schliemann, to jest rozwiązanie zagadki. Nie szkodzi, że nie widziałem tego na własne oczy, ale to przecież oczywiste.

Wtedy Gilliéron uporządkował kawałki inaczej i na nowej kartce narysował strażnika świątyni, który trzyma w ręku płonącą pochodnię, a na głowie nosi jakąś

ozdobę z ornamentem w postaci lilii.

Patrzcie go, rzekł Schliemann, ależ z pana gagatek! Wojownik na rydwanie, którego narysował pan przedtem, to był żart, widzę to teraz.

Gilliéron oderwał z bloku także tę kartkę i narysował Laokoona, który na liliowym polu broni się rękami i nogami przed węzami dusicielami.

Toż to... zaczął Schliemann. Chce mnie pan nabrać?

Następnie Gilliéron narysował głowę Tezeusza w walce z Andromachą, potem attyckiego hodowcę oliwek podczas zbiorów i zwycięskiego atletę z gałązką oliwną, a każdy rysunek zawierał pięść, stopę oraz liliowy ornament. Schliemann śledził ruchy jego ołówka z pełnym napięciem podziwem. Gilliéron rysował toreadorów, pasterzy owiec i żeglarzy, a potem również Amazonkę, która z obnażonym mieczem ścigała nagą parę.

Ale ja znam tych dwoje nagusów, rzekł Schliemann. Gdzie ja już ich widziałem?

W Kaplicy Sykstyńskiej, odparł Gilliéron. Adam i Ewa podczas wypędzenia z raju, dzieło Michała Anioła.

Ależ z pana gagatek, powtórzył Schliemann.

Emile wziął kolejną kartkę i narysował młodzieńca z barankiem.

A to? – spytał Schliemann.

Jan Chrzyciel Caravaggia.

Gilliéron sporządził jeszcze naprędce małego Botticellego i małego Degasa. W końcu Schliemann wyrwał mu z ręki ołówek.

Koniec już z biblijnymi żartami, powiedział, pora na obiad. Zostanie pan tutaj, jadamy *en famille* i *sans façon*, nie toleruję sprzeciwu. Moja żona kazała ugotować musakę. Potem sporządzimy umowę, zostanie pan na rok. Co najmniej.

Sześć miesięcy.

Rok, powtórzył Schliemann.

Najwyżej sześć miesięcy, rzekł Gilliéron. W październiku nad Jeziorem Genewskim zaczyna się winobranie, muszę być wtedy z powrotem w domu.

A to dlaczego? – spytał Schliemann.

Mój ojciec ma winnicę, skłamał Gilliéron.

Zostanie pan na rok, powtórzył Schliemann, nie toleruję sprzeciwu. Pojedziemy razem do Troi, Myken i Tirynsu, potem będę pana potrzebował tu, w Atenach. A teraz do stołu.

Ho, ho, pomyślał Gilliéron, podążając za swoim chlebodawcą do jadalni. *En famille* i *sans façon*, człowiek nie toleruje sprzeciwu. Zobaczymy.

Między wyjazdem młodego człowieka do Grecji a powrotem jego prochów nad Jezioro Genewskie upływa pół wieku. Jego syn schodzi z walizką do portu, kroki odbijają się echem od kocich łbów. Jole wycieczkowiczów stoją w wodzie przycumowane na zimę, na czubkach masztów siedzą śpiące mewy. Spogląda na

kieszonkowy zegarek. Jeszcze godzina do odjazdu najbliższego pociągu do Brigu. Tam przesiądzie się na nocny pociąg do Triestu, skąd po południu odchodzi parowiec pocztowy do Aten, gdzie powita go małżonka i zaprezentuje swój najnowszy olejny obraz Akropolu.

Emile Gilliéron junior dochodzi do końca nabrzeża, siada na pachołku i wyjmuje z walizki pudełko po cygarach. Mieści się w niej kupka popiołu w kolorze gołębim. Może trzy lub cztery garści, tu i ówdzie wystaje duży jak paznokieć kawałek kości. Czy rzeczywiście są to prochy jego ojca, czy tamtej innej istoty, nie odgrywa w tym momencie żadnej roli. Spełnił jego ostatnią wolę, tylko to się liczy.

Emile patrzy na czarną wodę w dole, klaszczącą cicho o mur nabrzeża. Powoli wysypuje do wody popiół, a w ślad za nim wyrzuca pudełko po cygarach. Właściwie to urządza tutaj ojcu marynarski pogrzeb. No bo gdzie w Villeneuve mógłby znaleźć spokojny splacheć ziemi, żeby niezauważenie ułożyć go do wiecznego spoczynku? Miasteczka takie jak Villeneuve są w nocy ciche, ale nie śpią; w każdej uliczce mieszkają dręczeni zmartwieniami wdowcy albo prześladowane przez ból zębów stare panny, którzy pędzą do ciemnych okien, ilekroć na zewnątrz zastukają o bruk obcasy kogoś obcego. Gilliéron zdaje sobie sprawę, że odkąd wysiadł z pociągu, śledzony był pewnie każdy jego krok. Nie mógł się udać do winnic, bo tam czuwają psy łańcuchowe; na bagna też nie, tam człowiek z walizką byłby widoczny z daleka i tym bardziej ściągąłby na siebie podejrzenia mieszkańców Villeneuve.

Również w porcie jest obserwowany, nie ma co do tego wątpliwości. Jednak tutaj w oczach mieszkańców jest tylko niewinnym turystą, który przez pomyłkę wysiadł o jedną stację za wcześniej i musi jakoś zabić czas, czyli tę godzinę do przyjazdu następnego pociągu. To, że w tym czasie nie chodzi po peronie tam i z powrotem, lecz wybiera się na spacer do portu, jest wprawdzie godne uwagi, ale trudno uznać, że niestosowne. A kiedy siada na pachołku i coś majstruje przy swoim bagażu, także nie daje podstaw do niepokoju. Najważniejsze, że w porę znowu wstaje i udaje się z powrotem na dworzec, żeby samotni wdowcy i stare panny mogły wrócić do łóżek.

Prochy jego ojca toną w ciemnej wodzie i już ich nie widać; większe kawałki kości opadną pionowo na dno jeziora, popiół się rozwieje i połączy szerokim kręgiem z pokrywającym dno mułem. A muł to nic innego jak ziemia, myśli Gilliéron, ostatecznie pogrzeb marynarski prowadzi także do Matki Ziemi. Pudełko po cygarach kołysze się na wodzie przy murze nabrzeża. Zwyczajne pudełko po cygarach, nic poza tym. W ciągu nocy prąd zniesie je dalej od brzegu, a w następnych dniach zostanie wyrzucone gdzieś na ląd i spokojnie zgnije na kupie innych przedmiotów oddanych przez wodę.

Rozdział trzeci

Felix Bloch nigdy więcej nie zobaczył dziewczyny z Orient Expressu, gdyż ta nie wysiadła z pociągu w Zurychu. Owego listopadowego popołudnia Laura d'Oriano pojechała dalej przez Bazyleę do Belfortu i następnego ranka, kiedy Felix Bloch udał się do biura immatrykulacyjnego ETH, a Emile Gilliéron czekał w Trieście na swój parowiec, wsiadła do pociągu pośpiesznego do Marsylii, gdzie jej rodzice zamierzali osiedlić się na starość i przejąć skład nut po dalekim krewnym. Zresztą była już pora, żeby odyseja rodzinna dobiegła kresu. D'Oriano od pół wieku znajdowali się w drodze, matka przez dwadzieścia lat jako młoda szansonistka objeżdżała z występami luksusowe hotele w Azji Przedniej. Teraz była zmęczona i czuła, że zbliża się dzień, kiedy podwiązka i dekolt na scenie przestaną jej pomagać. Także ojciec był zmęczony i chorował na wątrobę. Również dla pięciorga dzieci nadszedł czas, żeby osiadły w jakimś miejscu.

Laura i jej rodzeństwo rozkaprysili się i dojrzeli za wcześnie wskutek wielu podróży i dorastania w luksusie, którego mogli kosztować w Grand Hotelach jako potomstwo artystki. Przy stole mieli maniery jak dzieci angielskich hrabiów i potrafili tańczyć jak Kozacy, a między sobą rozmawiali barwną mieszaniną angielskiego, francuskiego, greckiego, rosyjskiego i włoskiego. Palili papierosy jak Turcy i interesowali się kursami akcji na londyńskiej giełdzie, znali taryfy za przejazd promem przez Bosfor i potrafili jeść pomarańczę nożem i widelcem. Ale bawili się także w złodziei i policjantów z dziećmi z sąsiedztwa, ponieważ sami nigdy nie byli dla innych ludzi dziećmi z sąsiedztwa, Boże Narodzenie zaś spędzali zawsze w towarzystwie obcych gości hotelowych, za jedynych przyjaciół mając pokojówki i portierów, którzy rozpoznawali i pozdrawiali każde dziecko po imieniu.

Jak wszyscy koczownicy dzieci urządziły sobie dom w rutynie podróżowania. Pierworodna Laura znajdowała go w zmieniających się salach prób i garderobach artystów, do których matka zabierała ją już jako niemowlę, żeby co jakiś czas móc ją nakarmić. Popołudniami słuchała prób muzyków, a wieczorami przyglądała się matce podczas nakładania i zmywania szminki i przez okrągłą dobę brała udział w zawsze takich samych dramatach, jakie rozgrywały się za kulisami: przeżywała wraz z artystami utratę wiary we własny talent, chandrę i brak zrozumienia. Nie było dnia, nie było godziny bez dramoletu, co rusz przysięgano sobie wierność, tracono przytomność i dostawano spazmów, bez przerwy rozbijały się kieliszki do szampana i trzaskano drzwiami, a w samym środku tego wszystkiego stała mała Laura, przyciskała swoją lalkę do dziecięcego brzuszka

i dorastała w przeświadczeniu, że właśnie to jest prawdziwe życie w realnym świecie.

Kiedy Laura dorosła na tyle, żeby przemierzać w pojedynkę długie korytarze, wspinać się po schodach dla służby i na pewniaka pukać do drzwi z właściwym numerem pokoju, dorośli wysyłali ją z małymi liścikami lub nauczonymi na pamięć klątwami. Laura sumiennie załatwiała te polecenia, przekazując najczarniejsze przekleństwa z promiennym niewinnym uśmiechem, a przy okazji zapisywała w pamięci, kogo z kim wiąże miłość lub dzieli wrogość poprzez skradziony pocałunek, artystyczną zniewagę albo nieuregulowany dług karciany. A ponieważ to wszystko było takie podniecające, niebawem przestała się zadowalać drugoplanową rolą kurierki i sama wcielała się w postać diabełka o blond lokach, który na własną rękę, niewinnie szepcząc, sieje śmierć i zgubę.

Laura grała w tym teatrze kukielkowym z wielkim upodobaniem. Zostawiała damskie podwiązki w miejscach, gdzie te nie powinny leżeć, żeby obrazić głównych wykonawców, w środku aktu spuszczała kurtynę albo zakradała się na widownię, żeby chichotać w najmniej odpowiednim momencie. Twierdziła, choć wiedziała, że to nieprawda, że jeden nosi tupet, drugi ma sztuczne zęby, a trzeci musiał udać się do urologa z powodu wstydlivej choroby. Czasami wystarczało już wiedzące spojrzenie jej niebieskich dziecięcych oczu, żeby doświadczonym mężczyznom występował na czoło zimny pot.

Niekiedy zdarzało się, że odkrywano intrygi Laury, zanim d'Oriano wyruszyli do następnego etapu. Wtedy płakała, odwoływała się do dziecięcej nieświadomości i chowała w garderobie matki, dopóki burza nie ucichła. Ponieważ nie było tam nic do roboty, podśpiewywała cicho, kiedy matka ćwiczyła koloratury, i w krótkim czasie doszła do przekonania, że śpiewa już równie czysto jak mama. A może nawet odrobinę czystiej. Co zresztą było zgodne z prawdą. Potem zaś nadszedł dzień, gdy podczas długiej jazdy usiadła po raz pierwszy na zewnętrznych schodkach pociągu.

Kiedy przyszli na świat jej bracia Umberto i Vittorio Emanuele, matka nie mogła również ich zabierać na próby. Pozostawiała więc synów pod opieką ojca, który już od dawna nie musiał ćwiczyć przed swoją wieczorną brzdąkaniną i nie miał żadnych artystycznych ambicji powyżej tego pułapu. Tym sposobem chłopcy spędzali dzieciństwo pod skrzydłami ojca na torach wyścigów konnych i nadmorskich promenadach, a także w salonach dla palaczy w Grand Hotelach, gdzie wyrastali na wyrafinowanych pokerzystów, którzy grali między sobą na poważnie o bardzo wysokie sumy. Raz jeden był zadłużony u drugiego do końca życia i de facto jego niewolnikiem, a parę dni później było na odwrót.

Z kolei dwie najmłodsze siostry Marina i Maria Teresa dorastały pod opieką niani, która była niezbyt lotną niewiastą i dużo czasu przeznaczala na to, żeby nauczyć je posługiwania się tuszem do rzęs i lakierem do paznokci. Wieczorem

przed zaśnięciem wyjaśniała im relacje pokrewieństwa między europejskimi domami królewskimi i opowiadała o wymarzonych weselach i tragicznych zgonach. Dziewczynki słuchały, a wszystkie informacje zapadały w ich miękkie dziecięce czaszki, wkrótce zaś były przekonane, że najwyższym celem życia każdej dziewczyny jest wyjście za mąż za rosyjskiego księcia. Wyobrażenie to zapadło im w pamięć tak głęboko, że także później, kiedy ich czaszki stwardniały, nie zdołało się ulotnić. Dlatego Marina i Maria tylko przewracały oczami, kiedy rodzice chcieli je zmusić do rozwiązywania zadań rachunkowych, a gdy im oświadczono, że dziewczęta też muszą coś robić w życiu, bo po pierwsze na świecie zawsze było o wiele więcej dziewcząt niż rosyjskich księżąt, a po drugie wszyscy ci nieliczni rosyjscy księżęta albo zostali ostatnio rozstrzelani, albo zatrudnili się w Paryżu jako taksówkarze, uśmiechały się jedynie z niedowierzaniem i tęsknie wyglądały przez okno.

Naprawdę nadszedł już najwyższy czas, żeby d'Oriano osiedli na stałe. Wieloletnie przenosiny z miejsca na miejsce zapewniły im wprawdzie obycie w świecie i umiejętności podróżnicze, ich horyzont obejmował cały świat – ale byli pozbawieni korzeni i więzów, a w sercu trochę karłowaci. I to już w trzecim pokoleniu.

Odyseja rodziny zaczęła się pół wieku wcześniej w Pozzuoli, rybackiej wiosce pod Neapolem, od Vincenza d'Oriano, dziadka dzieci. Vincenzo był młodym rybakiem o płomiennych oczach i właśnie wykonał pieśń na samym szczycie piramidy z beczek po śledziach, gdy pewien bogaty Anglik wpływał do portu swoim jachtem i dla kaprysu z miejsca zaangażował Vincenza jako osobistego śpiewaka. Podczas pierwszego rejsu do Palermo Anglik nie mógł się nasłuchać do syta młodego rybaka o malowniczej powierzchowności, który prezentował na dziobie najlepsze pieśni neapolitańskie, ale potem nastąpił rejs na Korfu i do Pireusu, potem do Heraklionu i na Naksos, i zanim jacht dotarł do tureckiego wybrzeża Morza Egejskiego, Vincenzo na pewno wyśpiewał ze sto razy w lewentyńskie niebo cały swój repertuar aż do przesytu Anglika i dlatego ten rad był szczerze, zwalnając go w porcie w Smyrnie z najlepszymi życzeniami i wspaniałomyślną odprawą.

Nie wiadomo, jak młody Vincenzo d'Oriano zdołał przeżyć pierwsze lata tak daleko od domu, tajemnica ta spoczywa w mrokach dziejów i zapewne nie uda się już jej wyjaśnić. W aktach można przeczytać, że dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku – lub czternastego muharrama tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego czwartego roku według kalendarza muzułmańskiego – poślubił w katedrze w Smyrnie niejaką Teresę Capponi, która w ciągu następnych dwudziestu czterech lat podarowała mu ośmioro dzieci: wszystkie zostały ochrzczone również w smyrneńskiej katedrze, a trzecim od końca był chłopiec o imieniu Policarpo. Ten w maju tysiąc dziewięćset dziesiątego roku

w wieku dwudziestu czterech lat ożenił się – znowu w smyrneńskiej katedrze – z wówczas jeszcze obiecującą dwudziestoletnią prześliczną szansonistką Aidą Agnese Caruaną, po czym jako jej opiekun i pianista rozpoczął wędrowkę po Azji Przedniej i po drodze spłodził z nią upartą Laurę i czworo jej rodzeństwa.

To było kiedyś, ten świat już nie istniał. W rezultacie Wielkiej Wojny imperium osmańskie rozpadło się na niezliczenie wiele pogrążonych w swoich problemach, historycznych małych państw narodowych, które zwalczały się zaciekle, wynajdowały nieznanne do tej pory spory etniczne i rozbudowywały nowo wytyczone granice jako barykady nie do przejścia. Zamarł handel i komunikacja, statki pozostały w portach. Do Grand Hoteli w Bejrucie i Aleksandrii przestali przyjeżdżać goście, kabarety zamknęły podwoje, muzycy zostali odesłani do domu.

Ponieważ nie mieli już występów ani dochodów, d’Oriano wrócili do Smyrny do domu po zmarłym dziadku. Matka nie dawała występów, ojciec udzielał jeszcze trochę lekcji gry na pianinie. Przez dwa lata mieszkali skromnie w pięknym, starym mieście portowym, nazywanym przez jednych Paryżem Wschodu, a przez innych stolicą tolerancji, bo od czasów Homera żyli tutaj zgodnie ludzie z różnych krajów i wyznawcy wszelkich religii; żyli zgodnie za czasów greckich kolonistów i pod rządami rzymskich i bizantyjskich cesarzy, i przez wiele stuleci pod opieką kalifów; żyli zgodnie aż do piętnastego maja tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku po narodzeniu Chrystusa, kiedy wojska armii greckiej wtargnęły do miasta i w hellenistycznym odurzeniu zmasakrowały ludność muzułmańską, a trzy i pół roku później również wojska Atatürka wtargnęły do miasta, w kemalistycznym odurzeniu masakrując ludność niemuzułmańską i pałac Smyrnę do fundamentów.

Należy przypuszczać, że d’Oriano stracili podczas pożaru większość swojego dość skromnego majątku, jaki im pozostał. Czy w ostatniej chwili udało im się uciec promem, czy pieszo w głąb lądu przez nadbrzeżne góry, nie wiadomo. Pewne jest, że dwa lata później wsiedli w Konstantynopolu do Orient Expressu i przez Budapeszt i Wiedeń pojechali do Zurychu, aby potem rozpocząć nowe życie w Marsylii.

Wyobrażam sobie, że d’Oriano po przybyciu do Marsylii na dworzec Saint-Charles w ów listopadowy poranek tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku angażują bagażowego, który przewiezie na wózku ich walizki przez Canebière do Starego Portu. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że słońce z pogodnego nieba nad Lazurowym Wybrzeżem zalewało szerokie ulice i rozświetlało nowe, przypominające pałace domy kupców.

Niewiele wcześniej Marsylia została w dużej części przebudowana jako brama do francuskich terenów kolonialnych w Afryce i Azji Wschodniej. W powietrzu czuło się tchnienie Orientu, na ulicach widać było czarne brody i kaftany, tureckie pludry i turbany, ale także brytyjskie stojące kołnierzyki, białe

mundury żołnierzy i baskijskie berety, a wszyscy jechali zgodnie obok siebie w tramwaju, robili ze sobą interesy w kawiarniach lub oglądali wpływające i wypływające statki.

W porcie zbudowano nowe, obszerne doki i nabrzeża z nowoczesnymi żurawiami rozładunkowymi, skąd pociągi zabierały i rozwoziły towary kolonialne. W basenach portowych natomiast nie cumowały nowe parostatki, tylko głównie archaiczne drewniane żaglowce. Potężne hanzeatyckie pięciomasztowce z dziewiętnastego wieku zarzucały kotwicę obok eleganckich amerykańskich kliprów, norweskie szkunery z ożaglowaniem gaflowym obok arabskich łodzi zwanych dau, czasem zawijały nawet chińskie dżonki; nowoczesne parowce ze stali widywało się zaś rzadko, ponieważ większa część pływającej na całym świecie floty parowców poszła na dno oceanu pomiędzy tysiąc dziewięćset czternastym a tysiąc dziewięćset osiemnastym rokiem. Dlatego po wojnie armatorzy powyciągali wszelkie od biedy zdatne do żeglugi drewniane statki, a ponieważ wraz ze stalowymi statkami utonęła także większość pływających na całym świecie marynarzy, armatorzy przeczesali również azyłe dla starców i z łagodnym naciskiem zwerbowali każdego siwobrodego, bezzębnego wilka morskiego, jaki w miarę prosto trzymał się na nogach i miał jeszcze jako tako poukładane w głowie.

Nowy dom rodziny d'Oriano stał przy Starym Porcie i był budynkiem szachulcowym z osiemnastego wieku. Na parterze znajdował się skład nut, a nad nim na dwóch piętrach mieszkanie złożone z czterech małych pokoi i salonu z widokiem na basen portowy. Ściany były pobielone wapnem, a w klatce schodowej unosił się zapach pasty do podłóg. Laura przeprowadziła inspekcję mieszkania, wiedząc, że będzie musiała wytrzymać w nim trzy lata. Będzie chodzić do szkoły i nie dawać powodu do skarg, w domu będzie zajmować się zakupami i zmywaniem naczyń, a po południu pomagać w sklepie. Po pół roku dobrego zachowania poprosi matkę o pozwolenie na pobieranie lekcji śpiewu w marsylskim konserwatorium i chodzenie czasem na koncerty. Ale w szesnaste urodziny, wiedziała to z całą pewnością, spakuje walizkę i wyjedzie do Paryża.

I to sama.

*

Felix Bloch należał do tych nielicznych osób, którym dane było przeżyć przebudzenie, i miał o tym pamiętać po kres swoich dni. Zdarzyło się to pod koniec pierwszego roku studiów, w ostatnim dniu czterotygodniowej praktyki przemysłowej, tuż po wpół do szóstej, kiedy stał po raz ostatni przy desce kreślarskiej w biurze odlewni Fritza Christena w Künsnacht nad Jeziorem Zuryskim. W samej odlewni panowała już cisza, robotnicy rozeszli się do domów na weekend. Sekretarka wcisnęła pod pachę płaszcz i torebkę i pożegnała się, szef

siedział jeszcze przy oknie nad książkami. Na jeziorze jakiś statek uruchomił róg mgłowy, dzienne światło stopniowo słabło. Niebawem trzeba będzie włączyć lampy elektryczne.

Felix Bloch pociągnął tuszem ostatnią kreskę na ostatnim rysunku pokrywy studzienki kanalizacyjnej, której produkcję odlewnia zamierzała rozpocząć najbliższej zimy. Przez cztery tygodnie zajmował się tą pokrywą po dziewięć godzin dziennie i znał ją od podszewki: okrągła odlewana pokrywa studzienki kanalizacyjnej razem z ramą o średnicy sześćdziesięciu centymetrów i grubości pięciu centymetrów z wpuszczonym uchwytem do podnoszenia i nazwą firmy pośrodku, jak również z rozmieszczonymi koncentrycznie na powierzchni dwudziestoma czterema otworami odpływowymi i przebiegającymi prostopadle względem siebie rowkami antypoślizgowymi.

Pierwszego dnia pracy szef wręczył mu stos kartek z ołówkowymi szkicami i wymiarami technicznymi i na tej podstawie zlecił mu sporządzenie zdalnych do użytku rysunków technicznych dla warsztatu i działu sprzedaży. Pokrywy studzienek kanalizacyjnych stanowiły dobry i pewny interes. Odkąd coraz więcej ludzi jeździło autami, kwitła budowa ulic i kanalizacji. Pokrywy studzienek kanalizacyjnych były nieodzowne, popyt rósł niezmiennie od lat. Zdecydowanie najważniejszym odbiorcą wśród klientów były gminy i kantony, które płaciły natychmiast i zamawiały nie pojedyncze sztuki czy tuziny, lecz ilości hurtowe.

Pod koniec praktyki Felix Bloch znał swoją pokrywę tak dobrze jak nic na świecie – lepiej niż oczy matki, lepiej niż swój scyzoryk, lepiej niż wyłącznik swojej nocnej lampki, lepiej niż własne ręce. Narysował pokrywę w rzucie pionowym od góry i w rzucie pionowym od dołu, każdorazowo w skali jeden do czterech, jeden do ośmiu i jeden do dwunastu, sporządził także – niezbyt przydatny – rzut boczny. Szczególnie czasochłonne były rysunki rzutu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, ponadto do każdego rysunku załączał na dodatkowej kartce dane techniczne obejmujące skalę i ciężar, a także zawartość węgla w stali i odporność na uderzenia oraz nacisk na centymetr kwadratowy.

Ku jego zaskoczeniu zajmowanie się przez cztery tygodnie pokrywą studzienki kanalizacyjnej sprawiało mu satysfakcję. Po pierwszym dniu zdziwienia bezprzykładną wręcz prostotą przedmiotu znalazł przyjemność w pograżaniu się w mniszej kontemplacji zadania. Nie zadawał sobie pytania o sens swojej pracy. Po pierwsze praktyka przemysłowa była obowiązkowym elementem kursu na koniec każdego roku studiów. Po drugie odlewane pokrywy studzienkowe były rzeczą dobrą i sensowną, gdyż pozwalały pozbywać się błota z ulic i służyły gospodarce narodowej oraz swobodnemu poruszaniu się ludzi, a w dodatku higienie publicznej i zdrowiu narodu. Po trzecie nie miały widocznego pożytku wojskowego. Po czwarte Felix Bloch odkrył, jakie zadowolenie może sprawiać posiadanie ugruntowanej wiedzy fachowej w ściśle określonej dziedzinie. Od połowy drugiego

tygodnia mógł z absolutną słuszością twierdzić o sobie, że jest ekspertem od odlewanych pokryw studzienek kanalizacyjnych o średnicy sześćdziesięciu centymetrów.

Przez cztery tygodnie jeździł codziennie na rowerze z Zurychu do Küssnacht i z zapalem i przyjemnością rysował pokrywy studzienek kanalizacyjnych. Rano był w biurze pierwszy, a wieczorem wychodził ostatni, kiedy zaś stał przy desce kreślarskiej, szef zaglądał mu przez ramię i mruczał z aprobatą. Przerwy obiadowe spędzał z robotnikami w przebieralni. Siedział z nimi na przymocowanych do ścian ławkach, jak oni opierał łokcie na kolanach i jadł jak oni chleb z serem przyniesiony w blaszanej puszcze. Przysłuchiwał się ich rozmowom, mądrze trzymając język za zębami, i czuł wobec nich wdzięczność za to, że chociaż był studentem, nie dawali mu zbyt odczuć swojej pogardy.

Na końcu drugiego tygodnia szef wetknął mu po fajrancie pięć franków i mruknął, że jeśli po skończeniu studiów będzie szukał posady, ma się najpierw zgłosić do niego. Na końcu trzeciego tygodnia jeszcze raz wetknął mu pięć franków i mruknął, że właściwie nie ma wysokiego mniemania o świadectwach i dyplomach, więc jeśli o niego chodzi, to może zostać od razu. Odlewnia szybko się rozrasta, a on potrzebuje otwartej głowy, z której, kto wie, będzie mógł później zrobić udziałowca.

Felixa Blocha ucieszyła ta pochwała i ojcowska przychylność szefa, więc w ostatnim tygodniu praktyki wyobrażał sobie, co by to było, gdyby faktycznie rzucił studia i rozpoczął nowe życie jako dorosły człowiek z własnym mieszkaniem i prawdziwym zawodem jako ekspert od odlewanych pokryw studzienek kanalizacyjnych. Płaciłby podatki i poślubił jakąś kobietę, i zaplanował nową halę do odlewania pokryw studzienek kanalizacyjnych nad jeziorem, i odbywał podróże służbowe do Kolonii i wyjazdy na narty do Engadyny, i pojechał z żoną do Włoch. Później zbudowałby dom na zielonej łące i przejął całą odlewnię, a kiedyś wycofałby się z interesu, zostawił synom produkcję odlewów pokryw studzienkowych, a sam troszczył się o wnuki oraz kolekcję kaktusów.

Jednak w ostatniej minucie ostatniego dnia praktyki, gdy po raz ostatni odstawił grafion i zakręcił wieczko słoiczka z tuszem, zabrał z haka swój płaszcz i pożegnał się z szefem, który odprowadził go do wyjścia, udając, że robi to mimochodem, i już w drzwiach mruknął opryskliwie, że nie musi go zapewniać, że te drzwi zawsze są dla niego otwarte – w owej minucie, kiedy Felix Bloch wyszedł z firmy i wsiadł na rower, przeniknęło go niczym elektryczny wstrząs przeświadczenie, że już nigdy tutaj nie wróci, bo pokrywa studzienki kanalizacyjnej zawsze pozostanie tylko pokrywą studzienki kanalizacyjnej, a on nigdy w życiu nie zdobędzie się na tyle pokory, żeby poświęcić swoją energię twórczą wytwarzaniu pokryw studzienkowych. Albo produkcji wałów korbowych. Albo korbowodów. Albo maszyn tkackich. Albo turbin gazowych.

W owej chwili zdał sobie sprawę, że już ani dnia dłużej nie będzie studiował budowy maszyn, bo minionej jesieni na rampie przeładunkowej dworcowego magazynu towarów miał rację, kiedy w ciągu kilku sekund postanowił, że bezwzględnie musi robić w życiu coś pięknego, niepotrzebnego i absolutnie bezużytecznego. Zdecydowanym ruchem nacisnął na pedały. Prostą drogą pojedzie do domu i oświadczy ojcu, że nie może postąpić inaczej niż natychmiast zacząć nowe życie.

W tamtych latach na ETH w Zurychu było bowiem faktycznie paru ludzi, którzy dzień w dzień zajmowali się snuciem pięknych i trudno zrozumiałych myśli, nieposiadających widocznego praktycznego pożytku, za to pewne podobieństwo z *Wariacjami Goldbergowskimi*. Teleskopami nowej generacji zagłądali w głąb uniwersum i wyobrażali sobie, że kosmos musi być zakrzywiony i że każdy człowiek, jeśli tylko potrafi zajrzeć wystarczająco głęboko, dostrzeże własną potylicę w czerni Wszechświata. Podgrzewali sole i metale, przewodzili ich rozpalone do żaru światło przez szklane pryzmaty i na podstawie gry kolorów snuli przypuszczenia o tańcu atomów i elektronów, który w zadziwiającej mierze przypomina balet planet, słońc i księżyców.

W biurze ETH w Zurychu Albert Einstein napisał fragmenty swojej ogólnej teorii względności, owego lata tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku w odległości rzutu kamieniem Erwin Schrödinger łamał sobie głowę nad tym, dlaczego elektrony zachowują się z jednej strony jak fale, a równocześnie jak cząstki. Hermann Weyl dostarczył matematyczny dowód teorii względności Einsteina, a Peter Debye właśnie w Zurychu dowiódł eksperymentalnie, że najmniejsze cząstki materii istotnie zachowują się tak dziwnie skokowo, jak przepowiedział to Max Planck.

Natomiast Felix Bloch w tym samym miejscu studiował przez rok budowę maszyn. Technologia mechaniczna I z repetytorium, chemia I i praktyka chemiczna, mechanika I z repetytorium i ćwiczeniami, geometria opisowa i projekcyjna, metalurgia stopów ważnych technicznie, ekonomia polityczna, suwak logarytmiczny z ćwiczeniami, dwie godziny tygodniowo wykładu o elementach maszyn.

Dodatkowo dla zabawy poszedł na kilka wykładów z mechaniki kwantowej. Wiele z tego nie zrozumiał, ale oczarowała go poezja idei, metafizyczne piękno ich języka i antymechanistyczny oraz antyprzyczynowy temperament ich logiki. Poza tym fizyką atomową zajmowali się przeważnie ludzie młodzi. Byli światowej sławy profesorowie niewiele starsi od Felixa Blocha, a wszyscy młodszy od jego ojca. Heisenberg miał dwadzieścia cztery lata, Paul Scherrer trzydzieści sześć, Schrödinger trzydzieści siedem; także Bohr, Weyl i Debye nie przekroczyli jeszcze czterdziestki.

Pół godziny zajęła mu droga do domu, ale tym razem nie zabrakło mu

odwagi. Kiedy pedałowal wzdłuż brzegu jeziora, układał sobie w głowie, co powie ojcu. Opowie mu o zakrzywionej czasoprzestrzeni, na ile zrozumiał to zagadnienie, a także o zasadzie nieoznaczoności Heisenberga i o aparacie rentgenowskim Paula Scherrera, o cudownej stabilności materii i zagadkowej prostocie praw przyrody. Może wspomni nawet o swoim przecuciu, że pod powierzchnią zjawisk atomowych znajduje się podłoże o niezwykłej wewnętrznej urodzie.

Gdyby ojciec zapytał go wtedy, czy jego zdaniem w budowie maszyn nie tkwi piękno, powiedziałby mu, że pokrywa studzienki kanalizacyjnej jest po prostu pokrywą studzienki kanalizacyjnej i że na dłuższą metę nie zniósłby tego braku tajemniczości. Gdyby ojciec zarzucił mu wówczas zarozumiałość, zgodziłby się z nim i wyznał, że nie potrafi inaczej. A gdyby ojciec wysunął argument, że nie każdy jest Einsteinem, przyznałby mu rację i dodał, że w badaniach naukowych potrzebni są nie tylko geniusze, ale też piechurzy, a robotnicy pchający taczki zawsze mają co robić, kiedy królowie budują. Gdyby ojciec zapytał go o możliwości zarobku, odpowiedziałby, że dodatkowo zrobi patent nauczycielski i w najgorszym razie zostanie nauczycielem fizyki w gimnazjum. Gdyby zaś ojciec zapytał, czy zamierza skończyć jak nauczyciel fizyki Seiler w gimnazjum, który po czterdziestu latach pracy gnieździ się jako stary kawaler w małej mansardzie bez światła elektrycznego i ustępu splukiwanego wodą, a długie zimy spędza okutany jedynie w wełniany koc przed piecem, w którym głucho dudni ogień – gdyby ojciec zadał mu takie pytanie, odpowiedziałby: tak, chcę tego. Jeśli będzie trzeba, skończę dokładnie tak samo jak mój fizyk Seiler.

W końcu wywalczył błogosławieństwo ojca na zmianę studiów argumentem, że wydział matematyczno-fizyczny zaliczy mu pierwsze dwa semestry w pełnym zakresie i tym sposobem nie okażą się one stratą czasu. Ojciec dziwił się temu i również Felix uznał za dziwne, że ekspercką wiedzę w dziedzinie produkcji pokryw studzienek kanalizacyjnych zapisano mu na poczet kursu podstawowego na kierunku fizyki atomowej. Potem jednak okazało się, że na studiach fizyki na zuryskiej ETH panowała taka swoboda, że granoczyło to z lekceważeniem.

Nie było obowiązkowych wykładów wprowadzających ani ustalonych planów nauczania czy egzaminów częściowych, nie było też pewności co do liczby studentów ani egzaminu końcowego. Dwudziestu czterech studentów, którzy zapisali się na wydział matematyczno-fizyczny na ów semestr zimowy 1925/1926, było w znacznej mierze zdanych tylko na siebie; według uznania sami układali sobie program studiów na podstawie spisu wykładów i nie musieli przy tym przestrzegać żadnych zasad oprócz własnych upodobań. Oczekiwano od nich jedynie tego, żeby w trakcie studiów połączyli bakcyła w dowolnej specjalności i w niedającym się z góry przewidzieć momencie, a zachęcani przez profesora, napisali pracę doktorską na temat jakiegoś ściśle określonego aspektu tej wąskiej specjalności.

Tę staroświecką swobodę w duchu Humboldta tłumaczyła okoliczność, że nauki ścisłe po wojnie światowej były równie niepopularne jak przez ostatnie sto lat. Po katastrofie szeroka europejska opinia publiczna w postaci czytelników gazet, polityków oświatowych i nauczycieli szkół powszechnych straciła wiarę w rozsądny porządek świata i zaczęła szukać zbawienia w porządku nierozsądnym. W samym tylko Zurychu było dziesięć razy więcej astrologów niż astronomów; ogromną popularnością cieszyły się spirytyzm i antropozofia, psychoanaliza i sekty religijne, jak również kuracje za pomocą opium, seksualne liberyństwo i diety witariańskie. Nauki ścisłe natomiast musiały wziąć na siebie główną winę za zmechanizowane zabijanie na polach bitew, którego nie spowodowały wprowadzenie umyślnie, ale ze wszystkich sił doprowadziły je do skrajności, niemożliwej bez ich udziału.

W dodatku realny świat właścicieli fabryk w znacznym stopniu przestał się interesować fizyką, odkąd jego maszyny parowe, lokomotywy i turbiny funkcjonowały bez zarzutu. Fabrykanci nie chcieli słyszeć o nowych projektach badawczych, które nie obiecywały praktycznych korzyści, a jakaś podejrzana teoria względności groziła podważeniem prostej i pożytecznej mechaniki Newtona. Co się zaś tyczy oderwanych od życia dziwaków w szkołach wyższych, to właściciele fabryk nie mieli dla nich żadnego zajęcia.

Wprawdzie Felixowi Blochowi było na rękę, że nikt się nim nie interesuje i nikt mu nie mówi, co ma robić, ale na początku studiów na pewno by mu się przydało, gdyby ktoś nim trochę pokierował. Ponieważ na wydziale nie było nikogo, kogo mógłby się poradzić, więc zestawił swój program zajęć na podstawie dobrego brzmienia ich tytułów. Zapisał się więc na „Teorię kwantową widm masowych” do Debye’go, na „Promienie rentgenowskie” do Scherrera oraz „Filozofię matematyki” do Weyla i według tej samej metody wybrał jako pierwszą fachową lekturę *Budowę atomu i linie widmowe* monachijskiego profesora Arnolda Sommerfelda.

Ku uldze Felixa profesor pisał w przedmowie, że zamierza „umożliwić niefachowcom wniknięcie w nowy świat wnętrza atomu”, a „zastosowanie matematyki w interesie ogólnego zrozumienia ograniczył tak, jak to tylko możliwe”, aby krótko i bez niezrozumiałych formuł przedstawić „wstępne fakty fizyczno-chemiczne”, na których opiera się nowa fizyka atomowa. Jednak już na pierwszej stronie Felix potknął się na pojęciach, których znajomość z góry zakładano, tymczasem on miał z nimi do czynienia po raz pierwszy. Po pierwszym rozdziale musiał przyznać, że nie rozumie już faktów przygotowujących wywód, ponieważ brak mu niezbędnej wiedzy podstawowej. Gdy próbował przyswoić sobie te podstawy, okazało się, że brak mu podstaw także do tego.

I tak na przykład już na stronie pierwszej była mowa o polu elektromagnetycznym. Żeby się dowiedzieć, o co tutaj chodzi, poszedł do

biblioteki i wypożyczył *Teorię elektryczności* Maxa Abrahama. Ten w swojej przedmowie również zapewniał, że podczas pisania książki jego najwyższą zasadą była powszechna zrozumiałość, ale już w pierwszym rozdziale używał takich zagadkowych pojęć jak „promieniowanie korpuskularne” i „teoria cykliczna”, dla których wyjaśnienia Felix znów musiał pożyczyć inne dzieła.

Felix dokładał wszelkich starań, żeby przyswoić sobie podstawową wiedzę, przekonał się jednak, że ludzki rozum przypomina mięsień, który przy nadmiernym nakładzie pracy ma skłonność do paraliżu i nawet przy regularnym treningu tylko w ograniczonej mierze zdolny jest do wydajniejszej pracy.

Kiedy czytał drugi rozdział, w którym profesor Sommerfeld omawiał „centralne i peryferyjne właściwości atomu”, był bliski rezygnacji, a gdy w czwartym rozdziale musiał stawić czoło „przygotowawczym uwagom do teorii kwantowej”, odczuł narcystyczną obrazę swojego słabego mięśnia mózgowego do tego stopnia boleśnie, że poważnie zaczął się zastanawiać, czy nie oddać książki i nie wrócić ze skrucą do konstruktorów maszyn i projektowania pokryw studzienek kanalizacyjnych.

Przy fizyce atomowej pozostał może głównie dlatego, że nie chciał się skompromitować przed ojcem. Po paru tygodniach i miesiącach wyniósł ze swoich studiów również przyjemne doświadczenie: że nawet najtrudniejsze myśli stawały się łatwo zrozumiałe, gdy już się je pojęło; poza tym w miarę postępu studiów luki w jego wiedzy stopniowo się zmniejszały lub przynajmniej dało się już wyczuć, gdzie znajdują się ich brzegi. Wprawdzie nadal czuł się jak niedźwiedź polarny płynący na małej krze poznania po oceanie niewiedzy, z czasem jednak pojawiły się inne kry, mógł przeskakiwać z jednej na drugą, przybywało ich, a odległości między nimi malały i pod koniec drugiego semestru grupa kier połączyła się w wyspę z paku lodowego, na której Felix miał już dosyć bezpieczne stanowisko.

Potem poznał kolegów, którzy przeżywali to samo. Każdy balansował na swojej osobistej, powstałej raczej przypadkowo krze w nadziei, że pewnego dnia odkryje akademicką nową ziemię. Jedni przymocowywali kabel elektroenergetyczny do kryształów soli i próbowali zrozumieć, co się dzieje w ich wnętrzu, inni przepływali na drugą stronę Renu, żeby w niemieckich aptekach kupować radioaktywną pastę do zębów marki Doramad i rozsmarowywać ją na cieniutkiej metalowej folii, a jeszcze inni patrzyli w kosmos i wyobrażali sobie potężne eksplozje wewnątrz gwiazd.

Kiedy nadeszła wiosna, Felix Bloch zaprzyjaźnił się z dwoma doktorantami z Niemiec, starszym o pięć lat Fritzem Londonem i starszym o rok Walterem Heitlerem, którzy przyjechali do Zurychu jako asystenci Schrödingera. Próbowali wpaść na trop sił wiążących w molekułach, podgrzewając wodór i poddając go naświetlaniu. W weekendy spacerował z nimi po Höggerbergu albo prowadził ich na wycieczki górskie w Alpy Glarneńskie. Fritz London i Walter Heitler

najbardziej imponowali Felixowi Blochowi natychmiastową zdolnością układania i rozwiązywania w głowie równań różniczkowych i całkowych tonem pogawędki pośrodku alpejskiej hali. Przez większość czasu siedł za nimi i próbował zrozumieć, o czym mówią.

Kiedy w ostatni weekend przed wakacjami letnimi wyruszyli na wędrowkę po Urnerboden, przyłączył się do nich doktorant z Danii. Podczas pieczenia kiełbasek Duńczyk wyśmiewał przestarzały model atomu swojego nauczyciela Nielsa Bohra i wspominał mimochodem, że sam wykonał kilka dość kompleksowych obliczeń molekularnych, które w razie czego można by sprawdzić za pomocą spektroskopii ultrafioletowej.

Co prawda Felix nie miał jeszcze wyrobionego poglądu na temat modeli atomu i nie wiedział, co wyobrażać sobie pod pojęciem obliczeń molekularnych i spektroskopii ultrafioletowej, domyślał się jednak, że oto obok niego przepływa piękna kra, którą warto by przyciągnąć hakiem abordażowym. Zapytał więc Duńczyka, co to za obliczenia i jak dadzą się sprawdzić eksperymentalnie, na co ten wyciągnął z plecaka kopię swojej pracy. Felix odłożył pieczoną kiełbasę i przeczytał pracę od początku do końca. Obejmowała ona pięć stron w zeszytce formatu kwarto. Daleki był od zrozumienia całej treści, pojmował jednak intuicyjnie, o co chodzi. Felix Bloch domyślał się, że dokładnie to jest dla niego właściwe zadanie – dające się ogarnąć pod względem wielkości, ale nie bez znaczenia.

Kiedy wracali do Zurychu autobusem pocztowym, zebrał się na odwagę i zapytał Duńczyka, czy może przepisać jego pracę i samemu spróbować eksperymentalnego dowodu. Na to Duńczyk zapytał go z szyderczym spojrzeniem z ukosa, czy ma może pod ręką spektrograf. Niestety nie, odpowiedział Felix. Tak przypuszczałem, rzekł Duńczyk, według jego wiedzy takiego przyrządu nie ma nigdzie między Rzymem a Kopenhagą.

Następnego dnia, w poniedziałek, Felix zaniósł pracę do Paula Scherrera, swojego profesora fizyki eksperymentalnej. Ten przeczytał ją uważnie, pogładził z uznaniem podbródek i zwrócił mu kartki z uwagą, że do eksperymentalnego dowodu potrzebny jest spektrograf. I w tym właśnie trudność, odpowiedział Felix, bo jemu także o tym wiadomo. Na to profesor wyjął z szuflady biurka kilka pryzmatów kwarcowych, podszedł z nimi do okna i trzymał przez chwilę pod słońce, a wtedy na podłodze rozlały się wszystkie kolory tęczy. Dwaj mężczyźni stali w milczeniu obok siebie i obserwowali widowisko, dopóki profesor nie zabrał pryzmatów i tęcza nie zgasła.

Jeśli pan chce, może pan zbudować własny spektrograf, powiedział. Potrafi pan być wytrwały?

Następnych dziesięć miesięcy Felix Bloch spędził w piwnicy bez okien, na drugiej podziemnej kondygnacji głównego budynku ETH. Wychodził wczesnym

rankiem z rodzicielskiego mieszkania, wracał późnym wieczorem, a w międzyczasie opuszczał na krótko piwnicę, żeby posłuchać jakiegoś wykładu lub pospacerować po tarasie widokowym i nie odzwyczaić całkiem oczu od światła dziennego. Golił się już tylko raz na tydzień, żywił czarnym chlebem i suszonymi figami, a poza tym oddawał się całkowicie pracy konstruktorskiej.

Umocował śrubami swoje przyzmaty na mosiężnych uchwytych i z blachy miedzianej skonstruował małe przysłony do lampy próżniowej. Chodził do sklepu i kupował tuzinami lusterka kosmetyczne, w warstwie srebra wydrapywał maleńkie dziurki różnej średnicy i zakrywał je złotą, srebrną lub aluminiową folią. Na pchlim targu nabył stare lornetki, rozłożył je na części i umieścił soczewki między lampą a przyzmatami, żeby skupić światło. Hodował kryształ soli, stawiał je w świetle i obserwował, jak rozszczepiony promień układa się w kolory tęczy. Kiedy w tęczy brakowało jakiegoś koloru, odnotowywał to i podgrzewał kryształ soli o dziesięć stopni Celsjusza. Jeśli wtedy brakowało w tęczy innego koloru, odnotowywał również to i podgrzewał kryształ o kolejne dziesięć stopni.

Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu Felix spędzał w ten sposób czas w ciemnej piwnicy. Im więcej danych zebrał, tym bardziej było widać, że jego rezultaty zgadzają się z przepowiedniami Duńczyka. A im bardziej oczywiste stawało się dla Felixa, że również tutaj powzięta wcześniej myśl znajduje odpowiednik w świecie rzeczy jak wtedy, gdy wyliczył z góry, ile potrwa tamten jesienny dzień w Zurychu, tym bardziej rosła w nim wiara, że kolory tęczy na ścianie piwnicy faktycznie są widocznym odbiciem atomów.

Gdy powróciła wiosna, znów podjął wędrówki z Fritzem Londonem i Walterem Heitlerem i poczynił nowe doświadczenie: tym razem to on gawędził mimochodem podczas wspinaczki na szczyt, podczas gdy inni, posapując, próbowali dotrzymać mu kroku. Felix mówił o częstotliwościach, absorpcjach i impulsach, o rozproszeniu światła i amplitudach, a kiedy przyjaciele dopytywali się o szczegóły, udzielał im odpowiedzi z suwerennością eksperta, który opanował swoją dziedzinę jak pewnie nikt inny na świecie.

Rozdział czwarty

Zgodnie z oczekiwaniami Emile Gilliéron senior pozostał w Grecji nie kilka miesięcy, tylko znacznie, znacznie dłużej. Wprawdzie zaczął tęsknić za krajem już po kilku tygodniach, kiedy zwietrzały orientalne uroki nowej ojczyzny i zaczęło go irytować chłopskie grubiaństwo Greków, ich tępa wiara w popów i zaściankowość ich stolicy, która pod niejednym względem przypominała mu rodzinne miasteczko Villeneuve. W samotne wieczory siadał z butelką czerwonego wina na tarasie Hotel d'Angleterre, w gasnącym świetle dnia obserwował Akropol i marzył o własnym domku nad Jeziorem Genewskim, który już niebawem zbuduje w małej zacisznej zatoce kilkaset metrów od portu. Kiedy butelka była pusta, otwierał czasami drugą, a kiedy i ta została opróżniona, zazwyczaj postanawiał od razu następnego dnia napisać list do Villeneuve i poprosić starego bezdzietnego rybaka, do którego należała ziemia w zatoce, o sprzedaż działki budowlanej.

Ale gdy następnego ranka budził się z tępyim bólem głowy i siedział przy śniadaniu, i popijał kawę, nigdy w końcu nie napisał tego listu. Po pierwsze rybak nie sprzedałby mu ziemi, ponieważ żaden mieszkaniec Villeneuve nigdy nie sprzedawał ziemi, chyba że Pan Bóg, perski szach albo egzekutor sądowy z Lozanny przystawiłby mu nóż do szyi. Po drugie mieszkańcy Villeneuve nigdy by mu nie pozwolili na budowę domku, bo w przeciwnym razie nie musieliby przecież palić jego atelier. A po trzecie tak długo nie uznałoby go za jednego ze swojego grona, dopóki miał w bagażu niebieskie kaftany. Lub nawet żółte. Chyba że w ich kieszeniach byłyby pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy. A te pieniądze, co do tego Emile nie miał wątpliwości, mogły pochodzić tylko od Schliemanna.

Żeby zarobić pieniądze, Emile towarzyszył swojemu chlebodawcy do Troi i do Myken. Jego rysunki były wielokrotnie czytelniejsze i bardziej zrozumiałe niż zamglone fotografie, które wykonywał osobisty fotograf Schliemanna za pomocą drewnianej skrzynki i szklanych płytek. I w odróżnieniu od fotografa Emile potrafił odwzorowywać także rzeczy w ogóle nieistniejące. Kiedy Schliemann życzył sobie tego, wypełniał białe plamy na malowidłach ściennych, dorabiał odłamane kończyny do uszkodzonych posągów bogów lub uzupełniał gliniane skorupy tak, że powstawały wspaniałe wazy.

Emile od pierwszego dnia miał w garści bogatego Prusaka. Schliemann nie chciał i nie mógł już zrezygnować z jego usług, bo Emile był szybkim, sumiennym i godnym zaufania rysownikiem, który potrafił odtworzyć każdą statuetkę, każdą monetę i każdą wazę z wielką dbałością o szczegóły. Ale nie to było najważniejsze. Tym, co wyróżniało Emile'a z tłumu studentów sztuki, którzy w panhelleńskiej

euforii napłynęli z całej Europy do Aten, żeby znaleźć utrzymanie w klasycznej starożytności, było niezawodne wycucie życzeń Schliemanna, które Gilliéron odgadywał lepiej niż on sam. Odgadywał jego słabość do złotych świecidełek i dezaprobatę dla wszelkiego, co powszednie, i rozumiał, że władczy charakter Schliemanna nie znosi nierozwiązanych zagadek. Z bezimiennego czubka brody powstało więc oblicze Posejdona, a gliniane naczynie z prochem nie pozostało po prostu urną, lecz przekształciło się przynajmniej w miejsce spoczynku Agamemnona. Albo Penelopy. Jeśli nie samego Tezeusza.

Gilliéron przywracał do życia wszelkie wspaniałości sztuki starożytnej dokładnie w tak nienaruszalnej całości, jak wymarzyłby to sobie Schliemann, gdyby dysponował niezbędną fantazją. Tym sposobem zrastali się obaj w zgrany duet. Co Schliemann kazał wykopać siłą swojego nieustępliwego uporu, to Gilliéron budził do życia mocą błyskotliwej wyobraźni. A gdy podobno raz i drugi zdarzyło się, że Schliemann kazał uprzednio zakopać wydobyte właśnie z ziemi świecidełka, to Gilliéron nie chciał o tym wiedzieć.

Schliemann potrafił docenić, że Gilliéron nie naprzykrza mu się niepożądanymi filozoficznymi rozważaniami o tym, gdzie przebiega granica między oryginałem, kopią, reprodukcją i falsyfikatem, ani nie stroszy piór z powodu artystycznych skrupułów czy naukowych wątpliwości. Po prostu robi, co mu się każe, cała reszta go nie obchodzi. Kiedy Schliemann chciał mieć głowę na bezgłowym posągu Hermesa, to ją tam rysował, a kiedy okręt na wazie potrzebował dziobu, dorysowywał dziób. Poza tym starożytność i archeologia były mu raczej obojętne, choć wydobyte z ziemi artefakty respektował jako to, czym były, a mianowicie godne uwagi próbki dość kompetentnych kolegów po fachu, którzy przed tysiącami lat na zawsze odłożyli pędzel.

O wiele bardziej interesowało go trzysta franków francuskich, jakie dostawał punktualnie z końcem miesiąca, butelka czerwonego wina po fajrancie i chichot wiejskich dziewcząt z Anatolii, przefruwających gromadnie za stołem, przy którym rysował.

Poza terenem wykopalisk miał mało kontaktów ze swoim chlebodawcą. Kiedy latem robiło się zbyt gorąco i gdy jesienne sztormy przynosiły nad Morze Egejskie pierwsze chmury deszczowe, wracali do Aten. Zimą Schliemann odbywał z młodą żoną długie podróże do Rzymu, Paryża i Londynu, a tymczasem Emile Gilliéron oszczędzał pieniądze, siedział w przegrzanym, a mimo to narażonym na nieprzyjemne przeciągi pokoju hotelowym i nudził się do wiosny, ponieważ Ateny nie były jeszcze prawdziwą europejską stolicą, lecz przypominały zaspianą osmańską prowincjonalną dziurę.

W każdym razie Gilliéron odnalazł na obczyźnie spokój duchowy, którego w domu w Villeneuve nigdy by pewnie nie odzyskał. Był szczęśliwy, że autochtoniczni mieszkańcy Aten będą go uważali po kres wszystkich czasów za

cudzoziemca i nigdy nie przyjmą do własnego grona; nie będzie więc musiał poddać się ich rytuałom inicjacyjnym, których jedynym celem we wszystkich społeczeństwach na całym świecie jest, jak wiadomo, pętanie i knebłowanie młodych mężczyzn. Ponieważ to niebezpieczeństwo zostało już zażegnane, Emile czuł się zwolniony z obowiązku noszenia niebieskich bądź żółtych kaftanów ku oburzeniu mieszkańców. W Atenach nie musiał też swoim zachowaniem urażać miejscowych notabli, za to mógł się odnosić do nich z taką samą pełną rezerwy grzecznością, jaką oni okazywali jemu jako uwierzytelnionemu cudzoziemcowi i uznanemu artyście.

Co kilka miesięcy wymuszał na Schliemannie podwyżkę pensji, zapowiadając nieodwołalny wyjazd. I jak każdy emigrant, kiedy czas mijał, wbrew woli zapuszczał na wygnaniu korzenie. Zaczął od wyprowadzenia się z Hotel d'Angleterre, ponieważ na dłuższą metę było to za drogie. Wynajął piękne mieszkanie ze stiukami na sufitach i przyjemnie zacienionym tarasem wychodzącym na ogród, zaangażował gospodynię, która wiernie czekała na niego i dosyłała mu pocztę, kiedy przebywał ze Schliemannem na wykopaliskach. Nauczył się greckiego i zawiązał przyjaźnię w małym kręgu bohemy ateńskiej, i stopniowo zyskał pewną sławę w kręgach dyplomatycznych stolicy jako najważniejszy człowiek Schliemanna.

A potem pojawiły się kobiety, które posyłały mu aksamitne spojrzenia. Bądź co bądź był kawalerem, przystojnym mężczyzną tuż po trzydziestce o dobrych manierach i z pieniędzmi w kieszeni. W siódmym roku pobytu poznał córkę włoskiego kupca o imieniu Giuliana, która całowała go z nieposkromionym żarem, przysięgała mu wieczną miłość i od pierwszego dnia śledziła go z dziką zazdrością. To było zupełnie nowe doświadczenie dla Emile'a Gilliérona. W domu, w spokojnym reformowanym Villeneuve, miał pewnie dwa lub trzy pragmatyczne romanse, a jako student sztuki kosztował słodkiej trucizny kapryśnych koleżanek, które bez przerwy potrafiły mówić o miłości, namiętności i siostrzanych duszach, ale w głębi serca pozostawały zimnokrwistymi i wyrachowanymi mieszczkańskimi córkami, jakimi zawsze były. Giuliana natomiast oddawała mu się całkowicie i nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do tego, że jest jej bożyszczem i że pozostanie mu wierna do końca swoich dni. Takie nagromadzenie śródziemnomorskiej namiętności także w Emile'u wzbudziło nieznaną mu wcześniej zapal i tym sposobem pobrali się w maju tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego roku. Trzydzieści miesięcy później, czternastego lipca tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku, przyszedł na świat ich jedyny syn, Emile junior.

*

W spisie cudzoziemców miasta Marsylii można przeczytać, że Laura

d'Oriano wróciła z Paryża dwunastego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego roku i znów zamieszkała u rodziców przy Quai du Port. Miała dziewiętnaście lat. Minęły dwadzieścia dwa miesiące od czasu, gdy niosła walizkę na dworzec Saint-Charles. Obecnie mieściły się w niej zupełnie inne rzeczy niż wtedy: dwadzieścia dwa miesiące okazały się długim czasem. Czytała inne książki i paliła inną markę papierosów, miała inną szczotkę do włosów, puder na twarzy był nowy, cienie do powiek i perfumy również. Ubierała się tak czy owak zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy stroje kupowała jej jeszcze matka.

Tylko walizka pozostała ta sama. Była to droga walizka podręczna ze świńskiej skóry najlepszej jakości z mosiężnymi okuciami i nalepkami dużych hoteli w Kairze, Bagdadzie i Bejrucie. Na skórze walizki widniały plamy z pleśni i rysy od częstego używania, lecz szlachetnie pociemniała przez wiele lat starannej pielęgnacji, zawiasy były dobrze posmarowane, a jedwabny futerał wielokrotnie wymieniany. Matka Laury zawsze poświęcała dużo uwagi temu, żeby bagaż dla całej rodziny był najlepszej jakości, bo w podróży nie ma nic bardziej irytującego niż popękane wieko walizki, urwany uchwyt lub połamane zawiasy. W drodze można i trzeba rezygnować z wielu rzeczy, jak zwykła mawiać, ale nie z porządnego bagażu ręcznego. Ktoś, kto podróżuje tak dużo jak oni, musi mieć niezawodne walizki. Ostatecznie także arabscy koczownicy nie wazyliby się wyjeżdżać na pustynię na wielbłądach drugiej kategorii, natomiast Indianie z plemienia Czejenów zawsze zachowywali przy życiu najszybsze i najbardziej wytrzymałe konie, a wszystkie inne przerabiali na suszone mięso.

Laura od najwcześniejszego dzieciństwa nosiła tę walizkę po świecie, uchwyt z biegiem lat doskonale dopasował się do jej ręki. Walizka pachniała subtelnie od zewnątrz pastą do skóry juchtowej, a w środku wodą kolońską, Laura już dawno zdążyła się przyzwyczaić do hochsztaplerskiego efektu, jaki bił od jej bagażu. Przed odjazdem z Paryża znowu się zdarzyło, że bagażowy zaniósł szlachetny okaz do pierwszej klasy zamiast do trzeciej i oczekiwał od niej napiwku, na który nie było jej stać. A kiedy walizka wylądowała wreszcie w trzeciej klasie w siatce bagażowej nad jej siedzeniem, musiała znosić wiele mówiące spojrzenia współpasażerów, którzy porównywali arystokratyczny bagaż ze skromną powierzchownością dziewczyny i wyciągali z tego rozdzwiewku uwłaczające wnioski.

Po przybyciu do Marsylii wyjęła walizkę z siatki bagażowej i z miejsca odprawiła wszelkich tragarzy. Sama poszła na dworzec przed dwudziestoma dwoma miesiącami i teraz też sama wróci do portu. Dlatego nie uprzedziła rodziców o dniu i godzinie powrotu.

Prawdopodobnie zamieszkała znowu w swoim dawnym pokoju na drugim piętrze, skąd roztaczał się piękny widok na port, i znowu załatwiała za rodziców zakupy i zmywała naczynia, a ponadto pomagała w sklepie. Nie wszystko jednak

pozostało po staremu w czasie jej nieobecności. Rodzeństwo Laury wyfrunęło z domu. Bracia pracowali jako pomocnicy biurowi w Cannes i swoje wynagrodzenie za praktykę przepuszczali w niedzielę w Monte Carlo, obie siostry zaś uczęszczały do liceum dla dziewcząt w Nicei i na nadmorskiej promenadzie rozglądały się za rosyjskimi książkami. Ponieważ umilkł dziecięcy hałas, nie było też codziennej kakofonii rodzicielskich napomnień, gróźb i wiązanek wyzwisk. W ciszy, jaka zagościła w domu, trzech pozostałych mieszkańców chodzili obok siebie na palcach i traktowali się wyrozumiale.

Ojciec cierpiał na bóle wątroby i obcą mu monotonię osiadłego życia, do którego zmuszał go chroniczny brak pieniędzy; nie mógł przywyknąć do budzenia się co rano w tym samym łóżku i wysłuchiwania zawsze tych samych opowieści stałych gości w zawsze tych samych ogródkach kawiarnianych Starego Portu. Matka natomiast była zadowolona, że skończyło się włóczęgowskie życie. Ale w ciche wieczory, kiedy zegar ścienny tykał, a małżonek zasypiał z opróżnioną do połowy szklaneczką brandy w ręku, tęskniła za powrotem świateł rampy i zachęcających okrzyków publiczności, gdy pokazywała podwiązkę.

Na dodatek codzienna praca w składzie nut nudziła małżonków; nawet we śnie nie przypuszczali, że życie kupieckie okaże się tak monotonne. Dlatego byli wdzięczni córce, że po powrocie wzięła odpowiedzialność na swoje barki. Laura załatwiała posyłki i myła okna wystawowe, rano zamiatała chodnik przed składem, a wieczorem po zamknięciu sklepu pastowała parkiet, w poniedziałek czwartego tygodnia wzięła przy śniadaniu klucz do sklepu i powiedziała rodzicom, że nie muszą się śpieszyć z poranną toaletą, potem zaś mogą pójść na godzinkę do kawiarni poczytać gazetę. Tak też zrobili. Następnego ranka znów poszli do kawiarni i dzień później też, a niebawem pokazywali się w sklepie wyłącznie po południu, w zupełności pozostawiając interes córce.

Laurze odpowiadała taka sytuacja. Najbardziej lubiła przebywać sama, bo mogła wtedy rządzić się wedle upodobania, a w sklepie nie było dużo pracy. Podczas cichych godzin porannych stawała za ladą w odpowiedniej postawie i odśpiewywała gamy. Po południu siadała na krześle obok drzwi wejściowych na zalanym słońcem chodniku, paliła papierosy i obserwowała, co się dzieje w porcie. Kiedy do sklepu wchodził klient, podążała za nim do tonącego w półmroku wnętrza i wyszukiwała pożądane nuty. Większość klientów stanowili emigranci, którzy przed wielkim rejsem chcieli jeszcze naprędce nabyć kawałek muzycznej ojczyzny. Mozarta, Schuberta, Vivaldiego, Chopina, Bacha, Beethovena, Mahlera. Niektórzy zabierali w podróż także harmonijkę ustną.

Laura mogła spełnić prawie każde ich życzenie, asortyment był szeroki, a zasoby magazynu, który d'Oriano przejęli po poprzednikach, wydawały się wprost niewyczerpane; o dodatkowe zamówienia będzie musiała się martwić dopiero w przyszłości. Ponieważ nie powstawały żadne koszty z tytułu zakupów,

czynszu lub wynagrodzeń, Laura mogła zaksięgować wszystkie wpływy jako zysk. To znacznie ułatwiało buchalterię.

Po jej powrocie obroty zwiększyły się trzykrotnie. Laura była dobrą sprzedawczynią. Każdego klienta traktowała z taką samą rzeczową uprzejmością, a z większością z nich mogła rozmawiać w ich języku ojczystym. Poza tym świetnie orientowała się w swoim sklepie i niezawodnym ruchem wyciągała to, czego żądano. A kiedy klient wychodził ze sklepu zadowolony, patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w strumieniu ludzi, i wyobrażała sobie, jak płynie z jej nutami przez morze i osiedla się w dżungli, na sawannie lub w kantorze handlowym na końcu świata, i jak w ciągu dnia spełnia jakieś obowiązki, a wieczorem w migotliwym świetle lampy naftowej przy akompaniamencie nocnych wrzasków szympanów złany potem przez wiele godzin ćwiczy Mozarta, Schuberta lub Chopina, by pewnego dnia ciężko chory, z ciężką kasą lub ciężko rozczarowany powrócić do dawnej ojczyzny.

Niezwykłe było to, że klienci składu nut w większości wyróżniali się nadzwyczaj dobrymi manierami. Nie miało to nic wspólnego z ich upodobaniem do muzyki – wśród muzyków zawsze zdarzały się największe gbury i głupty – tylko z ich planami podróznymi. Klienci Laury dlatego okazywali się tak uprzejmi, że jako emigranci mieli przed sobą cel, którego nie chcieli narazić na niebezpieczeństwo przez niepotrzebne nieprzyjemności. Dlatego dbali o to, by nigdzie nie rzucać się w oczy i nie wywoływać zgorzenia.

Przed wyjazdem z ojczyzny byli może całkiem zwyczajnymi, średnio gburowatymi wiejskimi cepami, którzy w błogim cieple ojcowskiego koryta czuli się silni i nietykalni i dlatego nie musieli być specjalnie uprzejmi wobec swoich bliźnich. Ale potem z takiego czy innego powodu opuścili dom, za duże pieniądze kupili bilet na statek i do czasu wypłynięcia w morze w miarę możliwości unikali wszystkiego, co mogłoby im jeszcze przeszkodzić w wejściu na pokład.

Nie ucinali sobie południowej drzemki na ławkach w publicznych parkach i nie topili bólu pożegnania w anyżówce, a gdy sprzedawca gazet oszukał ich przy wydawaniu reszty, nie wywoływali z tego powodu awantury, tylko machali ręką. Kiedy wchodzili do sklepu Laury, rozmawiali cicho i z uśmiechem wyrażali swoje życzenia w formie prośby, nigdy nie próbowali się targować i zawsze płacili gotówką. Żadnemu z nich nigdy nie przyszłoby do głowy, by w ostatniej chwili narażać przez kradzież swoje miejsce na statku emigrantów.

Obok emigrantów byli też stali klienci z dzielnicy: paru gimnazjalistów, nauczycielka gry na pianinie, dwie lub trzy starsze panie. Od czasu do czasu zdarzało się jednak, że do składu wkraczał marynarz, twierdząc, że interesuje się muzyką. Wtedy Laura wiedziała, że czeka ją nieprzyjemny kwadrans. Załogi statków składały się bowiem w dalszym ciągu z owych kulejących, siwowłosych i bezzębnych osobników, po wojnie światowej wyciągniętych z azylów dla

starców, żeby zastąpili młodych marynarzy, którzy utonęli.

Starzy marynarze nie prawili Laurze komplementów ani nie zapraszali jej na Gin Fizz na esplanadzie, jak robiliby to młodzi, lecz opowiadali sprośne kawały i kazali pokazywać sobie setki nut, nie kupując nigdy żadnych. Pędzili wciąż Laurę od regału do regału i po drabinie na górę, żeby móc gruntownie ocenić jej łydki i dekolt i może przy okazji złapać sękatymi palcami za spódnice. Kiedy im się nie udawało, strzykali sokiem z tytoniu do zucia na parkiet i opowiadali ostatni dziwaczny dowcip, który był może zrozumiały w poprzednim stuleciu, po czym, kłapiąc butami, kuśtykali do wyjścia.

Przed starymi, nie przed młodymi marynarzami należało się mieć na bacności, o czym Laura szybko się przekonała. Młodzi marynarze okazywali się niegroźni, w ich przypadku zawsze było wiadomo, jakie mają zamiary. Chłopcy chcieli po prostu gromadnie włóczyć się od knajpy do knajpy, wyzłopać jak najwięcej przez jak najwięcej godzin, a na koniec, jeśli się jeszcze dało i wystarczyło pieniędzy, przelecieć gdzieś jakąś panienkę.

Niebezpieczeństwo groziło ze strony starych marynarzy, którzy z niejednego pieca chleb jedli, przemierzając morza i oceany, i w ciągu długiego żeglarskiego życia na własnej duszy doświadczyli wszelkich podstępów i podłości tego świata. Większość pozostawała wieczorami na pokładzie swoich spróchniałych drewnianych statków i kładła się wcześniej spać, żeby śnić o lepszych czasach, których być może nigdy nie zaznali. Niektórzy jednak po zapadnięciu nocy zwlekali się jeszcze raz z koi, taszczyli swoje zmurszałe kości po trapie na nabrzeże i zanurzali się w ciemnych uliczkach Starego Portu. To byli ci niespokojni, niepozberani, nieprzejednani – naprawdę niebezpieczne osobniki.

Ci starzy marynarze nigdy nie wędrowali gromadnie od knajpy do knajpy: zawsze chodzili w pojedynkę. Potrafili ukłonić się grzecznie starszej pani, a przechodząc obok, jeszcze szybko poderżnąć gardło jej pieskowi na smyczy. Zwykle rozrywki młodzieży już im nie wystarczały. Kiedy kupowali sobie uliczne dziewczyny, to tylko dlatego, że rozkoszowali się myślą, że zaraz zarażą je chorobą, która od dziesiątków lat oddawanie moczu zamieniała im w udrękę. Kiedy zaś włóczyli się po knajpach portowych, nie chcieli śpiewać ani śmiać się jak młodzi, lecz czatowali na pretekst, żeby znów komuś obciąć ucho albo wykłuć oko.

Laura wiedziała to wszystko. Potrwa jeszcze kilka lat, zanim nowo zbudowane parowce przywiozą do Marsylii młodych, zdrowych marynarzy, ale do tego czasu będzie się mieć na bacności przed starymi. Kiedy zapadał zmierzch, brała krzesło i siadała w świetle ulicznej latarni, gdzie można ją było dostrzec z daleka, a gdy wieczorami zdarzało jej się jeszcze wychodzić, kupić papierosy albo załatwić opium dla matki, omijała ciasne uliczki i trzymała się latarni gazowych przy dużych bulwarach.

W Paryżu natomiast Laura musiała się mieć na bacności przed młodymi

mężczyznami, nie przed starymi. Kiedy na ulicach Paryża widziało się starego mężczyznę, można było przyjąć, że nie jest to nowo przybyły człowiek, ale ktoś, kto przeżył w Mieście Świateł kilkadziesiąt lat. Gdy komuś tak długo udało się utrzymać na powierzchni, oznaczało to, że znalazł swoje miejsce w świecie. Miał emeryturę i mieszkanie, i przy odrobinie szczęścia kobietę, która smażyła mu szynceł wołowy, a gdy było trzeba, drapała go po plecach; a jeśli nie miał tego wszystkiego, to miał przynajmniej miejsce do spania pod mostem i własną metodę codziennego zdobywania chleba, szynki i czerwonego wina. Poza tym starzy mężczyźni w Paryżu dziwili się codziennie na nowo, że w ogóle jeszcze żyją po wszystkich wojnach i kryzysach, i rewoltach minionych dziesięcioleci, i dlatego nie krzywdzili nikogo, i byli zadowoleni, kiedy zostawiano ich w spokoju.

Jak nieszkodliwi byli w Paryżu starzy mężczyźni, tak niebezpieczni okazywali się młodzi – dziesiątki tysięcy pozbawionych ojczyzny, osieroconych przez matki i próżno szukających jakiegokolwiek pociechy typów, którzy po wojnie wypęzili z okopów Europy, a wojenne widziadła ścigały ich po mieście. Wielu nawet po dziesięciu latach miało oczy szeroko otwarte ze strachu, wielu się jękało i drżało w dalszym ciągu, a w nocy nie mogło spać, wszyscy zaś byli głodni, spragnieni i zachłanni i nie znali poranka i taryfy ulgowej ani dla siebie, ani dla nikogo innego.

Natykając się na takich facetów na ulicy, Laura rozpoznawała ich z daleka. Nauczyła się nie dostrzegać ich spojrzeń i nie słyszeć rzucanych szeptem zaproszeń, z czasem nie dawała się też nabierać na doraźnie inscenizowane jednoosobowe dramaty – nagłe omdlenia, przysięgi miłosne i udawane skoki z mostu – ani razu w ciągu tych dwudziestu dwóch miesięcy nie popełniła błędu i nie dała się wciągnąć w rozmowę z żadnym z nich.

Kiedy zdała egzamin wstępny do konserwatorium i uiściła opłaty semestralne, wprowadziła się do pokoju mansardowego z ospowatą tapetą oraz oknem na podwórze, który mieścił się przy rue du Bac: latem było tam nieznośnie gorąco, a zimą panował przejmujący chłód. Pokój znajdował się w jednym szeregu z siedmioma innymi, a naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza, ciągnęło się osiem kolejnych pokoi mansardowych, gdzie czynsz był trochę wyższy, gdyż okna wychodziły na ulicę. W tych szesnastu pokojach mieszkało szesnaście kobiet w mniej lub bardziej młodym wieku; wszystkie były uczennicami konserwatorium i potrafiły już jako tako śpiewać, wszystkie też miały przed oczami ten sam cel: zostać kiedyś wielką śpiewaczką. Niektóre miały nader wyraźne wyobrażenie swojej przyszłości: jak stoją w świetle reflektorów Théâtre Capucin, Mathurina, Olympii lub wręcz Opery, innym zaś tylko rozsadzało pierś owo wielkie, bezkresne uczucie, któremu pewnego dnia miały nadzieję nadać wyraz.

W pierwszych dniach Laura ucieszyła się nawet z sąsiedztwa piętnastu towarzyszek sztuki wokalne i miała nadzieję, że z jedną czy drugą zdoła się

zaprzyjaźnić. Rychło jednak musiała przyjąć do wiadomości, że przyszłe boginie śpiewu, kiedy spotykała je w korytarzu, w najlepszym razie gotowe były wyszeptać przelotne pozdrowienie i trzepocząc rzęsami, przemykały obok, jakby się okropnie śpieszyły i przed pójściem na bankiet do Ritza musiały spławić czatujących przed budynkiem wielbicieli, podpisać niezliczone karty dla łowców autografów, a potem jeszcze szybko zajrzeć do swojego agenta, krawcowej i administratora majątku.

Prawda jednak była taka, że żadna z nich w wielkim mieście nie знаła żywej duszy oprócz nauczycieli w konserwatorium i straganiarki na rogu, u której codziennie kupowały kilogram jabłek. Nie miały pieniędzy na kino ani teatr, ani na eleganckie restauracje, nikt nie znał ich nazwisk i nie miały najmniejszych widoków na płatne zajęcie, jeśli nie chciały zadawać się z jakimś obskurantem z Passy, który zaczepiał je w metrze i proponował rolę metresy za dwadzieścia franków tygodniowo. Jediną rozrywką pozostawały im więc codzienne spacery po Ogrodzie Luksemburskim lub po ogrodzie botanicznym, gdzie na podstawie gry barw platanów obserwowały zmianę pór roku i wyobrażały sobie, jak w niezbyt odległej przyszłości spełnią się ich marzenia. A ponieważ dumne żelazne bramy parków zamykane były na noc wielkimi kluczami, wieczory spędzały samotnie w swoich izdebkach na poddaszu.

Szesnaście mieszkanek pensjonatu przy rue du Bac tworzyło klasztorną wspólnotę. W ciągu dnia uczęszczały pilnie na lekcje śpiewu, a wieczorami ćwiczyły grzecznie gamy, pamiętały o odpowiedniej ilości snu i korzystały z sekretnych rad podszeptywanych im przez nauczycieli lub starsze koleżanki. Jedne uważały, że najlepiej służy napar z kopru włoskiego i czarna czekolada, ponieważ wzmacnia elastyczność strun głosowych, inne piły surowe jaja i ćwiczyły oktawy, stojąc na głowie. Jeszcze inne masowały sobie splot słoneczny olejkami migdałowymi albo w nocy wkładały pod poduszkę kwiaty lawendy.

Laura rzuciła palenie, ponieważ tak rozkazali nauczyciele, co nie przyszło jej wcale tak trudno; papierosów brakowało jej tylko jako zajęcia dla rąk, kiedy między dwiema jednostkami ćwiczeniowymi siedziała w swoim pokoju i przez cienkie ściany słuchała głosów piętnastu koleżanek oraz ich etiud, które wiecznie zaczynały się w tych samych miejscach. Jedne miały cienkie, ochryple dziewczęce głosy, inne dysponowały okrągłymi, dobrze wykształconymi kobiecymi głosami. Oprócz tego było też cztery czy pięć głosów – jeden na lewo od Laury, jeden po drugiej stronie korytarza i dwa albo trzy na jego końcu – które z przenikliwą, bezwzględną i bezwstydną namiętnością zagłuszały, odsuwały w cień i tłamsiły wszystkie pozostałe.

Głosy te dlatego były tak namiętne, że ich właścicielki straciły wszelki wstyd z powodu zbyt wielu przeżywanych cierpień. Nie trzeba było znać ich życiorysów, by zrozumieć, że te kobiety opłakiwały swoich braci, ojców lub synów albo swoje dzieciństwo bądź niewinność swoich siostr lub upadek rodzinnej wioski. Laura

śluchała ich pieśni, które były jednym wielkim płynącym z głębi duszy płaczem, szlochem i błaganiem, i kuliła się ze wstydu za te kobiety, i zadawała sobie pytanie, ile cierpienia potrafi wytrzymać głos śpiewaczy, zanim stanie się śmieszny.

Ku swemu rozczarowaniu na całej długości korytarza nie znalazła żadnego głosu, któremu chciałaby dorównać. Najmniej interesowały ją ochryple głosy dziewczęce, gdyż podobny głos miała ona sama. Dobrze wykształconymi głosami kobiecymi pogardzała, ponieważ z własnej winy pozostawały one poniżej swoich możliwości. Najbardziej jeszcze podobały jej się bezwstydne głosy kobiet doświadczonych cierpieniem, nawet jeśli nie trafiały dźwięku na zawołanie i nigdy nie będą znały innej partytury niż ta opisująca ich własną duchową udrękę.

Ale geniuszu – tego małego, dodatkowego czegoś, czego nie można się nauczyć, tej jednej rzeczy, o którą naprawdę chodzi – nie miała żadna z nich.

Po miesiącu Laura wiedziała z dość dużą dozą pewności, że żadna z mieszkańek poddasza przy rue du Bac, z nią samą włącznie, nie ma talentu do czegoś wielkiego. Bez wątpienia wszystkie były delikatnymi i wrażliwymi duszami, ale wielką śpiewaczką – prawdziwą artystką, która porusza publiczność do głębi serca, ponieważ ma do przekazania własne, oryginalne przesłanie, tak ważne i prawdziwe, że ludzkość będzie o niej pamiętać jeszcze za sto lat – taką artystką nie zostanie żadna z nich.

Jednej czy drugiej wystarczy może talentu na szansonistkę albo na śpiewaczkę kabaretową, najładniejsze przy odrobinie szczęścia, jeśli będą wdzięcznie pokazywać podwiązkę i dekolt, będą mogły czasem wykonać lekką piosenkę w Folies Bergère albo w Moulin Rouge; niektóre przez całe lato będą próbować swoich sił jako śpiewaczki uliczne, a najodważniejsze pojedą może jako *danseuses orientales* na tournée po nocnych kawiarniach Barcelony, Madrytu i Rzymu. Prędzej czy później jednak każda z nich, jeśli okaże się mądra, wróci do rodzinnej wioski i w porę wyjdzie za mąż za dentystę albo notariusza, albo właściciela knajpy, którego znała od dzieciństwa i który nie będzie chciał zbyt dokładnie wiedzieć, co porabiała w tym Paryżu.

A co z wielkim, bezkresnym uczuciem, któremu Laura pewnego dnia miała nadzieję nadać wyraz? Ach, również ono nie było niczym szczególnym, wszystkie jej koleżanki bez wyjątku strzegły w piersi dokładnie tego samego. Laura poznała to po tym, że także inne kobiety przy wchodzeniu po schodach zatopione w rozmarzeniu przejeżdżały czubkami palców po wytłuszczonej tapecie i czasami bez widocznego powodu siadały na najwyższym podeście, żeby popatrzeć w zamyśleniu w niewidzialną dal, jakby mogły widzieć przez ściany najwspanialsze krajobrazy. Później uświadomiła sobie, że tapeta jest tak wytłuszczona tylko dlatego, że już przed nimi niezliczone pokolenia uczennic przejeżdżały po niej czubkami palców. A kiedy wreszcie dała sobie z tym spokój, odkryła, że również czeladnicy masarscy w spokojnych chwilach popatrują tak

w zamyśleniu w dal i nawet policjanci się zapominają i bawią kaburami, w których trzymają pistolet, gdy nie czują się obserwowani. Otóż uczucie to, w którym tak długo pokładała nadzieje na przyszłość, nie było niczym więcej niż odgłosem działania duszy, który słyszy w swoim wnętrzu każdy żywy człowiek, kiedy na chwilę zatrzyma się w zgiełku świata i trochę zwróci uwagę na samego siebie.

Ale było jeszcze coś innego. Od jakiegoś czasu nocą, kiedy Laura leżała w łóżku w ciszy wypełniającej jej pokój i zamykała oczy, słyszała swego rodzaju szum, zdający się pochodzić nie z jej piersi, lecz daleko spoza niej, może z otchłani kosmosu: coś jakby dalekie echo dźwięku, który w postaci zwykłych harmonii objawiał jej prosto i zrozumiale, z czego składa się świat w swoim najgłębszym wnętrzu. Kiedy Laura słyszała ten dźwięk, była szczęśliwa i czuła się zjednoczona ze wszechświatem. Gdy jednak następnego ranka w ustronnym kącie ogrodu botanicznego z wahaniem wybywała głos i próbowała odtworzyć ów dźwięk, nigdy nie wydawała z siebie ogarniającej cały świat formuły, tylko za każdym razem płaskie, pozbawione duszy skrzeczenie, które niczym się nie różniło od skrzeczenia jej sąsiadek.

Niemożność wyrażenia swoich odczuć była dla Laury straszliwym rozczarowaniem. Wprawdzie dzięki konserwatorium jej głos stał się czystszy i pełniejszy, poza tym trafiała teraz dźwięki z większą niezawodnością – ale nie o to przecież chodziło. Laura nie miała złudzeń. Za bardzo była artystką, żeby zamykać oczy na to, że nią nie jest. Nie było więc dla niej zaskoczeniem, kiedy nauczyciel śpiewu na koniec trzeciego semestru z typowym paryskim okrucieństwem oznajmił, że jej głos jest wprawdzie całkiem sensowny, ale nie da się go dalej rozwijać, z którego to powodu nie ma większego sensu trzymanie jej przez czwarty semestr w konserwatorium.

Tamtego wieczora płakała w swoim mansardowym pokoiku przy rue du Bac, a w sąsiednich pokojach płakały wszystkie dziewczyny, które tego samego dnia otrzymały taką samą decyzję. Jednak w odróżnieniu od nich Laura nie pocieszała się, obarczając winą za porażkę wrogie otoczenie, podłe czasy lub ograniczone horyzonty i upór nauczycieli, ale stawiała czoło faktom. Po prostu jej głosu nie dało się dalej rozwijać, szkoda, ale była to słuszna ocena. Także w szkołach baletowych dziewięćdziesiąt dziewięć karier na sto kończyło się z powodu zbyt szerokich tyłków i za krótkich nóg; było to uwarunkowane genetycznie i nikt nie ponosił za to winy. Nie każdy też, kto chciał, mógł zostać dentystą. Również niejeden młodzienc, który chętnie zostałby wynoszonym pod niebiosa bohaterem boisk piłkarskich, musiał przejąć po ojcu sklep warzywny.

W ciągu paru tygodni, jakie pozostały jej w konserwatorium, Laura dzielnie chodziła na swoje lekcje i pilnie ćwiczyła wieczorami. Ale z palenia papierosów już nie rezygnowała. I bądź co bądź miała jeszcze w piersi to uczucie. I szum dobiegający z kosmosu. I całkiem sensowny głos.

Bądź co bądź.

Rozdział piąty

Nadszedł czas, gdy Felix Bloch zakończył swoje eksperymenty, wrócił na światło dzienne i stwierdził, że osiągnął pewną popularność w małym świecie fizyki atomowej. Najpierw rozeszło się po Zurychu, że w piwnicach ETH ktoś robi niezwykle rzeczy, potem fama dotarła na inne uczelnie w kraju, a w końcu do instytutów naukowych w Europie, w których uprawiano fizykę atomową. Daleko mu jeszcze było do napisania dysertacji i miał dopiero dwadzieścia dwa lata, kiedy zaczęto go zapraszać na kongresy do Getyngi, Hamburga i Kopenhagi, żeby małym grupom przeważnie młodych ludzi referował zachowanie elektronów w różnych temperaturach, a potem za każdym razem musiał stawać przed inkwizycją skwaszonych starszych profesorów, którym nie po myśli była gadanina młodych fizyków wyrażających się nieostro i opowiadających się zarówno za, jak i przeciw.

Z tych przesłuchań Felix Bloch wychodził zawsze obronną ręką, bo nie wdawał się w spekulacje o związkach w skali makro, tylko stał obiema nogami na stosunkowo pewnym gruncie swojej kry i po prostu opowiadał o zmieniających się kolorach w spektrografie, jak sam się o tym przekonał i jak każdy mógł sprawdzić za pomocą odpowiedniej aparatury.

Felix Bloch czuł się już w fizyce atomowej jak w domu, jego profesorowie i koledzy stali się dla niego drugą rodziną; często zostawał z nimi w instytutowej kuchni do późnej nocy przy serze, chlebie i czerwonym winie, żeby dyskutować o wynikach najnowszych badań i w gronie ludzi połączonych wspólną pasją snuć rozważania na temat stanu świata.

Okazało się przy tym, że większość studentów podziela pacyfistyczną postawę Felixa i jego nadzieję na jaśniejszą przyszłość bez topornej mechaniki; w swojej niechęci do wszystkiego, co przemysłowe i maszynowe, niektórzy posuwali się tak daleko, że jako naukowcy całkiem pryncypialnie odrzucali pierwotną zasadę każdej maszyny – zasadę przyczynowo-skutkową – jako fikcję ludzkiego ducha. Starsi zarzucali takiemu neoromantycznemu egzystencjalizmowi, że jeśli z empirycznego punktu widzenia maszyna funkcjonuje, to jednak ewidentnie funkcjonuje, co dostatecznie dowodzi, że przynajmniej w fizyce pewne rzeczy mają przyczynę, a inne skutek; na to z kolei młodzi odpowiadali, że maszyna funkcjonuje jedynie jako wyraz ludzkiej idei i zawsze prowadzi do śmierci i zniszczenia, ponieważ zasada przyczynowości jest po pierwsze dziełem ludzi, a po drugie oznacza negację wszystkiego, co żywe i organiczne, co zawsze bez przyczyny i skutku rozwija się z samego siebie i wewnątrz siebie; na to zaś starzy prawili, że Księżyc chyba jednak nie stosuje się do ludzkich idei, skoro

trzyma się dokładnie dającej się przewidzieć orbity, a młodzi na to odpowiadali, że naiwnością byłoby rozpatrywanie fizyki atomowej jako swego rodzaju astronomii w miniaturze.

W ten sposób przebiegały dyskusje w kuchni instytutowej. Później, gdy opróżniono kilka butelek i starsze semestry pożegnały się i udały do domu, rozmowy młodych schodziły nieuchronnie na pacyfistyczny „Manifest do Europejczyków” podpisany przez Einsteina i na haniebną gorliwość, z jaką niektórzy z jego kolegów zameldowali się ochoczo jako pomocnicy wojenni.

Mówiono na przykład o Fritzu Haberze, profesorze chemii z Berlina, który dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku pod belgijskim miasteczkiem Ypres kierował pierwszym w historii atakiem z użyciem gazu bojowego, kiedy to po stronie francuskiej w niewiele minut uległo uduszeniu osiemnaście tysięcy żołnierzy. Albo o jego pięknej i mądrej żonie Clarze Immerwahr, która sama była doktorem chemii i ze wstydu za postępek męża zastrzeliła się z jego broni służbowej w ogrodzie ich berlińskiej willi. I znów o Fritzu Haberze, którego cesarz w nagrodę za ten masowy mord osobiście awansował z wicewachmistrza na kapitana i który jeszcze w dzień śmierci Clary wyjechał do Galicji, żeby przygotować następne ataki z użyciem chemicznej broni gazowej, skutkiem czego jej pogrzeb musiał odbyć się bez niego. Albo o chemiku nuklearnym Ottonie Hahnie, który razem z Fritzem Haberem w ojczyźnianej euforii odkręcił butle z chlorem, a potem dręczony wyrzutami sumienia biegał po polu bitwy z tlenem, żeby ulżyć umierającym strzelcom syberyjskim z poparzonymi płucami; albo o blamażu Hahna i Habera, gdy w samym środku wojny zaproponowali Reichswehrze smarowanie celowników w milionie karabinów radioaktywnie świecącym radem, żeby żołnierze mogli strzelać także w nocy; i o ministrze wojny, który entuzjastycznie podjął ten pomysł i kazał skonfiskować cały dostępny w Rzeszy rad, dopóki próby przeprowadzone w Bruck nad Litawą nie pokazały, że przy strzelaniu po ciemku w pierwszej kolejności powinien być oświetlony cel, a nie celownik; i o tym, że w roku zakończenia wojny akurat Fritz Haber otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii i że potem latami pływał po Atlantyku, daremnie próbując uzyskać z wody morskiej złoto potrzebne do spłacenia nałożonych na Niemcy kontrybucji, i że teraz jako komisarz Rzeszy do walki ze szkodnikami prowadził badania nad produkcją gazu, który miał służyć do uśmiercania gryzoni i robactwa. Owej wiosny tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku studenci fizyki nie mogli jeszcze wiedzieć, że ten gaz Habera miał przejść do historii pod nazwą „Cyklon B”.

Felix Bloch potraktował losy Hahna i Habera jako przestrożę, ale nie zachwiały one jego postanowieniem, żeby w życiu zawodowym poświęcić się badaniom fizycznym. Ci ludzie służyli maszynie, ponieważ byli synami swoich czasów i swojego imperium. On sam należał jednak do innych czasów i nie był

Niemcem. Tylko Szwajcarem.

Felix Bloch prawie całe dotychczasowe życie spędził w Zurychu. Jedyne na narty wyjeżdżał z rodzicami do Engadyny, a później podejmował długie wycieczki górskie w Alpy Glarneńskie. Tymczasem mówił już prawie bez akcentu dialektem zuryskim i przyswoił sobie zwingliańskie, trochę oschłe zuryskie poczucie humoru, w którym własna wesołość jest trochę krępująca. W soboty chodził na mecze piłki nożnej na Letzigrund, a w środy na pieczone kiełbaski przy nabrzeżu Limmatu. Na ETH czuł się ceniony i bezpieczny, a jego praca badawcza miała sens, w który wierzył bez zastrzeżeń.

Niemniej potem z dnia na dzień jakby stracił ojczyznę, gdy jego rodzina fizyków z ETH poniekąd w ciągu jednej nocy rozjechała się na wszystkie strony świata. Z końcem letniego semestru tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku musiał się pożegnać z towarzyszami swoich wędrówek Fritzem Londonem i Walterem Heitlerem, ponieważ jeden wracał do Monachium, a drugi udawał się z profesorem Schrödingerem do Berlina; równocześnie kierownik instytutu Debye przenosił się do Lipska, gdzie dostał nominację. W instytutowej kuchni zrobiło się cicho, więc Felix spędzał teraz wieczory u rodziców przy Seehofstrasse. Stopniowo zdał sobie sprawę, że po wakacjach oprócz profesora Scherrera nie będzie miał w całym Zurychu nikogo, z kim da się porozmawiać o elektronach.

Pewnego popołudnia odwiedził Scherrera w jego biurze i położył na stole przyzmaty kwarcowe. Ten ze zdziwieniem uniósł brwi. Chciał wiedzieć, czy Felix skończył pracę.

Przeciwnie, odparł Felix, ściśle biorąc, w dalszym ciągu nie mam pojęcia, czy moje elektrony wykonują skoki wzwyż, czy w dal, czy jeszcze coś innego pięknego.

Scherrer roześmiał się. I co?

Dla spektrografu nie mam już na razie zastosowania, powiedział Felix. Jeśli znowu będą potrzebne przyzmaty, załatwię sobie coś w zastępstwie.

Bzdura, odparł profesor, przesunął przyzmaty z powrotem na drugą stronę stołu i zapytał Felixa o plany.

Właściwie nadal chciałbym odkryć, odrzekł młody człowiek i wzruszył ramionami, dlaczego prąd elektryczny w metalach przepływa tak niezrozumiale szybko. Poza tym jesienią zapiszę się na ćwiczenia z pedagogiki i zacznę przygotowywać się do zawodu nauczycielskiego, w następnym roku w gimnazjum w Seefeld zwolni się miejsce.

Chce pan tego? – spytał profesor.

Felix skinął głową.

Zostać nauczycielem? – spytał profesor. Serwować znużonym młodzieńcom mechaniki i nauki o ciepłe?

Felix skinął głową.

Do końca życia? Wciąż od nowa, po kres swoich dni?

To godne szacunku zadanie, stwierdził Felix.

Ale nie dla pana, odparł profesor. Pańskim zadaniem jest obserwowanie elektronów podczas skoków wzwyż lub w dal, lub podczas czegoś innego pięknego. Szkolnictwo musi pan zostawić innym.

Felix milczał.

Rozumiem, powiedział profesor. Proszę posłuchać, Bloch, powinien pan wyjechać w świat, tu w Zurychu będzie pan w najbliższym czasie dosyć osamotniony. Niech pan wyjedzie do Getyngi albo do Kopenhagi. Albo do Lipska, Debye razem z Heisenbergiem tworzy tam od podstaw instytut fizyki teoretycznej.

Nie mogę sobie na to pozwolić, odparł Bloch.

Jeśli pan chce, zadzwonię do Heisenberga, który szuka jeszcze, o ile mi wiadomo, drugiego asystenta.

Felix milczał.

Rozumiem, rzekł profesor. Pański ojciec?

Felix skinął głową. Mój ojciec jest niezbyt wrażliwy na wdzięk elektronów.

Niech pan będzie mężczyzną, proszę mu zakomunikować swoją decyzję. Na pewno nie odmówi panu błogosławieństwa.

*

Właściwie Laura d'Oriano nie zawsze była nieszczęśliwa tylko z powodu wyrzucenia z konserwatorium i wymuszonego wyjazdu z Paryża. Na pewno gorzką porażką okazało się to, że nie sprawdziła się jako artystka, ale pożegnanie z szarym jak to w północnych regionach Miastem Świąteł, które przez dwadzieścia dwa miesiące okazywało jej obojętność bez cienia współczucia, stanowiło także wybawienie dla jej śródziemnomorskiego usposobienia.

W Marsylii czuła się dobrze. Tchnące orientalnym temperamentem rojne życie portowe przypominało jej beztrudne dni dzieciństwa w Smyrnie i Damaszku. Tutaj w jeden dzień słyszała więcej śmiechu niż w Paryżu przez rok. Wprawdzie także tutaj toczyła się twarda walka o przeżycie, co rano przejeżdżał przez dzielnicę wóz konny z kostnicy i zbierał nieszczęśników, którzy w nocy samotni i bez pomocy dotarli do kresu swojej drogi na jakimś podwórzu, na schodach do piwnicy lub za stosem desek, ale dopóki nieszczęśnicy trzymali się jeszcze jako tako na nogach i mieli dość sił, żeby na własną rękę zadbać codziennie o siebie, zdobyć piętke chleba i suche miejsce do spania, stare miasto portowe tolerowało ich i traktowało łagodnie jak zasiedziałyh mieszkańców.

Laura знаła już wszystkich mieszkańców dzielnicy i pozdrawiała na lewo i prawo, kiedy szła po croissanty na śniadanie, wieczorem natomiast, gdy mury oddawały żar zachodzącego słońca, siedziała często przed sklepem w świetle latarni ulicznej nawet do północy i dłużej, paliła papierosy i cieszyła się, gdy

przysiadali się do niej przyjaciele z dzielnicy. Kelnerzy z okolicznych barów spędzali z nią przerwy na papierosa, a przechodzący handlarz ostryg podarował jej pół tuzina tych mięczaków. Czasem podchodzili snujący się po Starym Porcie uczniowie i prosili ją śmiało o ogień, żeby zapalić skradzionego papierosa, a wieczorami przysiadły się do niej dziwki, kładły umęczone stopy na jakimś podwyższeniu i ostrzegały ją przed niebezpieczeństwami tego świata, jakby Laura była niczego nieświadomą dziewczyną ze wsi.

Niebawem rozeszło się, że ma piękny głos. Czasem przyjaciele nalegali, żeby na zakończenie wieczoru zaśpiewała jakąś orientalną pieśń miłosną; wtedy z radością ulegała ich prośbom, stawała na krześle i śpiewała, a jej tęskne melodie niosły się pośród nocy. Gdy jednak kelnerzy proponowali, że załatwią jej występ w kawiarni tanecznej albo w music-hallu, odmawiała; było dla niej bowiem jasne, że tam przy śpiewaniu będzie musiała się uciec do pomocy dekoltu i podwiązki jak swego czasu jej matka. A tego, jak przysięgała sobie jako dziecko od najwcześniejszych lat, nigdy nie robi.

Ponieważ jednak dziecięce przysięgi tracą moc obowiązującą wraz z końcem dzieciństwa, a Laura miała już dwadzieścia lat, postanowiła jeszcze raz rzecz przemyśleć. Codziennosc sprzedawczyni wydawała jej się zbyt nieciekawa, nadal tęskniła za sceną. A kiedy młoda kobieta chciała na scenę, musiała pokazać jako bilet wstępu podwiązkę, tak było zawsze i we wszystkich dziedzinach sztuki.

Tym sposobem w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku Laura przyjęła jednak w końcu angaż i występowała przez pięć kolejnych wieczorów w Chat Noir. Patron miał w rekwizytorni kostium kozacki z lamówkami ze sztucznego gronostaja, leżący na niej jak ułóż, śpiewała więc rosyjskie pieśni miłosne i tańczyła kazaczoka. Publiczność szalała, ona sama delectowała się światłem rampy i aplauzem, a piętnaście franków, jakie dostawała za każdym razem na koniec wieczoru, bardzo jej się przydawały. Po każdym występie czekał na nią przy tylnym wyjściu zaprzyjaźniony kelner, który chronił ją przed świadectwami uwielbienia ze strony zbyt entuzjastycznych widzów i po rycersku odprowadzał do domu.

Naturalnie Laura była świadoma tego, że jej występy są skromne pod względem artystycznym, także jej głos nieco zardzewiał od czasów paryskich, ale ostatecznie sprawiała publiczności niekwestionowaną radość. A czy radowanie publiczności nie jest najwyższym celem każdego artysty? I jeśli radość publiczności dawała się wzmoczyć przez pokazanie odrobiny dekoltu lub nogi – dlaczego miałyby się tego nie robić?

Nie miała zbyt wielu występów. Marsylia była drugim co do wielkości miastem Francji, lecz mimo wszystko miastem prowincjonalnym, liczba kawiarni muzycznych pozostawała ograniczona i jeśli Laura miała już występ w jakimś lokalu, to musiała odczekać co najmniej rok, żeby móc myśleć o następnym

występie w tym samym miejscu. Może później, kiedy jej nazwisko stanie się znane, uda się zorganizować małe tournée wzdłuż Lazurowego Wybrzeża do Cannes, Nicei i Monako.

Laura zapuściła w Marsylii korzenie jak nigdzie dotąd. Jej rodzice wyraźnie się postarali, ale zapasy w składzie nut były niewyczerpane. I wtedy nadeszło tamto popołudnie, kiedy drzwi do pomieszczenia sklepowego otworzyły się energicznie i do środka wkroczył młody mężczyzna, który miał na sobie biały płócienny garnitur, nosił białe getry i białe borsalino na wypomadowanych włosach. Stał w szerokim rozkroku i kołysał się w biodrach, następnie posłał krótkie, baczne spojrzenia w każdy kąt, jakby należał do owego gatunku młodych mężczyzn, którzy wiodą niebezpieczne życie i w każdej chwili muszą się mieć na baczności przed potężnymi przeciwnikami. Na koniec przenikliwym spojrzeniem zmierzył także Laurę, palcem wskazującym prawej ręki przesunął na kark swoje borsalino i powiedział:

Bonjour, mademoiselle.

Bonjoure, jeune homme, odrzekła Laura, obserwując, jak młody człowiek wzdryga się, słysząc nieco poufałą formę. Potem, żeby sprawić mu przyjemność, udając zawstydzenie, spuściła oczy.

Potrzebuję nut, oznajmił, kołysząc się na czubkach palców tak mocno, że zaskrzypiała skóra getrów. Powiedziano mi, że ma pani bogatą ofertę.

To prawda, monsieur. Ma pan konkretne życzenie?

Mam całe mnóstwo, i to bardzo konkretnych życzeń, odpowiedział i wyciągnął z kieszeni na piersi wielokrotnie złożoną kartkę. *Koncert klarnetowy Mozarta*, ma pani to?

Oczywiście.

Laura otworzyła szufladę i uśmiechnęła się. Ten młodzieniec puszący się jak paw, który odgrywał zuchwałego zawiadacza, żeby zakamufłować swoją nieszkodliwość, był dla niej mile widzianym urozmaiceniem niekończącej się parady unizonych emigrantów i złośliwych starych marynarzy. Dobrze się prezentował w swoim białym garniturze i przekornie krzywił górną wargę, którą najchętniej by się ucałowało, żeby przestał to robić. Poruszał się lekko na nogach, był więc prawdopodobnie dobrym tancerzem. Ponadto mówił po francusku z szorstkim, lecz równocześnie łagodnym i melodyjnym, niemal dziewczęco jasnym akcentem, którego Laura nie potrafiła umiejscowić.

W takim razie chciałbym *Sonatę księżycową* Beethovena, ciągnął młody człowiek.

Koncertu klarnetowego więc pan nie potrzebuje?

Chcę jedno i drugie: *Koncert klarnetowy* i *Sonatę księżycową*.

To rzekłszy, wciągnął ze świstem powietrze między zębami.

Jak pan sobie życzy, powiedziała Laura i otworzyła inną szufladę.

Jej potrzebuję pięć razy.

Pięć razy życzy pan sobie *Sonatę księżycową*?

I trzy razy preludia Chopina.

Laura posłała młodemu człowiekowi zdziwione spojrzenie, lecz otworzyła kolejną szufladę.

Poza tym potrzebuję... *Suity h-moll* Jana Sebastiana Bacha. Raz.

Całą partyturę?

Tylko flet poprzeczny. Następnie dwa razy *Tańce węgierskie* Brahmsa i trzy razy *Obrazki z wystawy* Musorgskiego. Tak, to by było wszystko. Ach, nie: i chciałbym też jeszcze *Dla Elizy* Beethovena. Dwanaście razy proszę.

Dwanaście razy *Dla Elizy*?

Dwanaście razy, nic na to nie poradzę.

Proszę wybaczyć, że pytam – ale czy pan ze mnie nie żartuje?

Mam pieniądze, mademoiselle, płacę gotówką. Ile to wyniesie?

Młodzi ludzie udali się do kasy i kiedy Laura wypisywała rachunek, mężczyzna się przedstawił.

Nazywał się Emil Fraunholz. Miał dwadzieścia pięć lat i był Szwajcarem, urodził się i wychował w wiosce o nazwie Bottighofen nad Jeziorem Bodeńskim. Przed dwoma lub trzema laty uciekł do Marsylii, żeby wykręcić się od obowiązkowej w Szwajcarii służby wojskowej, i od tego czasu przebiegał przez życie, imając się najróżniejszych okazjonalnych prac i machlojek, których najwyższym celem było trzymanie się jak najdalej od wojska i od rolniczego molocha.

Najbardziej dochodowa machlojka polegała na tym, że za opłatą zbierał w koloniach przez pośredników listy francuskich żołnierzy Legii Cudzoziemskiej i omijając cenzurę, szmuglował przez Morze Śródziemne do Marsylii, skąd przysyłał je normalną pocztą do adresatów. W ramach kolejnej usługi załatwiał legionistom za opłatą z góry „rzeczy od serca”, których nie można było dostać w Sidi Bel Abbès, Sajgonie czy Nouméa – fotografię jednej czy drugiej aktorki, słoiczek kremu kasztanowego, kilogram sztokfiszka, dziesięć gramów opium albo właśnie *Sonatę księżycową*.

Czasem pieniądze wysypywały mu się z kieszeni, a czasem nie miał ani grosza: jego interesy podlegały silnym wahaniom koniunkturalnym. Największe obroty miał wtedy, gdy w koszarach kwaterowały zaprawione w bojach stare lisy, ci potrafili przewidzieć rozwój wypadków i gdy zaszła potrzeba, nie wahali się przekupić strażnika butelką wódki albo unieszkodliwić nieprzekupnego dobrze wyważonym ciosem w potylicę. Najgorzej interesy szły wtedy, gdy w koszarach siedziało młode wojsko, dla którego regulamin służbowy był jeszcze świętym prawem.

Emil Fraunholz ponosił także porażki, kiedy któryś z jego pośredników

wpadał, a zdarzało się to co parę miesięcy. Wtedy musiał się przygotować na wizyty żołnierzy policji wojskowej, którzy nosili sztywne białe kapelusze, zadawali nieprzyjemne pytania i potrafili potraktować człowieka twardo, gdy ktoś próbował ich wykiwać. W takich wypadkach Emil uznawał, że trzeba na jakiś czas zaniechać interesów i odwiedzić nieistniejącą ciotkę w Nicei albo w Cannes.

Jednak w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku, kiedy po raz pierwszy wkroczył do składu nut Laury d'Oriano, interesy szły dobrze. Ponieważ tego popołudnia miał w kieszeniach pełno pieniędzy, a ta dziewczyna za ladą oczarowała go jak żadna przedtem, zebrał się na odwagę, zdjął maskę zawadiaki i zapytał ją całkiem nieśmiało, czy w najbliższą niedzielę byłaby gotowa mu towarzyszyć i da się zaprosić na kawę i ciasto na tarasie hotelu Excelsior.

Od tej pory Laura i Emil spędzali razem wszystkie niedziele, a czasami również dni robocze. Takiego mężczyzny jak Emil Fraunholz Laura jeszcze nie spotkała. Kiedy zaprosił ją na pierwszą randkę, całkowicie pozbył się fałszywego zawadiactwa, a wówczas wyszło na jaw, że jest uprzejmym i powściągliwym, ale bystrym i sprytnym młodym człowiekiem, który słucha jej uważnie i chętnie pobudza ją do śmiechu; szczególnie wzruszała ją jego niewymuszona łagodność, przyniesiona pewnie z miłującej pokój ojczyzny, której od wielu pokoleń oszczędzone były zniszczenia wojenne i katastrofy.

Emil nie gadał o wojnie i nie zgrzytał zębami, nie udawał także, że chce popełnić samobójstwo, i nie podrzynał gardła małym pieskiem, i nie marszczył czoła bez potrzeby, lecz opowiadał otwarcie jasnym jak u dziewcząt głosem, jakie piękne oczy mają krowy w Bottighofen i jaki słodki jest świeży sok jabłkowy wyciskany ze spadłych owoców, które można zbierać za darmo z mokrej trawy na obcych pastwiskach.

Emil opowiadał jej jednak też, że z ojcowskiej zagrody miał piękny widok na Jezioro Bodeńskie, po którym majestatycznie pływały jachty bogatych ludzi, i że już we wczesnym dzieciństwie przysiągł sobie, że kiedyś skończy z harową i krowim łajnem, żeby na pokładzie białych jachtów pić szampana w towarzystwie pięknych kobiet. A kiedy Laura zapytała go z uśmiechem, czy w międzyczasie osiągnął swój cel, przyniósł na następną randkę butelkę veuve clicquot i na Nabrzeżu Belgów zaprowadził ją do białej żaglówki, która należała zapewne do jednego z przyjaciół lub partnerów w interesach, winnego mu przysługę.

Podczas przejażdżki łodzią Laura zanurzyła dłoń w wodzie i podziwiała piękno prowansalskiego wybrzeża. Na następne spotkanie Emil zajechał bentleyem lub peugeotem i zaprosił ją na wycieczkę samochodową. Kiedy wsiadła, pojechał z nią na wzgórze, a gdy zgłodniała, rozłożył w ładnym miejscu wełniany koc i wyciągnął z koszyka specjały, co do których miał nadzieję, że będą Laurze smakować. Kiedy skończyły jej się papierosy, w schowku podręcznym auta czekała na nią paczka tej samej marki, kiedy zaś zapadł zmierzch, Emil odwiózł ją

do domu, przez cały długi dzień nawet raz nie chwyciwszy jej za kolano.

Wszystko między Emilem i Laurą było piękne, ponieważ wszystko działo się po prostu, bez obłudy i ukrytych zamiarów. Kiedy pili szampana, to pili szampana, a kiedy leżeli na plaży na piasku, to leżeli na piasku. On opowiadał o swoich interesach i machlojkach i cieszył się, kiedy Laura się z nich śmiała, a ona opowiadała mu o swoim bezkresnym uczuciu w piersi i o cichym śpiewie z kosmosu, choć te sprawy teraz wcale nie były dla niej ważne. Cieszyła się, kiedy Emil słuchał uważnie i nie komentował jej słów.

A kiedy spali ze sobą, to ze sobą spali.

Kiedy Laura miała występ w nocnej kawiarni, ze wstydu przed nim utrzymywała to w tajemnicy, a jeśli mimo to jakoś się o nim dowiedział, przez cały wieczór siedział u jej stóp z szeroko otwartymi oczami, a potem całował ją po rękach i przysięgał, że nigdy w życiu nie dane mu było słuchać czegoś tak pięknego. Gdy nazwała go pochlebcą, zaprotestował, zapewniając, że gotów jest paść trupem, jeśli to nie najczystsza prawda. Wtedy uwierzyła mu i była szczęśliwa.

Późnym latem tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku oboje nie mogli już jednak dłużej zamykać oczu na fakt, że Laura jest w ciąży, a wtedy wszystko stało się trudniejsze. Laura płakała, ponieważ oznaczało to chyba definitywny koniec kariery śpiewaczki, a Emil brał ją w objęcia i mówił, że wszystko będzie dobrze, bo kończy z machlojkami i poprosi rodziców Laury o jej rękę.

Ci nie byli zbyt zachwyceni, kiedy niespodziewanie pojawił się absztyfikant, podejrzewali bowiem, że pod białym płóciennym garniturem kryje się chłopski syn, i wątpili, czy będzie na tyle silny i obrotny, aby na dłuższą metę utrzymać się u boku ich upartej córki. Ponieważ jednak natura stworzyła już bezsporne fakty, których odwrócenia jako ludzie delikatni nie mogli Laurze zaproponować, udzielili parze rodzicielskiego błogosławieństwa.

Ślub odbył się osiemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku w małym kościele Sainte Marie-de-la-Charité, potem goście weselni pojechali dwoma pożyczonymi autami do wiejskiej gospody pod miastem. Towarzystwo było małe, oprócz nowożeńców obecni byli tylko rodzice Laury i czworo jej rodzeństwa. Mimo to po obiedzie udało im się skompletować pełny program *variété*. Laura zaśpiewała egipską balladę, a Emil przedstawił swój popisowy numer, który polegał na żonglowaniu pięcioma kieliszkami do wina. Bracia Laury pokazali sztuczki karciane i ze znikającymi monetami, które wyciągnęli potem z ucha panny młodej. Wszyscy żartowali, że Laura, wychodząc za mąż, została obywatelką Szwajcarii. Na koniec matka i córka zaśpiewały w duecie, co nie zdarzyło się nigdy dotąd, a ojciec akompaniował im na knajpianym pianinie, które było koszmarnie rozstrojone i miało luki w klawiaturze.

Kiedy ostatnie łyżki zostały otarte, zamówiono kawę i wódkę. A kiedy wszyscy byli pijani, pojechano z powrotem do miasta.

*

W pochmurny jesienny dzień na początku października Felix Bloch wysiadł z pociągu pod potężną kopułą lipskiego dworca głównego, odebrał swój rower z wagonu pocztowego i pojechał do instytutu fizyki teoretycznej, który stał na skraju miasta między cmentarzem a kliniką psychiatryczną. Walizkę zostawił w asystenckim mieszkanku w mansardzie, po czym złożył pierwszą wizytę Heisenbergowi.

W nowym miejscu od razu poczuł się jak w domu. Swoją aparaturę elektryczną zmontował w pozbawionej okien piwnicy, spektrograf na razie pozostał w kartonie. Rano pełnił obowiązki asystenta wykładowego Heisenberga i prowadził ćwiczenia dla pierwszych semestrów, po południu poprawiał prace studentów i przeprowadzał dalsze eksperymenty.

Personel nowo powołanego instytutu był nieliczny, a wszystkich studentów Felix znał z nazwiska już po tygodniu. Jeszcze się nie rozeszło, że wykłada tutaj młody Werner Heisenberg, który zasadą nieoznaczoności wstrząsnął fizycznym porządkiem świata i prowadził swój instytut niczym grupę skautów. Sale wykładowe były o wiele za duże. Studenci siedzieli kręgiem na stołach, gotowali herbatę na palnikach Bunsena i jedli ciasto, które profesor Heisenberg przynosił z ciastkarni za rogiem.

Zebrała się tam gromada rozbrykanych młodych ludzi. W piwnicy instytutu Heisenberg kazał urządzać pomieszczenie do gry w ping-ponga, do którego wszyscy mieli wolny wstęp. Felix Bloch zarządzał materiałami. Węgierski student o nazwisku Edward Teller, który wpadł w Monachium pod tramwaj i stracił stopę, robił zawsze dla wszystkich herbatę. Profesor Heisenberg był niekwestionowanym mistrzem ping-ponga, a najpóźniej od podróży z cyklem wykładów po Azji Wschodniej uchodził za niepokonanego. Tylko Japończyk o nazwisku Yoshio Nishina wygrywał z nim regularnie, co Heisenberg źle znosił. Podobno zdarzyło się, że po jednej z porażek nie pokazywał się przez trzy dni.

W weekendy studenci wraz z docentami wspólnie poznawali miasto, które w ciągu stuleci wzbogaciło się dzięki przędzalniom i czesalniom wełny, drukarniom książek i wydawnictwom, jak również za sprawą handlu futrami i zbożem z Europy Wschodniej. Podczas spacerów po mieście docierali do karuzel i kolejek górskich przy Starym Placu Targowym lub do Rote Mühle, kabaretu z baletem przy Windmühlenstrasse, który podobnie jak jego paryski pierwowzór przypominał od zewnątrz czerwony młyn; wieczorami chodzili do kabaretów politycznych, które po wojnie wyrosły jak grzyby po deszczu: do Retorte, Bauchas albo do Litfaßsäule. Latem zaglądali na basen odkryty w Schönefeld albo na

kapielisko Ipa przy terenie targów, a zimą na tor saneczkowy w parku Schönefeld. Na Wielkanoc Heisenberg zapraszał najbliższych przyjaciół do swojej chaty narciarskiej w Alpach Bawarskich.

Późne godziny wieczorne Felix Bloch spędzał sam w swoim mieszkanku, czytał czasopisma fachowe lub pisał listy do rodziców. Przed zgaszeniem światła pogrążał się w rozmyślaniach, obserwował żarówkę lampki do czytania i zadawał sobie pytanie, czy elektrony wewnątrz świecącego drutu rzeczywiście robią to, co sobie wyobraża. Kiedy potem po ciemku leżał w łóżku, przez cienkie ściany słyszał z drugiego końca korytarza Heisenberga grającego na fortepianie, który ten kazał sobie dostarczyć z lipskiej fabryki pianin i fortepianów Juliusa Blüthnera. Tamtej jesieni tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku Heisenberg co wieczór łamał sobie zęby na *Allegro vivace z Koncertu fortepianowego a-moll* Schumanna. Felix słuchał aż do zaśnięcia i dziwił się, dlaczego Heisenberg wybrał akurat ten melancholijny i romantyczny utwór, który był jedną wielką fantazją na temat zabiegów miłosnych Schumanna i szczęścia, jakie dało mu zespolenie z Clarą.

Między dwoma młodymi mężczyznami rozwinęła się już wcześniej powściągliwa, lecz poważna przyjaźń. Tuż przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku Heisenberg wziął Blocha na stronę i zapytał, jak posuwają się jego badania nad elektronami.

Całkiem przyzwoicie, odpowiedział Felix, wyniki pomiarów zgadzają się w zupełności z postawioną tezą.

Czy więc nie byłaby pora przedstawienia całości w postaci dysertacji, zapytał Heisenberg, po czym dodał z zawstydzonym uśmiechem, że w swojej krótkiej karierze profesorskiej nie opiekował się jeszcze żadnym doktorantem i byłoby dla niego zaszczytem, gdyby Felix okazał się tym pierwszym.

Następne sześć miesięcy Felix Bloch poświęcił swojej pracy doktorskiej, którą złożył drugiego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku pod tytułem *O mechanice kwantowej elektronów w sieciach krystalicznych metali*. Omawiał w niej nierozwiązaną dotąd fizyczną zagadkę polegającą na tym, że prąd elektryczny płynie bardzo szybko także w bardzo długich przewodach metalowych. Zdziwiająco mały opór wyjaśniał tym, że jony metalu są uporządkowane w postaci stabilnej sieci krystalicznej, co czyni skrajnie nieprawdopodobnym zderzenie z przelatującymi elektronami; w dodatku im niższa temperatura, tym stabilniejsza sieć i tym bardziej nieprawdopodobne zderzenie. Jego eksperymenty w piwnicy rzeczywiście wykazały, że przewodnictwo metali rośnie w miarę obniżania temperatury. Jego promotor Heisenberg miał niewiele później podjąć jego ideę sieci i zaproponować tezę, że cały kosmos jest zorganizowany jako jedna wielka sieć niczym ogromny plaster miodu.

Kiedy praca doktorska Felixa ukazała się w berlińskiej „Zeitschrift für Physik”, wzbudziła sensację w całej Europie. Wszyscy chcieli poznać młodego

człowieka. W semestrze zimowym 1928/1929 Wolfgang Pauli zaprosił go na ETH do Zurychu, potem Bloch udał się do Nielsa Bohra do Kopenhagi, do Maxa Plancka i Ottona Hahna do Berlina, do Paula Ehrenfesta do Lejdy i do Maxa Borna do Getyngi, gdzie poznał amerykańskiego doktoranta o nazwisku Robert Oppenheimer, który potrafił gadać jak najęty o sanskrycie, Dantem lub pojęciu czasu u Buddy i miał jeszcze odegrać brzemiennej w skutki rolę w jego życiu.

Jakże chętnie towarzyszylibyśmy młodym lipskim specjalistom od mechaniki kwantowej, gdy na Wielkanoc tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku jechali do Kopenhagi na wiosenną konferencję w instytucie Nielsa Bohra. Werner Heisenberg i Felix Bloch wybrali się w wielogodzinną podróż koleją razem ze swoimi doktorantami z Lipska, Carlem Friedrichem von Weizsäckerem i Edwardem Tellerem, w Berlinie dołączył do nich asystent Ottona Hahna, Max Delbrück. Po drodze młodzi ludzie debatowali szczegółowo o najbardziej podniecającej w tamtym roku kwestii z dziedziny fizyki atomowej: o odkryciu Brytyjczyka Jamesa Chadwicka, że oprócz dodatnio naładowanego jądra atomu i ujemnie naładowanych elektronów istnieją także neutrony, a więc cząstki elementarne bez ładunku. Otwierało to perspektywę, że jądra atomowe wcale nie są niepodzielną całością, jak dotychczas zakładano, tylko mogą się składać z wielu części, a zatem są podzielne.

Ponieważ niebawem wypadała setna rocznica śmierci Goethego, ten czy ów z podróży miał pewnie w bagażu swój egzemplarz *Fausta*; i stąd Heisenberg, Bloch, Teller, von Weizsäcker oraz Delbrück wpadli po drodze na pomysł, żeby wzbogacić konferencję parodią *Fausta* w stylu fizyki kwantowej.

Pomysł natychmiast wcielono w życie. W centrum tej inscenizacji stoi scena przemiany pudła w Mefistofelesa[1], jak również pytanie, co spaja świat w jego wnętrzu. W niedzielę wielkanocną tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku w wielkiej sali wykładowej instytutu odbyło się przedstawienie przy współudziale wielu uczestników konferencji.

Fausta grał profesor z Lejdy Paul Ehrenfest, rolę Mefistofelesa odtwarzał Belg Léon Rosenfeld. Felix Bloch grał Pana Boga we własnej osobie; tronował na wysokim zdydlu ponad stołem laboratoryjnym, nosił cylinder oraz wykonaną przez siebie maskę, która niewątpliwie miała rysy Nielsa Bohra. *Chorus mysticus* tworzyli Heisenberg, Oppenheimer i jeszcze czterech ochotników.

Śmiechu było co niemiara, kiedy Faust wszedł na scenę i zaczął deklamować:

Ach, te moje uniwersytety!
Chemia walencyjna, elektrodynamika
I plaga teorii zbiorowych, niestety.
Nad transformacją w pocie krwawym
Ileż to ja się naślęczałem,

Nieszczęsny głupiec! z zyskiem jakże małym!
A co ja wiem? to, że nic nie wiem!
Zwę się magistrem, ba, profesorem,
Od lat trzydziestu już błędnym torem
To tak, to siak, to wspak, to w skos –
Wodzę swoich uczniów za nos.
Mądrzejszy wprawdzie od tych tam fircyków,
Doktorów, bonzów i innych magików,
Dręcą mnie wszelkie skrupuły, wahania,
Lękam się Pauliego jak podszeptów diabła.

Wzruszające chwile zapewnił występ duńskiej studentki Ellen Tvede, która odtwarzała Małgorzatę. Przebrana za neutron z dużym znakiem plus-minus na twarzy zaśpiewała do muzyki Schuberta *Małgorzatę przy kołowrotku*:

Mój ładunek przepadł,
Ciężka statystyka,
Nigdy go nie znajdę,
Nigdy nie odzyskam.
Gdzie nie dasz zasłony,
Každy wzór chybiony.
I cały świat
Sący w ciebie jad.
Ze mną tylko, ze mną, Boże,
Promień beta istnieć może.
Także jądro azotu
Blisko mojego portu.
Mój ładunek przepadł,
Ciężka statystyka,
Nigdy go nie znajdę,
Nigdy nie odzyskam.
Mój dipol w jego
stronę się wygina.
Ach, gdybym mogła
Ująć go, zatrzymać.
Serce moje bije,
Kołowrotek drży.
Kocham cię, kocham,
Weź mnie tam, gdzie ty.
Mój ładunek przepadł,
Ciężka statystyka,

Nigdy go nie znajdę,
Nigdy nie odzyskam.

1 *Pudels Kern* A. Pomorski oddaje adekwatnie jako „kundla treść”, *Kern* znaczy też jądro, rdzeń (przyp. tłum.).

Rozdział szósty

Po powrocie z Kopenhagi Felix Bloch nakreślił pierwsze notatki do swojej pracy o potencjale hamującym atomów z wieloma elektronami. W tym samym czasie Laura d’Oriano w Marsylii podejmowała pierwsze próby przywyknięcia do nowej roli żony i przyszłej matki. Z czysto technicznego punktu widzenia byłoby pewnie możliwe, żeby Emil Fraunholz wprowadził się do mieszkania rodziny d’Oriano nad składem nut, a wobec kryzysu gospodarczego i masowego bezrobocia zachowanie kosztów utrzymania młodej pary na niskim poziomie i łączenie dochodów też wydawało się wskazane. Ponieważ jednak wszyscy byli mądrymi ludźmi i wiedzieli, że na dłuższą metę nie może z tego powstać nic dobrego, Emil przystąpił do realizacji planu, który na wszelki wypadek przygotował już jakiś czas wcześniej. Otóż pewien legionista, który poprzednio pracował jako aptekarz w Grasse i z nieznanych powodów musiał zerwać w pośpiechu z dawną egzystencją, zaproponował mu za śmiesznie niską cenę przejęcie jego interesu wraz z mieszkaniem.

W czasie gdy Emil snuł plany, Laura wtrąciła ostrożnie, że po pierwsze Grasse to prowincjonalna dziura na końcu świata, a po drugie sam Emil, o ile jej dobrze wiadomo, nie ma bladego pojęcia o aptekarstwie. Przeciwno temu Emil przytoczył swoje argumenty, że po pierwsze powietrze w Alpach Nadmorskich będzie dla dziecka nieporównanie lepsze niż powietrze w porcie marsylskim, a po drugie Grasse jako metropolia produkcji perfum jest ulubionym celem podróży bogatych amerykańskich turystów. I wreszcie po trzecie, co się tyczy zawodu aptekarskiego, to naprawdę nie są to żadne czary-mary: na kaszel sprzedaje się sirolinę, a na odciski zawierające opium plastry firmy Anaxa; we wszystkich trudniejszych przypadkach odsyła się klientów do lekarza domowego.

Młodzi małżonkowie spakowali więc manatki i ojciec d’Oriano odwiózł ich pożyczonym fiattem do Grasse, gdzie odebrali klucz do domu legionisty od jego matki i wprowadzili się do nowego lokum. Tam Laura i Emil dokonali zadziwiającego odkrycia, że w aptece i w położonym powyżej mieszkaniu wszelkie rzeczy codziennego użytku do tego stopnia odpowiadają ich potrzebom, gustom

i gabarytom, że można by pomyśleć, iż oni sami byli własnymi poprzednikami. Pantofle domowe za drzwiami mieszkania pasowały doskonale na stopy Emila, także płaszcz kąpielowy w szafie był dokładnie w jego rozmiarze. W sypialni na toalecie Laura odkryła nowy kajał marki, której używała, i swoje ulubione perfumy, a obok małżeńskiego łóża stała kołyska z poduszkami i puchową kołderką, która wydawała się czekać tylko na ich dziecko.

Emilu, co to ma znaczyć, zapytała Laura.

To niepojęte, odpowiedział.

Czy to jeden z twoich trików?

To dla mnie zagadka, rzekł. Z ręką na sercu, dziwię się tak samo jak ty.

To nic wesołego, Emilu. Chcę wiedzieć, czy byłeś tu już kiedyś.

Nie byłem nigdy. Przysięgam.

Wtedy Laura mu uwierzyła, gdyż wiedziała, że Emil jest wprawdzie spryciarzem, ale nie kłamcą. Nigdy wcześniej nie był w Grasse i także legionistę znał tylko z korespondencji; to, że ów dom wydawał się idealnie odpowiadać ich wymaganiom, faktycznie okazało się kwestią czystego przypadku. W konsekwencji Laura i Emil wcale się już nie zdziwili, że w aptece zastali jakby szyte na miarę kitle, regały były odkurzone i świetnie zaopatrzone w leki, a na ladzie leżały dwie kopie sprawozdania z ostatniej inwentaryzacji.

Emil nie musiał więc już robić nic więcej niż następnego ranka o ósmej narzucić na siebie biały kitel i otworzyć drzwi apteki. Laura miała dbać o dom i troszczyć się o dziecko, a od czasu do czasu, kiedy niemowlę będzie spało, pomagać w aptece. Jeśli interes pójdzie dobrze, kupią używany samochód i w weekendy będą jeździć do Cannes i Nicei, a w wielkie święta do Marsylii do rodziców i rodzeństwa Laury.

Emil liczył na to, że apteka zapewni utrzymanie jemu i jego rodzinie przez okres kryzysu gospodarczego, bo ludzie zawsze chorują i potrzebują medykamentów, w które mogą wierzyć. Ale to był błąd. W dniu ponownego otwarcia miał tylko jedną klientkę, drugiego dnia nikogo, trzeciego dnia – dwie. Jak się bowiem okazało, wskutek kryzysu zmarł najpierw ruch turystyczny, bo przestali przyjeżdżać Amerykanie; potem załamał się także handel perfumami, bo mieszkańcy Grasse przestali zarabiać. A ponieważ nie mogli już sobie pozwolić na chorowanie, pozostawali po prostu zdrowi. Ci jednak, którzy nadal chorowali, nie dawali nic po sobie poznać, bo odrobinę pieniędzy, jaką jeszcze mieli, woleli zanosić do rzeźnika niż do apteki. Bo ludzie w ostateczności potrafią żyć bez plastrów na odciski i bez tynktury z opium, ale nie bez sznycla wołowego.

Emil całymi dniami stał w aptece, ale dzwonek przy drzwiach wejściowych milczał. Kiedy wieczorem zamykał, kasa była tak samo pusta jak rano. Skończyły się oszczędności i wiano, niebawem Laura nie znalazła już w miasteczku piekarza ani sprzedawcy warzyw, u których mogłaby kupować na kredyt. Już dwa razy

wybrała się do Marsylii i prosiła rodziców o pieniądze. Trzeci raz nie zamierzała jechać. W kwietniu przyszło na świat dziecko, dziewczynka, której na chrzcie dali na imię Renée. Wtedy w handlarzach obudziło się współczucie i znów zaczęli dawać Laurze towary na kredyt. Ale gdy kilka miesięcy później drugi raz zaszła w ciążę i z okrągłym brzuchem znów stała w kolejce po kielbasę i chleb, handlowcy przybierali surowe miny i traktowali Laurę jak powietrze, dopóki nie zrozumiała, o co im chodzi, i nie wróciła do domu z pustą torbą.

W marcu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku przyszła na świat druga dziewczynka. Na chrzcie otrzymała imię Anna. Sytuacja Laury i Emila była rozpaczliwa, brakowało im wszystkiego. Gdy Laura po połogu jako tako doszła do siebie, zadzwoniła do wszystkich trzech kawiarni tanecznych w Cannes, poprosiła o możliwość gościnnego występu i poniżyła się nawet do tego stopnia, że na próbę zaśpiewała przez telefon. Kiedy istotnie wyblagała występ i pewnego piątkowego wieczora wyjechała omnibusem ubrana w suknię wieczorową, Emil Fraunholz w napadzie szalonej zazdrości, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał, zostawił śpiące córeczki w domu same, ukradł sąsiadowi rower i popedałował całe dwadzieścia kilometrów nad morze do Cannes, żeby po ciemku śledzić występ Laury, a następnie urządzić jej okropną scenę, bo w świetle reflektorów pokazała podwiązkę i dekolt.

Potem przyszło lato, życie stało się odrobinę łatwiejsze, ponieważ południowa Francja obfitowała w żywność. Jednak w pewien październikowy wieczór, gdy znów okazało się, że potrzeba pieniędzy na piec węglowy, Emil Fraunholz spytał ostrożnie małżonkę po pójściu do łóżka, czy ewentualnie wyobraża sobie przejściowe zwinięcie namiotów w południowej Francji i odczekanie końca kryzysu gospodarczego w chłopskiej zagrodzie jego rodziców w Szwajcarii.

Tam musiałbyś przecież pójść do wojska, odparła sennym głosem.

Teraz nie będą mnie już chcieli, wiesz, odpowiedział. Jestem żonaty i mam dwoje dzieci.

Laura usiadła na łóżku i włączyła lampkę na nocnej szafce.

Emilu, spójrz na mnie i posłuchaj.

Słucham.

Wyjechałam z tobą do Grasse, choć wolałabym zostać w Marsylii.

To prawda.

Trwam wiernie u twojego boku na dobre i na złe, jak przyrzekliśmy księdzu.

Wiem.

Ale teraz posuwasz się za daleko, żądając tego ode mnie. To przerasta moje siły, słyszysz, prędzej się rozwiodę albo pozwolę się zastrzelić jak pies, niż dam się pogrzebać w twojej wiosce.

Jak możesz tak mówić, powiedział, to nie jest moja wioska. Mielibyśmy

dach nad głową, a dzieci miałyby co jeść. Każdą ilość ziemniaków i jabłek, i świeże mleko.

Przypomnij mi, jak się nazywa ta miejscowość! Bottikov?

Bottighofen. Nie musimy tam zostawać na całą wieczność. Rok albo dwa, dopóki nie minie kryzys.

Bottikov, a gdzie to leży, w Rosji? I co tam jest, krowy? Jabłonie?

Jezioro Bodeńskie jest piękne, zobaczysz. Turyści przyjeżdżają tam z daleka.

Ja zostaję tutaj.

Na zawsze w południowej Francji?

Co masz przeciwko południowej Francji?

Nic, odpowiedział Emil.

Na pewno masz coś przeciwko południowej Francji.

Południowa Francja jest piękna, stwierdził Emil.

Ale?

Są też odwrotne strony medalu, jak wszędzie.

Na przykład?

Daj spokój.

Na przykład?

Na przykład południowa Francja jest miejscem, gdzie rozkapryszeni kelnerzy uczą młodych cudzoziemców jedzenia małych ptaków za pomocą noża i widelca.

I dlatego ciągnie cię w rodzinne strony, do Bottikov?

Jeśli tak to widzisz, to owszem. Nie jadamy małych ptaków, za to mamy pod dostatkiem ziemniaków i świeżego mleka.

Laura nie chciała więcej słuchać, przeprowadzka do Bottighofen nie wchodziła dla niej w rachubę. Zgasła światło i zasnęła, a następnego ranka przy śniadaniu surowo nakazała Emilowi, żeby raz na zawsze wybił sobie z głowy wszelkie tego rodzaju pomysły. I pewnie pozostałaby nieugięta, gdyby trzy dni później nie przyszedł komornik i nie opieczętował drzwi apteki, i gdyby kolejne pięć dni później właściciel budynku nie wypowiedział im mieszkania z końcem miesiąca, ponieważ zaległości w płaceniu czynszu sięgały pół roku.

*

Po powrocie z Kopenhagi Felix Bloch złożył pracę habilitacyjną, po czym prowadził wykłady z ogólnej teorii względności, kwantowej teorii magnetyzmu i absorpcji cząstek wysokoenergetycznych przez materię. Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty drugi był radosny dla nauk przyrodniczych, odkrycie neutronu otworzyło nowe horyzonty w wielu dziedzinach. W Niemczech jednak ten *annus mirabilis*, jak nazywali go fizycy, chylił się ku końcowi długo przed nastaniem jesieni.

Felix Bloch poznawał to po tym, że w śródmieściu Lipska wisiało coraz więcej flag. Ciągłe odbywały się jakieś demonstracje i marsze z pochodniami, co parę dni płynęła krew podczas bijatyk i strzelanin. Na uniwersytecie posterunki Narodowosocjalistycznego Niemieckiego Zrzeszenia Studentów (NSDStB) obsadziły wejścia i schody i stojący na posterunkach bili rozdających ulotki innych partii. W salach wykładowych siedzieli umundurowani studenci i wszczynali tumult, kiedy podejrzewali, że docent może być Żydem. Profesor radiofizyki o nazwisku Erich Marx w ogóle nie mógł już prowadzić zajęć i musiał podać się do dymisji z powodu wycia i wrzasków umundurowanych studentów. NSDStB domagał się skreślenia fizyki kwantowej z programów nauczania, ponieważ rzekomo rozpowszechniała poglądy żydowskie. Wkrótce potem na uniwersytetach niemieckich wprowadzono zakaz nauczania teorii względności, a nazwiska Einsteina nie wolno było wymawiać. Dziesiątego grudnia na berlińskim dworcu Lehrter Bahnhof Albert i Elsa Einsteinowie z sześcioma walizkami wsiedli do pociągu do Antwerpii, gdzie zaokrętowali się na statek do Nowego Jorku.

Także Felixa Blocha wybuchano, tuż przed Bożym Narodzeniem musiał po raz pierwszy przerwać wykład. Zaczęło się na pozór niewinnie: jeden z umundurowanych studentów upuścił na ziemię miedzianą monetę. Zanim jednak wybrzmiało jej pobrzękiwanie, na ziemię upadła druga i szybko – jedna po drugiej – piąta, dziesiąta i dwudziesta moneta, a pośród tego brzęczenia inny student plasnął z hukiem dłonią w stół, na co setka dłoni zaczęła stukać w stoły w rytmie przypominającym tupanie butów. Felix Bloch pisał niewzruszenie na ściennej tablicy kolejne wzory, ale gdy pierwsze miedziaki poleciały do przodu, odłożył kredę i opuścił salę.

Tamtego dnia Felix musiał przyjąć do wiadomości, że pacyfizm nie chroni go przed ślepą nienawiścią ludzi zwiedzionych na manowce. Był bezsilny wobec złośliwej głupoty i pozbawionej hamulców przemocy, które szerzyły się nie tylko w salach wykładowych uniwersytetu, lecz również na ulicach Lipska. Kiedy jechał na rowerze do śródmieścia, studenci rozpoznawali go i zaczepiali, czasami w jego kierunku leciały kamienie. Czym prędzej zaczął więc jeździć wyłącznie tramwajem i ukrywał twarz za gazetą.

Owego roku zima kazała na siebie długo czekać, było ciepło do samego sylwestra. Wielu właścicieli domów sądziło już, że tym razem wystarczy na opał połowa normalnej ilości węgla, ale w połowie stycznia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku nadeszły jeszcze wielkie chłody. Martwe gołębie spadały z dachów, zamarzły strumienie, kanały ściekowe i wodociągi. Szyby w oknach tramwajów pokryte były grubą warstwą szronu od zewnątrz i od środka. Felixowi zdarzyło się parokrotnie, że nie wysiadł, gdzie zamierzał, bo konduktor nie wywołał nazwy przystanku.

Żeby uciec od ciągłych nienawistnych okrzyków, w niedziele często jeździł

na lodowisko; tor saneczkowy był jeszcze zamknięty z powodu braku śniegu. Wieczorami, ponieważ marzył w swojej mansardzie, chodził do kina. W Alberthalle i w Königspavillon wyświetlano *Powrót Tarzana* z Tomem Tylerem, a w Capitolu *Blond Venus* z Marleną Dietrich.

Ostatniego dnia tej fali chłódów dwadzieścia tysięcy socjalistycznych robotników demonstrowało na placu targowym. Następnego ranka o godzinie siódmej rozpętała się nad Lipskiem burza zimowa. Pośród błyskawic i piorunów spadło trzydzieści centymetrów śniegu i wtedy zrobiło się cieplej. Kiedy po południu Narodowosocjalistyczne Zrzeszenie Studentów urządziło jak co dzień demonstrację na dziedzińcu uniwersytetu, śnieg pod butami umundurowanych młodych ludzi przekształcił się w szarą breję.

Felix Bloch musiał już wtedy wiedzieć, że jego czas w Lipsku dobiegł końca. Po wyborach do Reichstagu piątego marca uniwersytet otrzymał nowego rektora, który obejmując urząd, własnoręcznie wciągnął flagę ze swastyką na maszt na dachu instytutu w obecności całego zgromadzonego personelu. W programie nauczania znalazły się nowe zajęcia, jak „Krew i ziemia” i „Naród bez przestrzeni życiowej”. Dwudziestego pierwszego marca pochód z pochodniami liczący trzysta tysięcy osób przemaszerował z placu targowego na Augustusplatz. Brali w nim udział wszyscy – uczniowie, studenci, żołnierze, robotnicy, mieszczenie, chłopci.

Tupot butów i śpiewy dobywające się z wielu tysięcy gardeł docierały ulicami poza miasto, pod sam instytut fizyki teoretycznej, gdzie Felix Bloch i Werner Heisenberg pewnie je słyszeli, lecz nie rozmawiali o nich. Znaki były tak oczywiste, a nadciągająca katastrofa wydawała się tak nieunikniona, że nie pozostało nic do powiedzenia. Dlatego milczeli o tym, gdy wczesnym rankiem pili wspólnie kawę i omawiali dzienne sprawy. Milczeli także, gdy wieczorem grali w piwnicy w ping-ponga. Kiedy Heisenberg z przyjaciółmi na Wielkanoc tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku wybrał się na tydzień na narty w bawarskie Alpy, milczeli również.

Gdy Heisenberg z Nielsem Bohrem i jego synem Christianem, Weizsäckerem i Felixem Blochem wyruszyli w drogę ze stacji kolejowej Oberaudorf niedaleko granicy austriackiej, była już czwarta po południu. Wspinaczka do chaty dla narciarzy, stojącej na południowym zboczu Grosser Traithen na Stromej Hali, była męcząca; latem można by ją odbyć bez trudu w dwie lub trzy godziny, ale ponieważ w przeddzień spadł metr śniegu, potrwa zapewne dwa albo trzy razy dłużej.

Droga prowadziła stromo pod górę przez zasypany śniegiem las, bagaże mocno ciążyły. Podczas pierwszego postoju Heisenberg zażartował, że teraz przyjemna byłaby „wspinaczka inwersyjna”, jaką przeżył w Ameryce w Wielkim Kanionie. Przyjeżdża się tam wagonem sypialnym na wysokość dwóch tysięcy metrów na skraj wielkiej pustynnej równiny i można wygodnie zejść nad brzeg

rzeki Kolorado, która płynie praktycznie na poziomie morza; niemniej w drodze powrotnej do wagonu sypialnego trzeba potem wspiąć się znowu na dwa tysiące metrów.

Najbardziej uciążliwa część wspinaczki czekała ich po zapadnięciu ciemności, kiedy dotarli na wysokość, gdzie śnieg nie był już zbity, ale niepokojąco sypki. Heisenberg kroczył w milczeniu przodem, za nim podążali Niels i Christian Bohrowie, a potem Carl Friedrich von Weizsäcker, który oświetlał drogę latarnią. Orszak zamykał Felix Bloch, bo był najbardziej doświadczonym i najwytrwalszym turystą górskim.

Mężczyźni dyszeli, nikt się nie odzywał. Wspinaczka postępowała powoli, ponieważ Bohr, o dwadzieścia lat starszy od idącego za nim Weizsäckera, trochę się już zmęczył. Tuż po dziesiątej Heisenberga, jak opisał to później w *Części i całości*, nawiedziło nagle osobliwe odczucie, że zaczyna płynąć w czerni nocy. Wtem otoczył go ze wszystkich stron śnieg i stracił kontrolę nad kończynami, przez chwilę nie mógł też oddychać, mimo że jego głowa wystawała ponad masy śniegu. Potem wszystko się uspokoiło. Heisenberg oswobodził się ze śniegu i obrócił w stronę przyjaciół, jednak w ciemności nic nie widział. „Niels!”, zawołał, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Wtedy przestraszył się, uznawszy, że przyjaciół porwała lawina. Z największym wysiłkiem odkopał narty ze śniegu, jeszcze raz wytężył wzrok, przebijając nocne ciemności, i wysoko na zboczu odkrył światło – była to latarnia Weizsäckera. Wtedy Heisenberg pojął, że lawina nie porwała przyjaciół, tylko jego, i że to oni tymczasem zatrzymali się na ścieżce. Szybko przypiął narty i dołączył do innych. Kiedy zdenerwowani zapewnili się nawzajem, że wszyscy są zdrowi, kontynuowali w milczeniu wspinaczkę.

Do chaty dla narciarzy dotarli następnego ranka przez oślepiająco białe masy śniegu pod ciemnoniebieskim niebem. Po chwilach grozy i trudach, jakie przeżyli w nocy, ani im była w głowie jazda na nartach, odśnieżyli więc dach chaty i położyli się w słońcu. Kiedy odzyskali mowę, bynajmniej nie rozmawiali o prezydencie lipskiej policji, który dekretem zakazał wydawania „Leipziger Volkszeitung”, ani o hordach SA-manów, którzy zamknęli żydowski sklep Helda przy Merseburger Strasse; nie rozmawiali o tym, że Lipsk niewiele dni wcześniej nadał Hitlerowi i Hindenburgowi honorowe obywatelstwo miasta, ani też o tym, że już ośmiu profesorów uniwersytetu zostało zawieszonych w czynnościach z mocą natychmiastową.

O tym wszystkim nie rozmawiali, bo wstydzili się własnej bezsilności i nie było słów zdolnych opisać tę katastrofę. Zamiast tego na tle wspaniałej panoramy Alp dyskutowali więc kwestię, czy oprócz neutronów i ujemnie naładowanych elektronów mogą istnieć także dodatnio naładowane antycząstki, jak niedawno stwierdzili ich amerykańscy koledzy Dirac i Anderson. Niels Bohr wyciągnął z plecaka najświeższy numer „Physical Review”, gdzie umieszczono zdjęcie

reakcji, które miało tego dowodzić. Widać było smugę kondensacyjną cząstki, która w komorze mgłowej przebiła ołowianą płytę i przeleciała obok silnego magnesu. Zadziwiające na tym zdjęciu okazało się to, że smuga kondensacyjna nie odchyłała się w stronę magnesu, jak właściwie powinna, gdyby chodziło o ujemnie naładowany elektron, tylko przeciwnie, odwracała się od magnesu, co pozwalało wnioskować, że był tam ładunek dodatni.

Pięciu mężczyzn rozmawiało o tym godzinami. Co rusz podawali sobie gazetę i marszcząc czoło, patrzyli na fotografię, na której obok smugi kondensacyjnej nie było widać nic oprócz łebków czterech śrub i ołowianej płyty w rzucie bocznym, i szukali wyjaśnień dziwnie zakrzywionej trajektorii, dopóki słońce nie zaszło za osnieżonymi szczytami.

Wtedy wrócili do domu. Heisenberg rozpałił ogień w kominku. Pili grog, w świetle lampy naftowej grali w pokera o żetony i odtwarzali kiepskie płyty ze szlagierami na starym gramofonie, a ponieważ po zapadnięciu nocy przez szczeliny wdierał się ostry chłód, wkrótce już bez dalszych rozmów położyli się na spoczynek na siennikach, które stanowiły nocne posłanie.

Następnego ranka, ponieważ pokrywa śnieżna pod wpływem słońca nieco stwardniała, mężczyźni wybrali się na wycieczkę narciarską, a po południu zabijali czas na dachu chaty kolejną fizyczno-filozoficzną dyskusją; o całej reszcie milczeli. Heisenberg nie mówił o tym, że od tej pory musi rozpoczynać każdy wykład od hitlerowskiego pozdrowienia. Carl Friedrich von Weizsäcker zachował dla siebie, że uważa wprawdzie za prymitywną nienawiść nazistów do Żydów, natomiast odzyskaną przez naród niemiecki nadzieję za coś fascynującego; nie pochwalił się także, że za dwa tygodnie weźmie udział w lipskich uroczystościach pierwszomajowych, podczas których zapowiedziane było przemówienie Führera. Felix Bloch ze swej strony nie wspominał o tym, że nowa ustawa o odrodzeniu stanu urzędniczego z siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku zmusiła go do zadeklarowania, iż posiada żydowskich dziadków, nie poinformował też przyjaciół o fakcie, że od pierwszego października będzie dostawał stypendium Rockefellera w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie i jako naukowiec niezależny finansowo będzie mógł wybrać dowolne miejsce na świecie, żeby kontynuować swoje badania.

Tak mijały dni. W poniedziałek wielkanocny, szesnastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, ferie dobiegły końca, piątka przyjaciół przypięła narty i z bagażami zjechała krótszą zachodnią trasą do doliny między Bayrischzell i Landl. Był ciepły, słoneczny dzień. Śnieg stał się trochę porowaty, stanowił jednak dość mocne podłoże. W dolinie, gdzie już nie leżał, między drzewami kwitły przylaszczki, a łąki były usiane pierwiosnkami.

W gospodzie Zipfelwirt fizycy atomowi kazali zaprząć dwa konie i pojechali odkrytym chłopskim wozem przez bawarską wiosnę do najbliższej stacji

Bawarskiej Kolei Górskiej. A ponieważ przez cały czas nie zamienili słowa o ciemnej nocy, jaka zaległa nad Niemcami i Lipskiem, nad uniwersytetem i każdym z osobna, także podczas podróży koleją rozmawiali o pogodzie i o rozszczepieniu jądra atomu, a milczeli o nieuniknionej fakcie, że ich drogi rozdzielią się na monachijskim dworcu. Niels i Christian Bohrowie jako obywatele duńscy wrócą do Danii. Heisenberg i von Weizsäcker, jako że nie chcieli zostawić na łasce losu swojego instytutu, wsiądą do pociągu do Lipska, żeby ocalić swoją wyspę kultury w czasach barbarzyństwa. Felix Bloch natomiast uda się samotnie pociągiem do Zurychu i do końca życia jego noga nie postanie na niemieckiej ziemi.

*

I tym sposobem zdarzyło się, że Emil i Laura z dwiema dziewczynkami pod koniec października tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku udali się na dworzec i przez Cannes, Aix i Lyon pojechali na północ. Może wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby przyjechali do Szwajcarii w jeden z tych słonecznych, pogodnych jesiennych dni, kiedy ciepły wiatr schodzący z ośnieżonych gór znosi w doliny ostatnie tchnienie późnego lata, w powietrzu jeszcze raz roi się od owadów, a kobiety po raz ostatni wkładają lekkie spódnice. Kto wie, może wtedy podróż koleją z Genewy nad Jezioro Bodeńskie stałaby się dla Emila Fraunholza tryumfalnym przejazdem, ponieważ mógłby pokazać Laurze wielki spektakl płonących w jesiennym słońcu winnic i majestat zataczających biały łuk Alp, które przez całą drogę prezentowałyby się w prawym oknie, i może zrobiliby postój w Zurychu i przespacerowali się Bahnhofstrasse nad jezioro, zwiedzili budynek Opery i niewykluczone, że natknęliby się na Felixa Blocha, który w tamtych dniach mieszkał bezpośrednio za Operą w domu rodziców przy Seehofstrasse i przygotowywał się do wyjazdu do Ameryki, ale naturalnie Felix Bloch i Laura d'Oriano w żadnym wypadku nie mogliby się rozpoznać. Laura z mężem i dziećmi podążyliby w górę, w stronę teatru, potem obok muzeum sztuki przez Niederdorf i z powrotem na dworzec; przypuszczalnie dotarliby do Kreuzlingen dopiero późnym wieczorem, po odjeździe ostatniego autobusu do Bottighofen, i spędziliby noc w hotelu, a następnego ranka, ponieważ w dalszym ciągu utrzymywała się piękna pogoda, odbyliby przejażdżkę po Jeziorze Bodeńskim eleganckim białym parowcem kołowym, a w końcu pojechali autobusem do Bottighofen i złożyli wizytę rodzicom Emila.

Tak jednak nie było. Podczas całej podróży koleją lało jak z cebra, a niebo zasłaniały tak czarne chmury, że już po południu zrobiło się ciemno, do tego lodowaty wiatr chlustał deszczem w okna i dlatego przy przesiadaniu się Emil i Laura nawet nie pomyśleli o turystycznych przyjemnościach, tylko dbali o to, żeby nie zmokły im walizki i dzieci. Jazda autobusem z dworca głównego

Kreuzlingen pod urząd pocztowy w Bottighofen w zapadającym zmierzchu trwała dwadzieścia minut, marsz pieszo pod górę do zagrody rodziców – kwadrans.

W końcu stanęli przed domem, który spowijały ciemności. Walizki zostawili w gospodzie Pod Niedźwiedziem, na rękach nieśli śpiące dzieci. Deszcz przestał padać. Emil wywołał najpierw ojca, a potem matkę. Drzwi otworzyły się, rodzice w drewniakach wyszli na błotnisty plac przed domem, matka poświeciła lampą naftową, żeby zobaczyć, kto się pojawił. Nastąpiły niezgrabne powitania i uściski, przybyszy poproszono do środka.

Po wyrażeniu podziwu dla dzieci położono je do łóżek, na stole w głównej izbie pojawił się chleb, kielbasa i ser, a do tego butelka czerwonego wina i dzbanek mleka. Ojciec powitał Laurę w kilku francuskich słowach, jakie poznał podczas służby wojskowej. Matka uśmiechała się zachęcająco do Laury, głaskała ją po przedramieniu i gestami wzywała do częstowania się czym chata bogata.

Laura również się uśmiechała i za pośrednictwem Emila przekazała ubolewanie, że nie rozumie jeszcze ani słowa w szwajcarskim niemieckim, po czym odchyliła się wygodnie do tyłu i przysłuchiwała rozmowie teściów z niewidzianym od pięciu lat synem. Obserwując ich wzruszone twarze i sękatę dłoń, stwierdziła w duchu, że trafiła do dobrych, spokojnych i pracowitych ludzi, więc życie z nimi przez jakiś czas w zgodzie nie powinno być dla niej zbyt trudne.

Po kolacji Emil z ojcem zeszli jeszcze do Niedźwiedzia po walizki, a Laura poprosiła matkę o pokazanie drogi do toalety i do pralni. Przed pójściem spać opróżniła walizki i włożyła rzeczy do szafy, postanowiwszy mocno, że tutaj się osiedlą, a nie zaczną zaraz myśleć o wyjeździe.

W Bottighofen od zawsze panował zwyczaj, że chłopcy w ostatnim tygodniu października mocowali na zewnątrz dodatkowe okna i kładli na parapetach poduszki w kształcie kielbasy. Laura zrozumiała, że zima będzie surowa i długa i że okna, teraz zabite na amen, nie będą otwierane do wiosny.

Była to najbardziej ponura pora roku. Noce trwały długo, a dni tak krótko, że poranna szarówka od razu przechodziła w wieczorny zmierzch. Czasem spadło trochę śniegu. Na pastwiskach pod nagimi jabłoniąmi stały, zwieszając łby, zmoknięte krowy. Emil okazał się pożyteczny, kryjąc razem z ojcem gontami dach stodoły. Laura pomagała teściowej w kuchni i zabierała dzieci na spacer na wzgórze, żeby zażywały świeżego powietrza.

W drugim tygodniu jednak teściowa życzliwymi gestami dała Laurze do zrozumienia, że na zewnątrz jest zimno i spokojnie może zostawiać maluchy u niej w kuchni, kiedy będzie chciała wyjść na świeże powietrze. Tak więc gdy Laura wróciła potem z długiego, beztroskiego spaceru, podczas którego po raz pierwszy nie musiała uważać na nic innego oprócz własnych kroków, zastała w kuchni obie dziewczynki oraz ich babkę w atmosferze szczęścia brzęczącego niemal w uszach. Gdy następnego dnia znów wyruszyła sama, nikt w domu tego nie zauważył, więc

od tej pory zawsze sama spacerowała i pozostawała poza domem tak długo, jak jej się podobało.

Na górze w pobliżu ruin zamku Liebburg znajdowała się ławka, z której Laura miała piękny widok na Jezioro Bodeńskie, ginące w oddali jako ołowianoszara tafla i stapiające się z mgłą na niemieckim brzegu. Siadywała tam każdego popołudnia, paliła papierosy i uczyła się szwajcarskich słówek, które teściowa z odrobiną nieśmiałą dumą wpajała jej uparcie w postaci chłopskiej gwary: *Meassi, Wenziwenzogeezi, Danggenadie, Wotschau, Nüützdangge*. Zapamiętywała te słówka bez najmniejszego trudu – i ćwiczyła jasne, delikatne zabarwienie dialektu turgowijskiego, który tak się podobał kobietom i przydawał mężczyznom żeńskiej nuty, z pilnością muzyczki, mającej już w uchu właściwy ton i na tyle ambitnej, żeby utrafić go dokładnie.

Laura postanowiła solennie w jak najkrótszym czasie nauczyć się szwajcarskiej odmiany niemieckiego możliwie bez akcentu, gdyż spotkała w Bottighofen życzliwych, sympatycznych i wielkodusznych ludzi w osobach swoich teściów. Chciała u nich zostać, nigdzie nie mogło jej być lepiej.

Kiedy robiło jej się ciężko na sercu przy schodzeniu błotnistą polną drogą na widok przycupniętych chłopskich domów i wron podskakujących między skibami ziemi i wydziobujących posiane ziarno, pocieszała się myślą, że po Bożym Narodzeniu dni staną się znowu dłuższe, a niedługo potem tysiące jabłoni, które stały teraz takie czarne i pozornie martwe na zboczach Bottighofen, na nowo rozkwitną bielą i czerwienią.

Ale potem nastał ów słoneczny poranek, kiedy Laura wyszła z koszem bielizny z pralni, która znajdowała się w małej szopie kilka kroków od domu. Z dachów kapał topniejący śnieg, na dróżce wiodącej do placu przed domem stał Emil Fraunholz i przyłożył właśnie lewą dłoń do policzka jak ktoś, kto ma do przekazania wprawdzie nie aż tak ważną, ale nieprzyjemną wiadomość. Laura zatrzymała się i popatrzyła na niego.

Wszystko w porządku? – zapytał.

Laura skinęła głową.

Idziesz powiesić pranie?

Jak widzisz.

Posłuchaj, Lauro. Emil potarł kark i posłał jej zakłopotane spojrzenie z ukosa. Zastanawiałem się...

Nad czym?

Zastanawiałem się, czy w przyszłości nie mogłabyś wieszać prania nie w ogrodzie od frontu, tylko za domem. Obok stajni kóz.

Tam nie ma sznura do bielizny.

Moja matka właśnie rozpięła.

Za domem jest cień i nie ma wiatru, powiedziała Laura. Tam pranie nigdy

nie wyschnie.

Grube rzeczy tam nie wyschną, masz rację, rzekł Emil. Ale cienkie na pewno.

Mam wieszac grube rzeczy przed domem, a cienkie z tyłu?

Tylko bieliznę, powiedział Emil. Tylko twoją bieliznę.

Tylko moją bieliznę?

Moja matka prosi cię o to.

Twoja matka rozpięła sznur specjalnie dla mnie? Na moją bieliznę?

Emil skinął głową.

Co ma przeciwko mojej bieliźnie?

Nic, proszę, nie zrozum tego źle.

Mam tego źle nie rozumieć?

Chodzi tylko o to, że ludzie widzą twoją bieliznę wtedy, kiedy wisi w ogrodzie przed domem.

Noszę zupełnie normalną bieliznę. Ona w najmniejszym stopniu...

To nie to, powiedział Emil.

Więc co?

Ludzie widzą twoją bieliznę, to wszystko. Daj mi kosz, poniosę.

Laura roześmiała się i odwróciła, żeby nie mógł wziąć od niej kosza.

A bielizna twojej matki? Czyżby była niewidzialna?

To nie to. Ale nie widać z daleka, do kogo należy.

A po mojej bieliźnie to widać?

Widać, jak błyszczą już z daleka, powiedział Emil.

To śmieszne, odparła Laura. Moja bielizna jest prawie tak samo skromna jak bielizna twojej matki, Bóg mi świadkiem, że zwracam na to uwagę.

Nie o to chodzi. Proszę, daj mi wreszcie ten kosz.

O co więc chodzi?

Po twojej bieliźnie ludzie poznają na pierwszy rzut oka, że nie jest stąd. Tak, jakby było na niej wypisane twoje imię, rozumiesz? Bielizna mojej matki jest natomiast całkiem zwyczajna, tutejsza, dlatego nikt po niej nie poznaje, że należy do mojej matki. Wygląda dokładnie tak samo jak bielizna mojej siostry. Albo sąsiadki.

To prawda, przyznała Laura. Albo jak bielizna twojego ojca.

Nawiasem mówiąc, moja matka uważa, że nosisz bardzo ładną bieliznę. Ale ludzie po tym właśnie poznają, że należy do ciebie.

Przykro mi, że wstydzisz się za moją bieliznę.

Musisz to zrozumieć, nie jesteśmy w Marsylii. Ludzie przyglądają się dokładnie naszemu sznurowi i zapamiętują, jaka bielizna na nim wisi. A potem w niedzielę w kościele wykręcają szyje i uśmiechają się pod nosem, bo wiedzą, co nosisz pod spódnicą.

Naprawdę tak jest?

Przykro mi.

Emil i Laura popatrzyli na siebie. Między nimi wisiał kosz z bielizną. Dalsze słowa były zbędne, oboje wszystko powiedzieli i wszystko zrozumieli. Emil rozłożył ręce i uniósł dłonie w górę jak ktoś, kto zabiega o zrozumienie oczywistego faktu. Laura w zamyśleniu pokiwała głową.

W takim razie idę za dom.

Po południu zabrała ze sznura swoją suchą bieliznę, zaniosiła ją na górę do pokoju i zapakowała do starej, eleganckiej podręcznej walizki razem ze spódnicami, akcesoriami toaletowymi i paszportem podróznym. Następnie po cichu wyniosła walizkę z domu i ukryła za stosem drewna na opał.

Po kolacji zaprowadziła dzieci do łóżka, dosypała do pieca węgla na noc i jeszcze raz wyszła z domu, żeby jak zwykle pospacerować trochę w sadzie między jabłoniemi i zapalić ostatniego papierosa w ciągu dnia. Kiedy przechodziła obok stosu drewna, jednym płynnym ruchem chwyciła swoją walizkę i dotarła bez pośpiechu do końca sadu, przelazła przez płot i ruszyła wzdłuż potoku o nazwie Stichbach do młyna, a następnie wspięła się na wzgórze. Dotarłszy pod ruiny zamku Liebburg, usiadła na ławce, na pożegnanie popatrzyła na ciemne w nocy Bottighofen w dole i zapłakała nad swymi córkami i Emilem Fraunholzem. Wyjęła chusteczkę i osuszyła łzy, wstała i zdecydowanym krokiem ruszyła dalej na południe, w kierunku najbliższego dworca.

Rozdział siódmy

Im dłużej Emile Gilliéron przebywał w Grecji, tym bardziej jego kieszenie wypełniały się pieniędzmi – nie tylko greckimi drachmami, lecz także francuskimi złotymi frankami, brytyjskimi funtami szterlingami oraz złotymi markami i dolarami amerykańskimi. Po dziesięciu latach pracy u Schliemanna już od dawna był dostatecznie zamożny, żeby wybudować sobie dom nad Jeziorem Genewskim, mógł go także pięknie wyposażyć i przez jakiś czas żyć w słodkim nieróbstwie bez konieczności zarobkowania. Mimo to z roku na rok przesuwiał powrót do domu. Co kilka miesięcy dostawał list od matki, w którym ta pytała, czy w Grecji dostaje porządne jedzenie i ciepło się ubiera, i czy w ogóle nie tęskni za domem. Za każdym razem odpowiadał jej wtedy, że najchętniej niezwłocznie wróciłby do domu, ale jako żonaty mężczyzna nie może już w pojedynkę podejmować ważnych decyzji życiowych.

Było to zresztą prawdą. Jego małżonka przy wielu okazjach dawała mu wyraźnie do zrozumienia, że jako atence z urodzenia bardzo trudno byłoby jej oswoić się z myślą o spędzeniu reszty życia w zaśmiezonej górskiej dolinie w towarzystwie żyjących na wolności wilków i niedźwiedzi. Poza tym trzeba by też zabrać jej owdowiałą matkę i pozostającą w stanie niezamężnym siostrę, jak również syna Emile'a juniora, który wszak w pełni szczęścia dorastał jako ateński ulicznik.

Wszystko to rzeczywiście powstrzymywało Emile'a Gilliérona od powrotu do Villeneuve. Jednak największą przeszkodą, o której matce wstydliwie nie wspominał, były pieniądze. Interesy szły zbyt dobrze, żeby mógł z nich zrezygnować. Albowiem pomimo całej miłości do bohemy w głębi swego jestestwa pozostał jednak wychowanym w chłopskim duchu synem nauczyciela, niepotrafiącym robić nic innego oprócz zrywania jabłek, kiedy dojrzały. A ponieważ jego jabłka rzeczywiście właśnie dojrzały i nie sposób było przewidzieć końca zbiorów, rok po roku odsuwał powrót do domu i niejako wbrew własnej woli stał się człowiekiem osiadłym i zamożnym.

W owym czasie pieniądze płynęły do Aten szerokim strumieniem. Heinrich Schliemann swoimi trojańskimi odkryciami wywołał na całym Zachodzie grekomanię w nieznanych dotąd rozmiarach: kiedy obwieścił światu, że wydobył skarb Priama, cały świat chciał zobaczyć ów skarb. Ponieważ jednak skarbu Priama nie można było wystawiać równocześnie we wszystkich muzeach Berlina, Paryża, Londynu i Bostonu, kandydaci, którzy pozostali w pokonanym polu, domagali się przynajmniej jego wiernych kopii – i to za każdą cenę.

Owe kopie tworzył zaś dla nich Emile Gilliéron, który był najwłaściwszym człowiekiem do tego zadania. Po pierwsze znajdował się na miejscu wykopalisk, kiedy cenne zabytki po tysiącach lat ponownie ujrzały światło dzienne, po drugie miał artystyczne oko i potrafił ocenić ich wartość. Po trzecie wreszcie był pierwszym człowiekiem, który czyścił znaleziska i łączył je w całość, gdy były potłuczone. A potłuczone były prawie wszystkie, gdyż przez tysiące lat leżały na nich tony ziemi.

Tworzenie układanek sprawiało Emile'owi wielką frajdę, wirtuozowsko opanował grę możliwości, którą tak dobitnie zademonstrował Schliemannowi podczas ich pierwszego spotkania; kiedy brakowało mu jakiegoś ważnego elementu układanki, na przykład lewej ręki złotej statuetki, osobiście wchodził do dołu i szukał. Jeśli jednak ręki za nic w świecie nie udało się odnaleźć, sporządzał jej szkic sugerujący, jak powinna wyglądać zgodnie z logiką rzeczy, i polecał wykonać odlew zaufanemu złotnikowi z Aten. Jeżeli wazy były zniszczone do tego stopnia, że mimo najlepszej woli nie dało się ich uratować, kazał wytaczać z gliny nowe, po czym zamalowywał je własnoręcznie motywami, jakie odkrył na skorupach. Jeśli był zadowolony z rezultatu, kazał sporządzić trzy lub cztery kopie, a czasem od razu dziesięć. Do tego zanim wysłał w świat swoje imitacje, wykonywał przedstawiające je akwarele i rysunki, które sprzedawał za dobre pieniądze czasopismom naukowym, encyklopediom i magazynom dla dam.

Tak mijały lata. Jego pierworodny Emile dorastał, na świat przyszło troje kolejnych dzieci: Gaston, Gemma i Lucie. Mieszkanie zrobiło się ciasne. Poza tym teściowa się postarzała, trzeba było wziąć ją do siebie, a wraz z nią pomoc domową i nadal niezamężną szwagierkę. Gilliéron zbudował więc dla swojej greckiej rodziny przestronną willę na wzgórzu na północnym skraju miasta, gdzie jeszcze pasły się owce i parcele nie należały do zbyt kosztowych. Musiał wprawdzie wydać całe oszczędności, ale miał piękny widok na Akropol, a pieniądze były dobrze ulokowane, gdyż miasto rozrastało się szybko i pewnie niebawem połknie wolną przestrzeń. Za to kasa znów była pusta. Emile Gilliéron, dopiero co zamożny młody człowiek ze znakomitymi widokami na przyszłość, stwierdził nagle, że jest głową rodziny z dużą odpowiedzialnością i wieloma zobowiązaniami finansowymi. Nie ulegało wątpliwości, że jeszcze przez długi czas pozostanie na usługach Schliemanna.

Gdy jego pierworodny miał pięć lat, objawił się cud: odziedziczył po ojcu talent. Kiedy tylko Emile junior zdołał utrzymać w ręce ołówek i papier, zaczął rysować wszystko, co go otaczało – rodziców i swoje małe rodzeństwo, paterę z owocami na stole, starą handlarkę drewnem na rogu ulicy – i to z niewiarygodną dbałością o szczegóły, niewiarygodnie wyraźnie i wiernie, i z taką samą obojętnością wobec własnego talentu, jaka już w młodości wyróżniała jego ojca. Ten obserwował z mieszanymi uczuciami, jak syn na oczach turystów

błyskawicznie wykonuje precyzyjne szkice Akropolu i od razu je sprzedaje za całkiem dobre pieniądze. Z jednej strony cieszył się, że jego zdolności przeszły na chłopca, który sprzedając swoje dzieła, objawia obrotność kupiecką. Z drugiej strony czuł, że jego osobiste zasługi są umniejszone, skoro jego artystyczne powołanie nie jest niczym więcej niż konsekwencją teorii dziedziczenia Mendla. Ponieważ jednak senior dostrzegł handlowe perspektywy, jakie otworzą się przed wspólnym przedsiębiorstwem ojca i syna, dość szybko zabrał ze sobą juniora na wykopaliska i kształcił go we wszelkich zakresach twórczości plastycznej, jak dalece sam potrafił.

Ale tuż po Bożym Narodzeniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku Heinrich Schliemann zmarł w straszliwych męczarniach po tym, jak niemieccy lekarze daremnie próbowali mu wyciąć ropną bulwiastą narośl w uchu środkowym. Wprawdzie młoda wdowa niezwłocznie obwieściła światu, że zamierza kontynuować archeologiczne dzieło małżonka w jego duchu, lecz w cztery oczy poradziła Emile'owi, żeby jak najszybciej poszukał sobie jakiejś innej pracy zarobkowej, bo ona nie nosi się z zamiarem dalszego trwonienia swojego majątku na homeryckie bzdury.

Przyszło to Gilliéronowi bez trudu, wszak przez lata wyrobił sobie komfortową pozycję najlepszego, najsłynniejszego i najlepiej opłacanego rysownika sztuki starożytnej Grecji. Wprawdzie pieniądze przeciekały mu przez palce, gdyż jego duża rodzina przywykła do życia na pewnym poziomie, jednak Francuski Instytut Archeologiczny angażował go regularnie w charakterze naukowego doradcy i rysownika i cenił jego usługi, bo kiedy od niego tego wymagano, potrafił odrzucić marzycielstwo Schliemanna i połączyć rzemieślniczą zręczność z maksymalną akademicką precyzją i sumiennością. Dodatkowo udzielał lekcji malowania dzieciom greckiego domu królewskiego i tak często bywał w pałacu, że królewskie psy przestały szczekać, kiedy szedł na skróty przez pałacowy ogród; w drugim roku królowa pozwoliła mu zostawiać pantofle domowe w westybulu. A gdy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku odbywały się w Atenach pierwsze igrzyska olimpijskie ery nowożytnej, książę Nikolaos w imieniu Komitetu Olimpijskiego zlecił mu zaprojektowanie serii znaczków dla poczty greckiej.

Jego głównym źródłem zarobkowania od śmierci Schliemanna było jednak sporządzanie wiernych kopii na międzynarodowy rynek. Dlatego tak ciężkim ciosem okazała się dla niego decyzja greckiego parlamentu, który w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku uchwalił ustawę zakazującą eksportu starożytnych artefaktów oraz wytwarzania i sprzedaży imitacji pod groźbą kary do pięciu lat więzienia. Wprawdzie Emile'owi Gilliéronowi nie sprawiało trudności kontynuowanie dyskretnej produkcji w nierzucających się w oczy miejscach i potajemne wywożenie towarów z kraju, ale liczba zamówień

dramatycznie spadła, ponieważ wielkie muzea, jak British Museum i Luwr, nie mogły sobie pozwolić na gromadzenie eksponatów o niedającym się jasno określić pochodzeniu.

Dochody malały, ale zapotrzebowanie na pieniądze utrzymywało się na wysokim poziomie. Emile nie był już młodzieniaszkiem, zbliżał się do pięćdziesiątki i zapuścił gęstą szpicbródkę, która zaczęła z wolna siwieć, przyzwyczał się też do pewnych przyjemności i wygod. Również jego żona, teściowa i szwagierka miały stałe wydatki w ramach wspólnego gospodarstwa domowego, ale i na własne sprawy, Emile junior zaś, który skończył właśnie piętnaście lat i zaczął nosić niebieskie kaftany, uczęszczał do francuskiego gimnazjum, a w wolnym czasie oddawał się drogim rozrywkom miejscowej złotej młodzieży.

Dlatego Emile Gilliéron odebrał jak wybawienie list z Krety, który przyszedł na początku kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku: proszono go w nim pilnie o pomoc w wykopaliskach. Nadawcą była osoba prywatna, Anglik o nazwisku Arthur Evans, którego Gilliéron poznał w latach osiemdziesiątych na wykopaliskach w Tirynsie i w Mykenach. Emile wiedział o nim, że jako syn majątnego fabrykanta papieru pobiera tłustą rentę w funtach szterlingach, która w bardzo ubogich krajach basenu Morza Śródziemnego zapewnia mu praktycznie bezgraniczne bogactwo. Odkąd jego żona Margareth zmarła w Alassio na gruźlicę, nosił wyłącznie czarne krawaty, używał papieru do pisania z żałobną obwódką i wędrował po wybrzeżach Morza Śródziemnego jako samotny, zainteresowany archeologią wdowiec.

Evans był niewyobrażalnym krótkowidzem, praktycznie nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki, ale z próżności wzbierał się nosić okulary. Kiedy odwiedzał jakieś wykopaliska, wymacał drogę laską, bo nie mógł widzieć ziemi. Z bliska natomiast jego niebieskie oczy widziały rzeczy nad wyraz ostro i często dostrzegał szczegóły, które uszły uwagi innych ludzi.

Arthur Evans był mądrym, wrażliwym i cierpliwym człowiekiem. Od czasu wykopalisk Schliemanna pociągała go chęć nadania beczynnemu dotąd życiu brakującego mu ciągle wielkiego formatu przez odkrycie o podobnej doniosłości. Po śmierci żony udał się na Kretę i na południe od stolicy Candii, na skażonym malarią wzgórzu Kefala, gdzie od dawna przypuszczano istnienie osady o nazwie Knossos z epoki brązu, w ciągu sześciu lat mozolnych zabiegów podstępem skupił wszystkie pastwiska owiec i gaje oliwne.

Gdy potem zebrał wreszcie wszystkie wymagane pozwolenia na prowadzenie wykopalisk, w piątek rano dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćsetnego roku wyjechał na swoim osle z miasta i dotarł do tawerny, przed którą czekało na niego kilkaset kobiet i mężczyzn w każdym wieku, i zaangażował trzydzieścioro dwoje z nich w charakterze kopaczy, tragarzy i płukaczek. Następnie

wyposażył ich w narzędzia do kopania i płukania i zaprowadził do gajów oliwnych z wyraźnie określonym celem: odkryć tam europejską kulturę wysoką, która mogłaby się mierzyć z kulturami faraonów i Sumerów.

A ponieważ Evans dokładnie wiedział, czego szuka, oczywiście to znalazł.

Po paru dniach próbnych wykopalisk, które nie okazały się zbyt owocne, skierował robotników na sam szczyt małego pagórka wznoszącego się pośrodku równiny. Tam objawiła się gęsta plątanina prehistorycznych murów, które na przestrzeni wielu hektarów ciągnęły się równolegle i prostopadle wobec siebie w zagmatwanym układzie. Arthur Evans natychmiast pojął, co ma przed sobą: labirynt króla Minosa, ziemskiego syna Zeusa i Europy; to tu Tezeusz zabił pożerającego ludzi Minotaura i dzięki kłębkowi czerwonej wełny od księżniczki Ariadny odnalazł drogę do wyjścia. Kiedy potem u podnóża murów ukazał się zbiornik na wodę, Evans zidentyfikował go jako wannę Ariadny. A gdy w jednym z pomieszczeń został odnaleziony wykuty w kamieniu fotel z wysokim, wpuszczonym w mur oparciem na plecy, Arthur Evans był przekonany, że oto ma przed sobą tron króla Minosa.

Były to naturalnie bzdury w najczystszej Schliemannowskiej tradycji, gdyż w dziennym świetle tron okazał się po prostu kamiennym fotelem sprzed czterech tysięcy lat, a zbiornik na wodę starym zbiornikiem na wodę, i także o murach, jeśli być szczerym, nie dało się powiedzieć wiele więcej ponad to, że składały się z grubo ciosanych kamieni i jako całość tworzyły konglomerat tysiąca małych pomieszczeń, które do ich zniszczenia przez trzęsienie ziemi przed czterema tysiącami lat służyły pewnie nieznanemu ludowi do jakiegoś nieznanego celu.

Za to znaleziska wydobyte przez robotników z ziemi pomiędzy murami przerosły wszelkie oczekiwania: w sitach pozostały w dużej liczbie wyroby garncarskie znakomitej jakości, a także ozdoby i precyzyjnie wykończone pieczęcie, kamienne i miedziane zbiorniki na wodę oraz rzeźbione wprawną ręką figury z kości słoniowej, a poza tym setki małych tabliczek glinianych, zapisanych w nieznanym dotychczas języku, które Evans zinterpretował jako teksty pierwszych kodeksów prawnych na europejskim gruncie. Jednak najważniejszym ze wszystkich odkryć były pokrywające całe mury kolorowe freski, w których złożyła świadectwo bogata i zmysłowa kultura – nazwana przez Evansa minojską.

Niektóre fragmenty malowanego wapiennego tynku trzymały się jeszcze murów, setki i tysiące odłamków jednak odpadły i połyskując kolorowo, leżały w ziemi, skąd robotnicy wydobywali je szuflami i przenosili na światło dzienne, po czym wsypywali na sita. Na niektórych fragmentach widać było ludzkie ręce, nogi i uszy lub uporządkowane geometrycznie lilie, róże i liście paproci, na innych rogi byków, pawie i bażanty, ogony małą, psy, drzewa oliwkowe lub żaglowce. Jedne miały wielkość talerza do zupy, inne były małe jak paznokcie; leżały porozrzucane i kiedy już je wykopano, nieosłonięte przed deszczem, narażone na buty

robotników i kopyta kóz. Jeśli te fragmenty nie miały się rozpaść w proch, należało je natychmiast zabezpieczyć, oczyścić i połączyć w całość. Do tego zadania, o czym wiedział Arthur Evans, nikt nie nadawał się lepiej niż Emile Gilliéron.

Przypuszczalnie Gilliéron zostawił w Atenach wszystko, kiedy dotarło do niego zaproszenie od bogatego Anglika. Przy dobrej pogodzie przeprawa parowcem pocztowym z Pireusu do Candii trwała półtora dnia, jazda w drewnianym siodle na grzbiecie muła z portu do Knossos na górze – półtorej godziny. Pod datą dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku Arthur Evans odnotował w swoich zapiskach, że Gilliéron przybył na teren wykopalisk i natychmiast zabrał się do sortowania odłamków.

Jakże chętnie byłoby się wtedy przy tym! W tamtych dniach wiał notos, ów ciepły, łagodny wiatr południowy, który przenosi nad morzem piasek z Pustyni Libijskiej, a nabrawszy po drodze dużo wilgoci, nadaje niebu nad Kretą brzydkie żółte zabarwienie. Można sobie wyobrazić obu mężczyzn w oliwkowym gaju, jak spoceni stoją przy dużym stole w cieniu pod białym dachem namiotu i z wielkim przejęciem, jak uczniacy przy układaniu puzzli, przesuwają po blacie liczące sobie cztery tysiące lat fragmenty, błękitne do błękitnych i szkarłatne do szkarłatnych, i jak w triumfalnym geście ściskają sobie ręce, gdy jakiś kawałek pasuje idealnie do drugiego. Takie sukcesy należały jednak do rzadkości, małe spójne partie całości zawsze otaczał wielki płat ziejącej pustki. A ponieważ człowiek tak już jest skonstruowany, że nie wytrzyma pustki w swoim umyśle, nie upłynęło dużo czasu, a Evans i Gilliéron zaczęli snuć przypuszczenia, co też mogło się kiedyś znajdować w lukach między częściami, gdzie teraz widać było tylko drewno stołu.

Nigdy się tego nie dowiemy, oświadczył Gilliéron, który często prowadził tego rodzaju rozmowy i teraz skorzystał z okazji, żeby wy badać mechanikę duszy swojego nowego pracodawcy.

Jasne, że nie, odpowiedział Evans. Ale jeśli po prostu będziemy się zadowalać odłamkami, jakie tu mamy przed sobą, to rezultat będzie zbyt mizerny. To, co jest, prawie nic nie mówi, nie uważa pan?

Niestety, to prawda, potwierdził Gilliéron.

A przecież nie trzeba tak okropnie dużo fantazji, żeby tu i ówdzie wyobrazić sobie, jaki był kiedyś dalszy ciąg rysunku.

Z pewnością.

Przykładowo tam, gdzie jest kolano, kontynuację stanowiła pewnie łydka, a po niej była stopa, prawda? A na przeciwległym końcu nogi znajdował się z pewnym prawdopodobieństwem, za przeproszeniem, tyłek. A jeśli w głębi stoi osiem palm, to nie będzie od rzeczy przedłużyć w razie potrzeby ich szereg o dziewiątą i dziesiątą palmę. Nie sądzi pan?

Rozumiem pana bardzo dobrze, odparł Gilliéron. Zawsze można trochę domalować, ostatecznie świat ma swoją logikę. Zwracam tylko uwagę, że

w aspekcie czysto naukowym nie może być czegoś, czego nie ma. W nauce liczą się, jak pan wie, tylko fakty.

Ach, nauka ze swoimi faktami, rzekł Evans. W niej też nie brakuje luk.

Z pewnością, potwierdził Gilliéron. Ale jej obowiązkiem jest owe luki zadeklarować i żyć z nimi, dopóki istnieją.

Przeciwnie! – zawołał Evans. To przecież naukowcy pierwsi wzbogacają marzeniami swoją niekompletną wiedzę – muszą ją wzbogacać! Akurat archeolodzy i dziejopisarze nie mieliby przecież nic do opowiedzenia, gdyby trzymali się wiernie danych empirycznych. Wszelka nauka to opowieść i od faktu do faktu przeskakuje jedną lukę w wiedzy po drugiej. Fakty to niepodzielne najmniejsze części wiedzy, a pomiędzy nimi otwierają się wszechświaty ziejącej pustki. Chyba że zna pan naukowiec, który przy interpretacji faktów potrafi obejść się bez metafizyki?

Nie znam takiego.

Wie pan, co pozostaje z wiedzy, jeśli trzyma się wiernie faktów i niczego nie domalowuje?

Niewiele.

Nic nie pozostaje. Opisywanie faktów. Nic, tylko puste, martwe opisywanie faktów.

Pewnie ma pan rację, przyznał Gilliéron.

Widzi pan, i dlatego mamy obowiązek wypełniania luk. Ludzka wiedza zawsze jest niekompletna, taki nasz los. Tylko dlatego koniec końców nosimy w sercu wiarę, nadzieję i miłość – żebyśmy mogli powiązać fragmenty naszej wiedzy i wierzyć w to, że wszystko na tym świecie ma sens. Nie sądzi pan?

Całkowicie podzielam pańskie zdanie, odparł Emile Gilliéron, który właśnie zrozumiał swojego nowego pracodawcę i chciał się jeszcze tylko dowiedzieć, jakiego rodzaju obrazy nosi w duszy Arthur Evans.

Sądzi pan zatem, zapytał ostrożnie, że rzeczywiście mamy tu przed sobą pałac króla Minosa?

Pozwoli pan, że wyjaśnię szerzej, rzekł Evans. Wydaje mi się rzeczą oczywistą, że mamy tu przed sobą największy i najpiękniejszy pałac, jaki kiedykolwiek wybudowano na Krecie. Zgadza się pan ze mną?

Na to wygląda, potwierdził Gilliéron.

Nasuwa się teraz pytanie o właściciela. Kto zbudował największy i najpiękniejszy pałac na Krecie? Odpowiedź można wyczytać u Homera, Hezjoda i Herodota, którzy są w tym punkcie zgodni. Kto pańskim zdaniem zbudował największy i najpiękniejszy pałac na Krecie?

Król Minos, odpowiedział Gilliéron, ukrywając zniecierpliwienie tym, że Evans przedstawia mu cały wywód jak uczniakowi.

Widzi pan. A w jakim miejscu na Krecie mógł stać pałac Minosa, jeśli nie

tutaj? Czy gdzieś na tej wyspie znaleziono obiekt o podobnym przepychu i podobnej wielkości? Lub pytając na odwrót: kto inny mógł zbudować tutaj ten potężny pałac, jeśli nie król Minos?

Po wyjaśnieniu tej kwestii zabrali się do pracy. Wielki stół pod białym namiotowym dachem był odtąd miejscem pracy Emile'a Gilliérona, robotnicy przynosili do niego wszelkie fragmenty, jakie pozostawały w sitach. Arthur Evans zwiększył liczbę robotników najpierw do stu, a później do stu czterdziestu. Dla siebie na skraju wykopalisk kazał postawić namiot wojskowy i wywiesił przed nim Union Jacka.

Evans i Gilliéron byli na terenie wykopalisk pierwsi jeszcze przed wschodem słońca i wieczorem w zapadającym zmierzchu opuszczali teren ostatni. Dwaj mężczyźni, których różniło wiekowo zaledwie kilka miesięcy, pracowali razem jak nierówna para małżeńska. Gilliéron szczególnie odkryte przez krótkowidza Evansa umieszczał w szerszych kontekstach, które obaj wcześniej razem wymarzyli. Ziemia wciąż jeszcze była ciężka i wilgotna po zimowych opadach deszczu, komary widliszki rozmnażały się wspaniale. Gilliérona malaria oszczędziła, ale Evans ciężko zachorował. Kiedy nie mógł już utrzymać się na nogach, położył się przed wojskowym namiotem na łóżku polowym i robotnicy musieli mu przynosić do wstępnej oceny wszelkie znaleziska.

Pomimo dreszczy i biegunki Evans spędził owej wiosny tysiąc dziewięćsetnego roku w Knossos na Krecie najszcześniejsze dni swego życia. Znaleziska przekraczały jego najśmielsze nadzieje. Rzeczywiście odnalazł starą, nieznaną wcześniej kulturę wysoką, która przewyższała odkrycia Schliemanna żywotnością i wyrafinowaniem. Minojczycy nie tylko pozostawili świadectwa piśmienne – których Schliemann daremnie szukał w Troi, Tirynsie i Mykenach – także język ich obrazów świadczył o zamiłowaniu do spontaniczności i improwizowania, o zmyśle ulotnego piękna przeżywanych chwil, wobec którego wszelka sztuka starożytnych Egipcjan, Sumerów i Greków musiała się wydawać sztywna i nieruchoma jak maska.

Jakby tego było mało, minojskie wyspiarskie królestwo Arthura Evansa, Anglika z urodzenia, przypominało pod niejednym względem jego wiktoriańską ojczyznę. Dla niego było rzeczą oczywistą, że Knossos tak samo jak Londyn nie mogło wydrzeć swojego bogactwa nieurodzajnym glebom najbliższej okolicy. Wyłączył z tego wniosek, że Minojczycy musieli być narodem żeglarzy i handlarzy jak Brytyjczycy, którzy utrzymywali silną armię, żeby chronić obejmujące cały świat imperium kolonialne. I państwo króla Minosa tuż przed upadkiem, który wszak teraz czekał niebawem także imperium wiktoriańskie, osiągnęło swój ostatni i najwyższy rozkwit – „ten klejnot w srebrne oprawiony morze, które mu stoi za sypane wały”[2], jak czytamy u Szekspira.

Największą przyjemność sprawiało Evansowi to, że wszystkie znaleziska

idealnie pasują do obrazu, jaki wyrobił sobie na podstawie opisu pałacu Minosa pióra Homera. Labirynt, zewnętrzne schody, tron – wszystko było. Brakowało tylko sali tanecznej z alabastru, którą Dedal zbudował dla księżniczki Ariadny, zanim uciekł z synem Ikarem drogą powietrzną na wykonanych przez siebie skrzydłach.

Dlatego wielkie było poruszenie, gdy trzeciego i czwartego maja tysiąc dziewięćsetnego roku robotnicy w świeżo otwartym pomieszczeniu odnaleźli osiem fragmentów fresku, z których po złożeniu ukazał się delikatny pochylony tors w niebieskim kolorze z dziwnie zgiętymi rękami i nogami. Arthur Evans na pierwszy rzut oka był przekonany, że ma przed sobą wizerunek tańczącej dziewczyny, a więc pomieszczenie musiało być salą taneczną Ariadny, tym bardziej że posiadało posadzkę z białego alabastru. Evans zapisał to znalezisko w swoim notesie, po czym poprosił Gilliérona o opinię. Ten wprawdzie już od dawna przywykł przytakiwać we wszystkim każdemu aktualnemu chlebobdawcy, tu jednak zalecił najpierw gruntowne oczyszczenie fragmentów. Po wykonaniu tego Evans musiał przyznać, że postać bez głowy jest o wiele za mocno zbudowana i zbyt wąska w biodrach, żeby mogła ująć za dziewczynę, i że niebieski chłopiec, jak go od tej pory nazywano, bynajmniej nie tańczy, lecz zbiera szafran na polu porośniętym kwiatami. A więc przekreślił tańczącą dziewczynę w swoim notesie i zapisał następne nowe odkrycia, podczas gdy Emile Gilliéron rozrobił gips, zaprawę i farby pigmentowe, domalował niebieskiej figurze ludzkie oblicze i uzupełnił tło w postaci kompletnego pola szafranów.

Wizerunek ten wszedł do historii sztuki pod nazwą *Blue Boy* jako wzruszający przykład lekkości i afirmatywnego stosunku do ludzi w sztuce minojskiej – i zachował to miejsce również potem, gdy wiele lat później dodatkowe części układanki ujawniły, że w przypadku *Blue Boya* wcale nie chodzi o chłopca, ale o zrywającą szafran małpę, której długiego, zakręcanego ogona Gilliéron nie rozpoznał i wstawił ten element na łące daleko od małpy.

I tak prace posuwały się naprzód. Szesnastego maja tysiąc dziewięćsetnego roku robotnicy odkryli pomieszczenie, którego ściany zdobiły wizerunki byków i sceny walki. Arthur Evans wywnioskował z tego, że dotarł do serca minojskiego labiryntu – do izby, gdzie rzeczywiście mieszkał Minotaur i gdzie co dziewięć lat siedmiu ateńskich młodzieńców i siedem dziewcząt kończyło żywot w smutny sposób.

Emile Gilliéron ze swej strony potrafił sprawić, że możliwość prezentacji światowej opinii publicznej wyrazistych i reprezentatywnych scen walki z bykami nabrała dla Arthura Evansa dużej wagi. Trudność polegała jednak na tym, że poszczególne fragmenty były niezmiernie zróżnicowane pod względem struktury, zabarwienia i grubości, ponieważ jako elementy różnych fresków zdobiły różne ściany. Jako że większość z nich osobno przedstawiała niewiele więcej niż brązowe

plamy i właściwie mówiła niewiele więcej niż grudy ziemi na koziej łące, Emile łączył je i tak długo przesuwiał po stole, aż bez oglądania się na swoje różne pochodzenie dawały w sumie ładnie skomponowaną scenę walki z bykami – to znaczy, aż połączone fragmenty dały scenę walki z bykami, wymyśloną wcześniej przez Gilliérona.

W rezultacie powstał pędzący wyciągniętym galopem wspaniały byk, na którego grzbiecie młodzieniec robił stójkę na rękach, mając po bokach dwie młode kobiety: jedna z nich trzymała byka za rogi, druga zaś stała przed jego tylnymi nogami i wyciągała ręce, jakby chciała pomóc młodzieńcowi przy zsiadaniu. Sprzeciwiało się to co prawda zdrowemu rozsądkowi, gdyż nigdy dotąd żaden człowiek na ziemi nawet nie pomyślał o tym, żeby chwycić za rogi potężnego galopującego byka, było też rzeczą absolutnie niemożliwą wykonywanie na jego grzbiecie stójki na rękach przy prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę; i wreszcie co się tyczy młodej kobiety, która stanęła przed tylnymi nogami parzystokopytnego zwierzęcia, to mogła ona to zrobić wyłącznie w zamiarze samobójczym.

Arthur Evans był jednak zachwycony.

Fantastyczne! – oznajmił Gilliéronowi. Nie ulega wątpliwości, że to rytualna ofiara z ludzi dla boga-byka Minojczyków, nie uważa pan?

Bardzo możliwe, odrzekł Gilliéron, dziwiąc się po raz kolejny, że wszyscy archeolodzy, których poznał w życiu, na widok wizerunków młodych ludzi odruchowo wysnuwali fantastyczne domysły na temat mordów rytualnych. Może też jednak chodzić, dodał ostrożnie, o jakieś zawody sportowe lub zabawę.

Rytualna ofiara z ludzi, upierał się Evans. Sprawa wydaje mi się ewidentna.

Proszę zważyć, że materiał faktograficzny opiera się na wyjątkowo kruchych podstawach, wtrącił Gilliéron. Nieraz musiałem sobie pozwolić na swobodną interpretację.

Rozumiem, rzekł Evans. Ale liczy się rezultat.

Zawsze istnieje ryzyko błędu, zauważył Gilliéron. Wkraczamy na śliskie tory.

Ale się opłaciło, zawołał Evans, wspaniała walka z bykiem! Co mielibyśmy bez ryzyka? W tym przypadku parę brązowych plam!

Emile Gilliéron kontynuował więc pracę w dotychczasowy sposób.

Robotnicy odsłoniли pomieszczenie, które przylegało od północy do „sali tronowej”, a jego ściany ozdobione były licznymi wizerunkami kobiet. U niektórych zachowały się tylko stopy albo brzeg szaty, u innych tylko oczy lub obnażone ramiona, lecz Emile Gilliéron wyposażył je, jako że kobiece ciało również posiada swoją logikę, w pełną postać. Kiedy skończył pracę, wszystkie freski błyszczały świeżością, jakby minojskie niewiasty pozowały artyście nie dalej jak wczoraj; niektóre zbliżyły do siebie głowy, jakby wymieniały najnowsze

minojskie plotki, inne trącały się kielichami z winem, a dwanaście siedziało, co zadziwiające, na swego rodzaju krzesłach kempingowych o wąskich metalowych nóżkach, i wszystkie miały długie czarne włosy, niektórym zaś kokieterijny lok opadał na czoło. Miały też wielkie migdałowe oczy i zmysłowe usta pomalowane jaskrawoczerwoną szminką, niektóre nosiły płaskie obuwie bez obcasów, krótkie spódnice i bluzki z odsłoniętą szyją, jakby wracały z tenisa, inne były ubrane w skąpe bolera i dumnie wypinały w stronę obserwującego obnażone piersi, podczas gdy jeszcze inne nosiły prześwitujące koszule, wplotły we włosy kolorowe wstążki i śmiało wysuwały podbródek, jakby chciały powiedzieć: „Pójdź za mną, młody człowieku”.

Arthur Evans znowu był zachwycony, a kiedy obrazy Gilliérona poszły w świat, wśród specjalistów zawrzało. Dla zmęczonej już techniką Europy dobrodziejstwem było odnalezienie własnych kulturowych korzeni w tego rodzaju wysublimowanej, radosnej i cieszącej się życiem cywilizacji, której tak obca była surowość starożytnej Grecji. W dodatku kultura minojska ze swoją kwiatową ornamentyką przypominała niejednemu z obserwatorów secesję, która w tamtych latach była popularna od Monachium, przez Paryż, Brukselę i Londyn, aż do Nowego Jorku.

Niektórych jednak też irytowało, że freski z Knossos wydają się takie współczesne i brak im jakiegokolwiek archaiczności. *Mais, ce sont des Parisiennes!* – zawołał na widok siedzących na krzesłach kempingowych piękności Gilliérona bawiący przejazdem na Krecie archeolog i historyk sztuki Edmond Pottier, a brytyjski pisarz Evelyn Waugh powiedział, że nie śmie wyrażać swojej opinii o sztuce minojskiej, ponieważ najwyżej co dziesiąty z wystawionych fresków ma więcej niż dwadzieścia lat; jeśli zaś chodzi o całość, nie można się oprzeć wrażeniu, że konserwator zaniedbał obowiązek rzemieślniczej staranności zafascynowany modnymi wówczas ilustracjami ze stron tytułowych.

2 William Shakespeare, *Król Ryszard II*, tłum. Leon Ulrich, G. Gebethner i Spółka, Kraków 1895.

Rozdział ósmy

Po półtoragodzinnej pieszej wędrówce z walizką przez nocne zaśnieżone łąki i pola Laura d’Oriano musiała dotrzeć do Weinfelden, skąd według rozkładu jazdy ostatni pociąg osobowy odchodził o godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści osiem. Jeśli na niego zdążyła, musiała przyjechać na dworzec główny w Zurychu dwadzieścia trzy minuty po północy i tam spędzić noc na drewnianej ławce w poczekalni drugiej klasy, ponieważ najbliższy pociąg do Genewy odjeżdżał dopiero o szóstej trzydzieści cztery rano. Ponowne spotkanie z Felixem Blochem nie mogło zdarzyć się tamtej nocy, ponieważ pod koniec marca tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku nie było go już w Zurychu, przebywał wtedy po drugiej stronie kuli ziemskiej, gdzie trwał właśnie jasny dzień.

Felix nie planował ucieczki do Ameryki, myśl o tym naszała go niczym nawrócenie, które swego czasu kazało mu wybić sobie z głowy produkcję pokryw studzienek kanalizacyjnych i popchnęło go ku fizyce atomowej. Po ostatnim urlopie narciarskim z Heisenbergiem wrócił do Zurychu, żeby u rodziców przy Seehofstrasse spędzić za darmo lato i doczekać października, kiedy miał zacząć dostawać stypendium z Fundacji Rockefellera. Powrócił do trybu życia z młodości, pływał w Jeziorze Zuryskim i odbywał wycieczki po Alpach Glarneńskich. W soboty chodził na mecze piłki nożnej na Letzigrund. Bardzo możliwe, że wybrał się kiedyś rowerem do Küssnacht i w odlewni Fritza Christena dał się wprowadzić w najnowsze szczegóły produkcji pokryw do studzienek kanalizacyjnych. W poniedziałki chodził na kolokwia w Instytucie Fizyki Teoretycznej, na których mówiono głównie o nowo odkrytym neutronie. Wieczorami czytał czasopisma fachowe, w których również dużo pisano o neutronie.

Tamtego lata tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku cały świat mówił o neutronie, było to najbardziej podniecające odkrycie w fizyce od dłuższego czasu i największa nadzieja badań eksperymentalnych. Neutron nie miał w sobie nic przypadkowego ani nieostrego i przede wszystkim świetnie nadawał się na pocisk, bo zawsze leciał prosto do celu, nie można go było wytrącić z toru lotu za pomocą cząstek naładowanych dodatnio czy ujemnie. Felix Bloch domyślał się, że dałoby się z nim coś zrobić w laboratorium – trochę więcej niż z elektronami, o których nadal nie za bardzo wiedziano, czy wykonują skok wzwyż, skok w dal, czy jeszcze coś innego pięknego.

Dlatego postanowił, że w czasie pobierania stypendium Rockefellera odwiedzi instytuty fizyki atomowej w Europie i zapozna się z najnowszym stanem badań nad neutronem. Najpierw odwiedzi w Rzymie Enrica Fermiego, który wbił

sobie do głowy, że będzie kolejno ostrzeliwał neutronami wszystkie pierwiastki układu okresowego i obserwował, co z tego wyniknie. Potem zajrzy do Nielsa Bohra w Kopenhadze i przedstawi mu swoją teorię, że neutrony, choć elektrycznie obojętne, mogą jednak posiadać ładunek magnetyczny. A potem na kilka miesięcy uda się do Cambridge do Jamesa Chadwicka, który jako pierwszy eksperymentalnie udowodnił istnienie neutronu.

Taki był jego plan, ale tak się nie stało. Im dłużej bowiem trwało lato tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, tym wyraźniej było widać, że wkrótce skończą się, i to na długo, niewinne podróże studyjne. W Zurychu wisiało mnóstwo flag i chorągwi, po uniwersyteckich kruzgankach chodziły sztafety ochronne Frontu Narodowego w szarych mundurach. Jego przyjaciele ze studiów Fritz London i Walter Heitler uciekli do Wielkiej Brytanii, jego nauczyciel i mistrz Erwin Schrödinger i Hans Bethe także. Albert Einstein w Ameryce publicznie ogłosił, że nie wróci do Europy w dającym się przewidzieć czasie. Nawet Fritz Haber, niemiecki patriota i twórca pierwszego gazu bojowego użytego podczas wojny światowej, na znak protestu przeciwko okropnościom narodowego socjalizmu złożył swoje urzędy w Berlinie i przyjął profesurę w Cambridge.

Tamtego lata tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku nie dało się nie dostrzec, że znów ruszyły koła maszyny wojennej, która prędzej czy później wymknie się spod kontroli. Co rano Felix czytał w gazecie o przepelnionych obozach koncentracyjnych i bijatykach w salach parlamentarnych, o paleniu książek na niemieckich uniwersytetach i zbiorowym rozstrzeliwaniu kulaków w Związku Sowieckim, o wodowaniu ogromnych okrętów wojennych i o braku węgla, zaostzonych przepisach wizowych, masowym bezrobociu, glajchsztaltowaniu, pogromach, remilitaryzacji i o rewoltach z powodu głodu.

Taka była sytuacja, kiedy dotarł do niego telegram, w którym dziekan Uniwersytetu Stanforda zaproponował mu profesurę fizyki teoretycznej. Felix nie miał bladego pojęcia, gdzie na tym bożym świecie może się znajdować ów Stanford, ponieważ jednak proponowana pensja podana była w dolarach amerykańskich, postawił na Amerykę.

Dziesięciodniowy rejs przez wzburzony w zimie Atlantyk był pierwszą podróżą morską w jego życiu; dopiero po ośmiu dniach żołądek przyzwyczał się do kołysania w górę i w dół oraz na boki. A kiedy w końcu Felix mógł wyjść na brzeg w nowojorskim porcie, poczynił interesujące spostrzeżenie, że znów robi mu się niedobrze, bo żołądek zareagował swego rodzaju odwróconą wersją choroby morskiej na nagły spokój stałego lądu.

Ponieważ przed dalszą podróżą musiał jakoś zabić dwadzieścia godzin, przeszedł niepewnym krokiem przez Manhattan i wszystko pooglądał – wysokie domy, szerokie ulice, duże samochody – ale z rozczarowaniem stwierdził, że nie odczuwa przy tym zachwyty. Wprawdzie domy rzeczywiście były bardzo wysokie,

ulice imponująco szerokie – pewnie ich szerokość przekraczała długość niejednej uliczki na zuryskiej starówce – a samochody ogromne i lśniły jak bożonarodzeniowe choinki, po chodnikach zaś przesuwiał się gęsty, niekończący się ludzki strumień.

Możliwe, że z powodu osłabienia Felix Bloch uważał ten wszechogarniający ogrom za wprawdzie imponujący, lecz nieszczerze ciekawy. W jego oczach domy na Manhattanie, choć wznosiły się tak wysoko ku niebu, były jedynie użytecznymi domami zaopatrzonymi w okna i drzwi, przez które ludzie wchodzili i wychodzili. Ulice, mimo że sześć- lub ośmiopasmowe, nie były przecież niczym więcej niż ulicami, po których jeździły automobile i ciężarówki. Pod chromem i lakierem i karoserią z centymetrowej blachy samochody miały też tylko cztery koła jak wszystkie samochody na świecie. A w końcu co się tyczy ludzi, to byli po prostu ludźmi. Niektórzy mogli różnić się kolorem skóry, włosów lub oczu i wszyscy byli dla Felixa Blocha nieznanymi, ale z tego powodu wcale nie byli mu obcy. Ludzie to ludzie. Nie było się czym podniecać.

Następnego ranka udał się na Grand Central Station, gdzie stał już pociąg gotowy do odjazdu, mający go zawieźć przez cały kontynent na przeciwległy koniec Ameryki. Kiedy stał pod kopułą wielkiej, nieskazitelnie białej i jasno oświetlonej hali dworcowej, która w swojej wspaniałości tak całkowicie dawała odczuć brak wszelkiej ludzkiej miary, wszelkiego rozsądku i wszelkiej użyteczności, po raz pierwszy zatęsknił za starą, ponurą Europą.

Podróż koleją trwała cztery dni i cztery noce. Felix przejeżdżał przez przedmieścia Chicago i przez niekończące się mosty, które przekraczały Missisipi i Missouri River na wysokości przyprawiającej o zawrót głowy. Jechał przez Rocky Mountains i podążał z biegiem Colorado River przez kaniony pomarańczowe, fioletowe i w żółto-białe paski; przez okno swojego przedziału widział pasące się łosie, uciekające jelenie i krążące w górze orły. Pociąg zatrzymał się w Salt Lake City, Reno i Virginia City, po czym przecisnął się przez Sierra Nevada i zjechał w żyzne doliny Kalifornii, gdzie rolnicy zrywali jabłka z drzew trzy razy do roku, a bryłki czystego złota leżały na wierzchu w skibach ziemi. Pod koniec czwartego dnia za oknem po prawej pojawił się Golden Gate Bridge, a potem pociąg wreszcie się zatrzymał na dosyć skromnym dworcu w San Francisco.

Podczas owych czterech dni i czterech nocy Felix Bloch spędził wiele godzin na wyglądaniu przez okno i na końcu podróży wyciągnął ważną naukę: że w tym kraju będzie potrzebował auta. Co prawda wcale nie uważał, że amerykańskie krajobrazy są zasadniczo większe od europejskich, gdyż według jego obserwacji również w Ameryce góra była górą, a rzeka rzeką. Także tutaj kilometr musiał mierzyć nie więcej niż tysiąc metrów, a odległość między Nowym Jorkiem a San Francisco, obiektywnie patrząc, była wyraźnie mniejsza niż między Lizboną

a Moskwą. Do tego amerykańscy ludzie, na ile Felix Bloch mógł to ocenić przez okno pociągu, mieszkali bez wyjątku poza metropoliami, w miasteczkach europejskiego pokroju, które miały po parę tysięcy mieszkańców, kilka knajp i wiejski kościół.

Różnica była jedynie taka, że te miasteczka nie znajdowały się w zasięgu wzroku jedno obok drugiego, tylko dzieliły je nieskończone przestrzenie, a w tych odstępach zmieściłby się spokojnie cały Schwarzwald, pół łuku Alp albo cała Toskania, i że ojciec rodziny, który w niedzielę po porannej mszy chciałby kupić świeży chleb na śniadanie, w drodze z kościoła do piekarni musiałby pokonać trzy kaniony i prerię z dziesięcioma tysiącami pasących się na niej bizonów.

W tym kraju Felix Bloch będzie potrzebował auta; stało się to dla niego jasne na końcu podróży, kiedy wyszedł z walizką z dworca w San Francisco. Przywołał więc taksówkę i kazał się zawieźć do najbliższego handlarza używanymi wozami, gdzie w ciągu paru minut zdecydował się na chevroleta sportstera rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy z kołami o drewnianych szprychach, prawie bez śladu rdzy i z polakierowaną na bordowo maską, pod którą silnik, sądząc po odgłosach, wydawał się pracować dosyć gładko. Ponieważ nigdy dotąd nie siedział za kierownicą, handlarz musiał mu objaśnić funkcjonowanie pojazdu i zrobić z nim kilka rundek po terenie firmy, po czym Felix, szarpiąc kierownicą i podskakując w fotelu, wyjechał poza miasto i przejechał trzydzieści mil na południe pośród wiecznej wiosny tego szczęśliwego kraju.

Jazda po nowiuteńskiej asfaltowej czteropasmowej Bayshore Highway trwała niespełna godzinę. Kiedy patrzył przez okno w prawo, widział łagodną linię pagórków, które przypominały mu szwajcarską Jurę. Przez lewe okno widział ptaki o bocianich nogach, brodzące w szarej wodzie rozlewisk w zatoce San Francisco. Szosa była wolna od kurzu, równa i twarda. Kiedy zaś patrzył przed siebie, po obu stronach asfaltowej wstęgi widział słupy telegraficzne, ogromne tablice reklamowe i garaże, jak również stacje benzynowe i przydrożne bary w najfantastyczniejszych przebraniach: niektóre udawały indyjskie świątynie, ogromne cytryny, wielgachne piernikowe domki czarownic lub indiańskie wigwamy. Przed nim i za nim jechały lśniące luksusowe samochody, w których siedziała jedna osoba lub czasem dwie, za nimi zaś autobusy wielkie jak katedry, a często także rozklekotane fordys, których pasażerowie o zapadniętych policzkach przywiązali sznurkami do dachu i do stopni pojazdu najróżniejsze naczynia kuchenne, tyczki namiotowe i walizki.

W Palo Alto skręcił w prawo. Za stacją kolejową dotarł do obsadzonej palmami wielokilometrowej alei, która przez rzadko porośniętą egzotycznymi drzewami park prowadziła do Uniwersytetu Stanforda. Zaparkował wóz, przeszedł pod łukiem bramy bogato zdobionej reliefami na modłę romańską i znalazł się w przysadzistym kościele, utrzymanym w neobizantyjskim stylu wiktoriańskim, do którego przylegały arkady z grubo ciosanego piaskowca: tworzyły one czworobok

i dachami z terakoty przypominały meksykańską hacjendę, średniowieczny romański klasztor albo utrwaloną w kamieniu historyczną fantazję pozbawionego korzeni magnata z branży kolejowej.

Kiedy w późniejszych latach dziennikarze pytali Blocha o jego przybycie do Stanfordu, przypominał sobie życzliwe twarze, silny uścisk dłoni dziekana i przyjemne odczucie, że jest przyjmowany z otwartymi rękami i naprawdę mile widziany. Pamiętał spontanicznie zorganizowane przyjęcie, jakie docenci wydali na jego cześć, i swoją konsternację na widok opalonych i przypuszczalnie wesołych studentek i studentów, którzy wyglądali tak, jakby wszyscy wrócili właśnie z plaży i zaraz wybierali się na barbecue.

Faktycznie w owym kwietniu tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku Stanford przypominał prywatny klub towarzyski złożony z bogatych młodych ludzi. W kampusie mieli do dyspozycji wielkie pole golfowe z dwudziestoma czterema dołkami, które uważano za najpiękniejsze na całym wybrzeżu Pacyfiku, oprócz tego były dwa sztuczne jeziora, na których odbywały się regaty żeglarskie i zawody wioślarskie, ponadto boisko do gry w polo i stadion futbolowy na dziewięćdziesiąt tysięcy widzów, jak również trudna do oszacowania liczba znakomicie wyposażonych hal gimnastycznych i sportowych w stylu klasycystycznym z białego marmuru zintegrowanych z krytymi basenami, boiskami do piłki ręcznej i kręgielniami.

W Stanfordzie kształciło się wówczas pięć tysięcy studentów i tysiąc studentek; sądząc po rejestrze nazwisk w roczniku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym, prawie wszyscy mieli anglosaskie, skandynawskie lub niemieckie pochodzenie. Większość uprawiała sport i miała silne ramiona, silne nogi i zdrową cerę. Mężczyźni nosili sztruksowe spodnie i koszule, jakie noszą drwale, kobiety prosto skrojone spódnice i tenisówki; formalny *dress code* uniwersytetów Ivy League ze Wschodniego Wybrzeża był im obcy. Nie działały tutaj także żadne elitarne tajne stowarzyszenia, których członkowie dbaliby o brytyjski akcent i za obrośniętymi bluszczem ukrytymi drzwiami odprawiali bzdurne rytuały inicjacyjne z trupimi czaszkami i zakrwawionymi maskami; studenci Stanfordu chodzili w weekendy poza miasto na Foothills łapać pstrągi lub polować na dzikie króliki albo przepełnionymi autami jeździli do San Francisco na tańce w Mark Hopkins albo w St. Francis Hotel, który nazywali The Frantic.

Ponad połowa z nich posiadała wówczas, w piątym roku wielkiego kryzysu, własne auto, niektórzy mieli własne samoloty. I wszyscy żyli w spokojnej pewności, że Ameryka jest taka silna, że nikt nie ośmielił się jej zaatakować, a oni sami dzięki odziedziczonemu po rodzicach bogactwu do końca swoich dni będą zabezpieczeni przed głodem, chorobą, biedą i wszelkimi innymi formami nieszczęścia.

Felix Bloch zrozumiał, że trafił na słoneczną stronę życia, mroczna strona

świata leżała już za nim. W Stanfordzie nie istniał jednak instytut fizyki teoretycznej. Stworzenie takowego było jego zadaniem.

Pierwszymi zajęciami, jakie zaproponował w Stanfordzie, było seminarium poświęcone teorii promieniowania beta Enrica Fermiego. W sali wykładowej zastał tuzin dobrze odżywionych studentów o różowych twarzach, którzy mierzyli go zaciekawionym wzrokiem i wyczekująco przystawili zaostrzone ołówki do pierwszej strony nowiuteńkich notatników. Kiedy jednak padły pierwsze zdania, szpice ołówków nie zaczęły śmigać po pustym papierze, tylko pozostały w lewym górnym rogu, ponieważ studenci nie rozumieli ani słowa z tego, co mówił. Felix Bloch zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z nowicjuszami, którzy są o dziesięć lat młodszy od niego i nie mają nawet dwudziestki, i że brakuje im podstaw, aby zrozumieć założenia wstępu do fizyki kwantowej. Odłożył więc notatki i zaczął improwizować, tworząc nowy program wykładu, przy czym starał się unikać odniesień do wcześniejszej wiedzy i terminologii fachowej, zakładając, że są one nieznane. Najpierw wyjaśnił studentom, dlaczego jabłko spada z gałęzi na ziemię, natomiast księżyc pozostaje na niebie; potem wyłuszczył, dlaczego para wodna w czajniku gwizdza i góry lodowe wprawdzie topnieją, ale nie idą na dno, a na końcu roku akademickiego, jeśli starczy czasu, opowie o tym, dlaczego piorun uderza zawsze w wierzchołki najwyższych jodeł, w miarę możliwości zaś oszczędza niższe rośliny.

Felix Bloch miał wprawdzie jasność co do tego, że fizyka atomowa na zachodzie USA jest niezoranym polem, wiedział też, że Stanford to uczelnia zorientowana na wiedzę praktyczną, gdzie teorię interesowano się przede wszystkim w aspekcie jej konkretnego zastosowania. Ale wstrząsnęło nim, że w promieniu dwustu mil jest niemal jedynym naukowcem, który zajmował się kiedykolwiek mechaniką kwantową – i że jego zadaniem będzie głoszenie ewangelii kwantowej w tej części świata.

Jako fizyk Felix Bloch czuł się w Stanfordzie niczym rozbitek i także w czasie wolnym z trudem przychodziło mu uczestniczenie z należnym zapałem w towarzyskich rytuałach, jakie praktykowano w kampusie. Kiedy w piątkowy wieczór miał iść na tradycyjną pijatykę w gronie kawalerów, czuł się nieswojo, a następnego ranka nudził się podczas łowienia pstrągów. Strzelanie do królików uważał za banalne i odrażające, a do końca życia miało pozostać dla niego zagadką, jak dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi może co niedziela popadać w religijne odurzenie na stadionie baseballowym. Dlatego było dla niego wielkim szczęściem, że parę lat wcześniej osiedlił się w pobliżu drugi apostoł mechaniki kwantowej. Robert Oppenheimer, jego znajomy z czasów studenckich w Getyndze, objął profesurę na uniwersytecie w Berkeley i stworzył katedrę fizyki teoretycznej. Ponieważ Felix potrzebował pilnie rozmówcy, z którym mógłby przedyskutować swoją na wpół gotową teorię magnetyzmu neutronu, pojechał do Berkeley – w górę Bayshore

Highway do San Francisco, a potem promem na drugą stronę zatoki do Oakland.

Spotkanie dwóch tak skrajnie różnych ludzi mogło się zupełnie nie udać. Felix Bloch był sympatycznym, powściągliwym młodym człowiekiem, który interesował się głównie fizyką, a w wolnym czasie najbardziej lubił wędrować po górach; o półtora roku starszego Roberta Oppenheimera poznał w Getyndze jako kapryśnego dandysa pochodzącego z bogatej nowojorskiej rodziny, który bez przerwy palił chesterfieldy i kiedy inni mówili, powtarzał rytmicznie „Tak... tak, tak... tak, tak... tak”, żeby przy pierwszej okazji wejść im w słowo i doprowadzić ich myśl do końca, ponieważ uważał, że lepiej niż inni wie, co chcą powiedzieć.

Ale prawdą było również, że Oppenheimer faktycznie lepiej i szybciej rozumiał myśli innych ludzi niż oni sami i że posiadał wybitny dar włączania nowych idei w orbitę swojego intelektu. Jak i to, że Bloch i Oppenheimer w równej mierze ucieszyli się ze spotkania w kalifornijskiej samotni mechaników kwantowych. Kiedy Felix przedstawiał w skrócie swoją teorię magnetyzmu neutronu, Oppenheimer chłonał jego słowa, wpatrywał się w niego jasnoniebieskimi oczami i powtarzał „Tak... tak, tak... tak... tak”. A potem przerwał mu i z głowy kontynuował ideę dokładnie w tym kierunku, którego Felix od niego oczekiwał.

Od tej pory co poniedziałek odbywali wspólnie seminarium doktoranckie z mechaniki kwantowej – raz w Stanfordzie, raz w Berkeley – które nazwali The Monday Evening Journal Club. Zazwyczaj zaczynało się ono od tego, że Felix Bloch przedstawiał studentom nowy artykuł na temat fizyki kwantowej z „Physical Review” albo z „New Scientist”, dopóki Oppenheimer mu nie przerwał i nie przeanalizował jego rzeczywistej wartości poznawczej. Potem razem ze studentami szukali możliwości kontynuowania badań w tej dziedzinie za pomocą własnych eksperymentów i prac teoretycznych.

Studenci byli zachwyceni. Ich młodzi profesorowie nie odklepywali wyuczonych na pamięć pewników akademickich, tylko koncentrowali się na nierozwiązanych problemach i w ten sposób dawali im poczucie, że razem z awangardą nauk fizycznych przekraczają granice ludzkiej wiedzy. W Monday Evening Club sypały się iskry, Bloch i Oppenheimer rozdawali wspaniałomyślnie swoje idee wszystkim, którzy zdołali je przyjąć. Gdy ktoś potrzebował tematu badawczego do pracy doktorskiej, otrzymywał co poniedziałek bogaty wybór propozycji.

Dyskusje z Oppenheimerem wzbogacały także Felixa Blocha, lecz dość szybko domyślił się, że jego wirtuozeria jest zarazem przyczyną i skutkiem osobliwej słabości ducha. Oppenheimer był ciekaw wszystkiego, z miejsca pojmował każdą nową ideę i zawsze zapamiętywał wszystko, co kiedykolwiek zrozumiał. Ponieważ wszystko było dla niego łatwe, miał upodobanie do najtrudniejszych rzeczy. Kiedy miał ochotę na lirykę, to nie zajmował się

Emersonem czy Yeatsem bądź Rilke, ale francuską poezją średniowieczną. Kiedy odkrył dla siebie hinduizm, nauczył się sanskrytu, żeby móc czytać święte pisma w oryginale. A kiedy teleskopem zaglądał w głąb Wszechświata, nie poprzestawał na nazwach ciał niebieskich, lecz zabawiał się spekulacjami na temat reakcji jądrowych wewnątrz gwiazd na gruncie mechaniki kwantowej.

Do fizyki teoretycznej nie trafił z upodobania, lecz dlatego, że jako studentowi chemii brakowało mu uporczywości i staranności w laboratorium. A specjalizował się w mechanice kwantowej, ponieważ była to najbardziej abstrakcyjna i najtrudniejsza do zrozumienia teoria, jaką ludzie kiedykolwiek wymyślili.

Ale dlatego, że tak łatwo i szybko rozumiał wszystko, nad czym inni naukowcy latami musieli łamać sobie głowę, z łatwością potrafił też wymyślać dla każdej prawdy dowolnie wiele możliwych prawd. Ponieważ w każdej teorii natychmiast odkrywał słaby punkt i nigdy nie dawał ostatecznej wiary żadnej myśli, więc zawsze pozostawał nieufny także wobec własnych idei i w żadnej sprawie nie zdobywał się na ufny upór, niezbędny do osiągnięcia wielkich celów. I koniec końców naukowe myślenie nie sprawiało mu satysfakcji z powodu uzyskiwanej wiedzy, lecz jedynie jako pożywka dla jego własnej próżności.

Ponieważ nie był zdolny do głębokich uczuć, potrzebował silnych podnieć. Jego mieszkanie zostało wyłożone dywanami Nawahów z Nowego Meksyku i wypełnione posążkami bóstw indiańskich, okna miał otwarte przez zimę i lato. Kiedy gotował dla swoich studentów, przygotowywał diabelsko ostry nasi goreng, który ci czuli się zmuszeni jeść, jako że wzajemnie się obserwowali. Za kierownicą swojego chryslera urządzał wyścigi z jadącymi obok po torach pociągami, a jeśli kończyło się to złomowaniem pojazdu i obrażeniami pasażerki, tytułem rekompensaty dawał jej małego Cézanne'a z kolekcji swojego ojca.

Studenci go uwielbiali. Nazywali go Oppie i naśladowali we wszystkim. Palili bez przerwy chesterfieldy jak on i nosili kapelusze o szerokim rondzie, i nie tolerowali Czajkowskiego, ponieważ Oppie go nie znosił. Powtarzali „tak... tak, tak... tak”, gdy mówił ktoś inny niż Oppenheimer, i ogień również podawali tak jak ich mistrz, otwierając energicznym ruchem z nadgarstka zapalniczkę, kiedy ktoś wyciągał papierosa.

Po każdym seminarium Oppenheimer jeździł z wybranymi studentami do Frank's, eleganckiej restauracji rybnej w porcie w San Francisco. Tam pokazywał im, jak się poddaje dekantacji francuskie czerwone wino, otwiera ostrygi i rozbija orzechy kokosowe, a do tego aksamitnym głosem recytował Platona w języku starogreckim oraz opowiadał o dywanach Nawahów i dialektyce Kanta. A gdy przychodził rachunek, brał go zawsze na siebie.

Z początku Felix Bloch też chodził na te wieczorne przyjęcia, później coraz rzadziej, ponieważ uznał, że wie już dostatecznie dużo o dekantacji francuskiego

czerwonego wina. Odtąd spędzał wieczory samotnie. Tęsknił za Zurychem i Lipskiem, za Heisenbergiem i za rodzicami. Nie było dnia, żeby nie czytał „Neue Zürcher Zeitung” w lektorium biblioteki uniwersyteckiej.

W weekendy jeździł na wzgórza, parkował chevroleta przy Windy Hill albo przy Palo Alto Foothills Park i sam chodził wśród paproci wysokości człowieka, między tysiącletnimi, dążącymi do nieba jak gotyckie budowle mamucimi drzewami, przez bezludne wzgórza, dopóki w zasięgu wzroku nie pojawiał się Pacyfik. Wtedy wypakowywał kanapkę z serem ze starego plecaka, który przywiózł z Europy, siadał na kamieniu w towarzystwie szafirowych sójek, jaskrawo upierzonych dzięciołów i ciekawskich pasiastych wiewiórek, patrzył na morze i długo obserwował przetaczanie się fal oraz cienie przeciągających chmur.

Rozdział dziewiąty

Laura d’Oriano przybyła do południowej Francji w okresie kwitnienia migdałowców. Nad dachami Marsylii krążyły jaskółki, właściciele kawiarni wystawiali na chodnik krzesła i stoliki, przez otwarte okna kamienic czynszowych wypływał zapach płynu dezynfekcyjnego oraz świeżo upranych firanek. Rodzice byli zaskoczeni, ale nie aż tak zdziwieni, gdy córka pojawiła się w Vieux Port sama, bez rodziny, ze swoją starą walizką. Wzięli Laurę w objęcia, nie zadając zbyt wielu pytań, i oddali jej ponownie do dyspozycji pokój z czasów panieńskich, który opuściła w dniu ślubu. Zdjęła obrączkę i włożyła ją do pustej puderniczki, którą schowała głęboko po lewej stronie najwyższej szuflady swojej komody. A potem przez chwilę czuła się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżała.

Ale naturalnie tak nie było. Ledwo znalazła się sama w swoim pokoju i odpoczęła trochę, zaczęła gorzko płakać za swymi dwiema córkami, które jeszcze poprzedniego wieczora zaprowadziła do łóżka, i za Emilem Fraunholzem, z którym przez trzy lata noc w noc dzieliła łożę i który swoją męską łagodnością zawsze potrafił sprawić, że czuła się w świecie jak w domu. Potem przez resztę nocy dręczyły ją pytania, czy rzeczywiście musiała odchodzić z Bottighofen, czy miała prawo tak postąpić i czy naprawdę nie było innego wyjścia.

W końcu o świecie doszła do wniosku, że nie mogło być innego wyjścia, bo w przeciwnym razie by je przecież wybrała, i że pora znowu wziąć życie we własne ręce. Jasne, że odtąd sama będzie musiała zarabiać na swoje utrzymanie, gdyż rodzice wiedli nędzny żywot, zużywając oszczędności. Najchętniej przejęłaby z powrotem skład nut, ale po ślubie Laury rodzice sprzedali sklep jakiemuś polskiemu Żydowi, który zatrzymał się w Marsylii, bo Stany Zjednoczone przestały wystawiać wize polskim Żydom.

Laura udała się więc do działu ogłoszeń „Liberté” i dała mały anons, w którym oferowała swoje usługi jako maszynistka i zwracała uwagę na to, że w mowie i w piśmie opanowała francuski, włoski, turecki, grecki i rosyjski. Następnie obeszła nocne kawiarnie, zachwalając swoje usługi jako śpiewaczka z bogatym repertuarem.

Kiedy wracała do domu, poznała przed składem nut Polaka, który był milkliwym człowiekiem w średnim wieku, lubił pić arabską mokkę, a podczas godzin ciszy miał w zwyczaju jak Laura siedzieć przed drzwiami sklepu w popołudniowym słońcu i czekać na klientów. Laura przyniosła sobie krzesło i przysiadła się do niego, a w ciągu następnych godzin stwierdziła, że Polak zaprzyjaźnił się z tymi samymi mieszkańcami dzielnicy co ona wtedy – z uczniami

i dziwkami, handlarzami ostryg i kelnerami z sąsiedztwa. Laura paliła, piła z Polakiem mokkę i cieszyła się, że znowu jest w domu.

Czasami chodziła na spacer po porcie. Zniknęły stare spróchniałe drewniane statki z czasów przedwojennych, przy pirsie cumowały teraz nowiuteńkie, srebrzyście lśniące kolosy ze stali. Nie było także złośliwych starych marynarzy z nożami sprężynowymi i chorobami podbrzusza; przypuszczalnie poumierali lub wrócili do azylów dla starców. Na nowych stalowych statkach odbywali teraz służbę młodziutcy, puculowaci marynarze w nieskazitelnie białych mundurkach, którzy po zejściu na ląd nie włączyli się pojedynczo, tylko ciągnęli gromadnie ciasnymi uliczkami i nie mieli żadnych innych złych zamiarów niż przez cały wieczór wypić jak najwięcej i zabawić się jak najlepiej.

Co rano po wstaniu z łóżka Laura kierowała pierwsze kroki do skrzynki pocztowej w nadziei, że znajdzie propozycję pracy, lecz nigdy nic nie przyszło. Jednak w połowie drugiego tygodnia patron Chat Noir kazał ją wezwać i zaproponował jej tygodniowe występy gościnne jako śpiewająca Kozaczka.

W Chat Noir obok drzwi wejściowych znajdowała się teraz oświetlona gablota, w której wisiały fotografie występujących artystek. Ponieważ Laura nie miała odpowiedniego zdjęcia, patron wcisnął jej do ręki kostium kozacki i adres atelier fotograficznego. Kiedy się wahała, powiedział, żeby nie robiła takich ceregieli, on zapłaci fotografowi z własnej kieszeni; poza tym będzie mogła później zatrzymać zdjęcia, gdyby chciała wybrać się z nimi na tournée. I ten stary kostium, kiedy tak się nad tym zastanawia, właściwie też.

Przywdziała zatem kostium kozacki, narzuciła na niego płaszcz i poszła. W atelier było ciepło, fotograf z rutynową uprzejmością wziął od niej płaszcz. Uszmiłkował jej twarz i ułożył fryzurę, dał do ręki operetkową szablę i poprosił, żeby wsparła się na niej oburącz jak na lasce, a ponadto uśmiechała się do obiektywu. Potem miała zarzucić szablę na ramię jak karabin, odchylić głowę do tyłu i zgiąć lewe kolano, stanąć na palcach, wyprężyć pierś i wciągnąć brzuch, uśmiechnąć się, w zamyśleniu popatrzeć w niebo, trzymać długą cygarniczkę z palącym się papierosem między palcem wskazującym a środkowym, położyć się na brzuchu, podeprzeć się na łokciach i umieścić podbródek na splecionych dłoniach.

Nie można powiedzieć, że to wszystko było nieprzyjemne. W dodatku szło bardzo szybko. Fotograf pozostawał gdzieś daleko, prawie niewidzialny pod czarnym sukniem, skąd dochodził tylko jego cichy, łagodny głos, kiedy wydawał polecenia. W końcu wynurzył się spod sukna, pomógł Laurze założyć płaszcz i przytrzymał jej drzwi przy wychodzeniu, a potem znalazła się już na ulicy i ruszyła do domu.

Trzy dni później jednak się przestraszyła, kiedy zdjęcia zawisły w gablocie Chat Noir, a nad nimi napis tłustym drukiem, pseudocyrylicą: „Anuszką, słowik

z Kijowa”. Laura przyjrzała się zdjęciom. Nie rozpoznawała na nich siebie, w mundurze kozackim prezentowała się jakaś obca kobieta, a jednak dziwnie znajoma. Trwało chwilę, nim Laura stwierdziła, że z fotografii patrzy na nią własna matka. Niewinne krągłe czoło, nieświadoma kokieteria odciągniętych do tyłu ramion, nieporadny wdzięk zgiętej w tanecznym ruchu nogi – wyglądała jak własna matka na zdjęciach, które kazała zrobić przed dwudziestu laty na orientalne tournée.

Niebawem nadszedł wieczór pierwszego występu. Kozacki kostium obszyty sztucznym gronostajem leżał na Laurze jak ulał; po dwóch ciężach odzyskała dawną figurę. Trema dawała jej się we znaki bardziej niż kiedykolwiek, ale gdy barowy pianista dał jej wreszcie umówiony znak i wypadła zza kulis, zatańczyła kazaczoka i zaczęła śpiewać rosyjski romans, znowu była już niemal szczęśliwa. Publiczność szalała, a młodzi marynarze ze srebrzyście metalowych statków leżeli u jej stóp. Wszystko było jak wtedy, tylko rzecz najważniejsza – jej śpiew – nie był już taki sam.

Słuchała swojego śpiewu i stwierdzała zdziwiona, że jej głos nie brzmi już cienko i ochryple, lecz wzbiera w nim przemożna, bezgraniczna melancholia, która wydawała się jej wprost krępująca. Próbowała się temperować i zwracała uwagę na technikę oddychania, próbowała trzymać metrum i starała się dokładnie intonować, czysto artykułować wszystkie samogłoski i spółgłoski; ale choć zmuszała się do pianissimo i dążyła do zaprezentowania dobrze wykształconego żeńskiego głosu, wciąż śpiewała tylko fortissimo i mimo najszczerzych chęci myliła się przy każdym dźwięku i w każdym takcie.

Wyglądało jednak na to, że podoba się to mężczyznom wśród publiczności, a pianista walił z zadowoleniem w klawisze, jakby to był jego wieczór kawalerski i należało potłuc na szczęście trochę naczyń. Tańczyła więc dalej aż do wyczerpania i piała pieśni kozackie wśród nocy, a gdy na koniec zaśpiewała kołysankę i wybuchnęła przy tym płaczem, także marynarze płakali razem z nią i ryczeli na całe gardło *Bajuszki bajy*.

Także patron Chat Noir był zadowolony i osobiście przyniósł jej kieliszek szampana do garderoby. Mruknął, że od ostatniego razu zrobiła duże postępy, i do umówionej gaży dołożył kilka banknotów. Laura schowała je do kieszeni płaszcza i postanowiła nazajutrz z samego rana wysłać je do Bottighofen.

Po zakończeniu występu czekał na nią zaprzyjaźniony kelner, który jak dawniej ochraniał ją przed nazbyt entuzjastycznymi wielbicielami i odprowadzał do domu. Kiedy jednak dotarli pod skład nut i Laura otworzyła już drzwi budynku, pomyślała o pustym pokoju na piętrze i bezsennych godzinach, które ją tam czekały. Wtedy zamknęła drzwi z powrotem i wzięła kelnera pod rękę, przyciągnęła do siebie i powiedziała: Nie masz już innych planów, prawda? Pospacerujmy jeszcze trochę, noc jest taka piękna.

*

Arthur Evans i Emile Gilliéron stali się sławni owej wiosny tysiąc dziewięćsetnego roku dzięki pałacowi króla Minosa. Niczym długo wyczekiwane dobrodziejstwo w Berlinie, Paryżu i Londynie rozeszła się wiadomość, że w okresie kiedy starożytni Egipcjanie zaczęli używać kompasu w nawigacji, a Chińczycy wysmarkiwali nos w papierowe chusteczki, również Europejczycy nie byli już tak całkiem bez wyjątku odzianymi w skóry niedźwiedzie jaskiniowcami.

Gilliéron i Evans pracowali na okrągło przez całą dobę. W ciągu dnia byli na terenie wykopalisk, w nocy katalogowali znaleziska, rysowali i pisali artykuły do czasopism archeologicznych. Jednak po dwóch miesiącach musieli wstrzymać prace wykopaliskowe, ponieważ słońce paliło zbyt mocno i ponad stu robotników zachorowało na malarię. Drugiego czerwca tysiąc dziewięćsetnego roku Evans wyjechał do Anglii wygłaszać wykłady i szukać sponsorów następnych wykopalisk. Dzień później Emile Gilliéron wsiadł na prom do Aten, wycofał się do atelier na dachu swojej willi i zaczął sporządzać reprodukcje na rynek międzynarodowy.

Z fresku przedstawiającego walkę z bykiem zrobił suchoryt, który wysyłał na zamówienie tuzinami do gazet codziennych i fachowych czasopism. Piękności z krzeseł kempingowych wysyłał jako czterobarwny sitodruk do muzeów i zamożnych prywatnych kolekcjonerów. Pięć razy namalował w oleju zbieracza szafranów. Jeden egzemplarz podarował greckiemu królowi, jeden greckiemu muzeum państwowemu i jeden Arthurowi Evansowi, a jeden powiesił u siebie w salonie; ostatni pozostawił Emile'owi juniorowi i polecił mu wykonać dziesięć identycznych kopii.

Kiedy Gilliéron wracał na Kretę w lutym tysiąc dziewięćset pierwszego roku, wziął ze sobą pierworodnego syna i przedstawił go na promie Arthurowi Evansowi jako osobistego współpracownika. Ten nie był z początku szczególnie zachwycony młodym dandysem, który podczas wspólnego obiadu spoglądał melancholijnie na szare morze i ani razu nie włączył się do rozmowy dorosłych. Między zupą a głównym daniem Evans mimo krótkowzroczności zauważył, że chłopiec nieprzerwanie wodzi prawą dłońią obok swojego talerza po papierowym obrusie. Gdy Evans pochylił się i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć, co Emile junior tam robi, ten zmieszał się i schował ołówek, położył serwetkę obok talerza i znów zaczął patrzeć na morze. Evans poczekał więc do końca posiłku, pozostał przy stole, dopóki Gilliéronowie nie wycofali się do swojej kabiny, a kelner nie pozabierał naczyń. Wtedy wcisnął monokl w oczodół i pochylił się nad stołem, badając go aż do miejsca, w którym stał talerz Emile'a juniora. Tam zaś stwierdził, że papier usiany jest mistrzowskimi ołówkowymi miniaturami minojskich motywów przedstawiających wojowników w walce z bykiem, kapłanki z węzami

i piękności z krzeseł kempingowych, wykonanymi bez wysiłku ręką tak lekką, jakby nie były dziełem piętnastolatka, tylko jego ojca. Arthur Evans obszedł stół i usiadł na miejscu Emile'a juniora, żeby obejrzeć wszystko z najbliższej odległości. Wówczas nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Rysunki były starannie pokolorowane czerwonym winem, szpinakiem, żółtkiem, sosem pomidorowym i kawą.

Po przybyciu do Knossos przeżyli wielki szok, gdyż teren wykopalisk podczas subtropikalnych zimowych deszczów zamienił się w jedno wielkie bagno. Wykopane z takim trudem doły były zasypane, wszędzie paradowały kozy, zdeptując kopytami drogocenne, liczące tysiące lat drobne kamienie; tu i ówdzie w murach widniały luki, ponieważ zjawili się chłopcy i używając zaprzężonych wołów, powyrywali i zabrali sobie piękne bloki wapienne, które miały im służyć jako kamienie narożne w obórkach budowanych dla kóz. Alabastrowa posadzka w sali tronowej wzdęła się, tron króla Minosa i wanna księżniczki Ariadny były powalane kozim łajnem. Cenne resztki pokrywającej ruiny zaprawy odpadły na długotrwałym deszczu i ugrzęzły w błocie, a wiele murów, które przez tysiąclecia spoczywały pod osłoną ziemi, zostało wypłukanych, podmytych i się zawaliło.

Arthur Evans i Emile Gilliéron stwierdzili, że ich dziełu grozi zniszczenie. Musieli działać, zabezpieczyć pałac jak najszybciej, przykrywając go dachem. W największym pośpiechu Evans kazał wymienić zwęglone słupy podporowe z drewna sprzed czterech tysięcy lat na nowe kolumny drewniano-gipsowe, w punktach narożnych zaś na dawnych fundamentach zbudować nowoczesne filary z piaskowca, na których położono również nowoczesny płaski dach z betonu. Po załatwieniu tego wezwał ślusarza z Candii, który otoczył cały teren kratą z kutego żelaza, spotykaną zazwyczaj na Krecie wokół muźmańskich cmentarzy.

Odtąd sala tronowa była stosownie zabezpieczona przed niepogodą, zwierzętami parzystokopytnymi i wieśniakami, ale w słoneczne dni pod gołym betonowym dachem robiło się piekielnie gorąco. W dodatku pałac króla Minosa w odnowionej postaci – z muźmańską kratą, filarami z piaskowca i płaskim dachem – nie wykazywał najmniejszego podobieństwa do minojskiego zespołu pałacowego, jaki wyobrażał sobie Arthur Evans.

W czwartym roku, gdy była już odkopana większa część pałacu, żeby minimalizować skutki upału, kazał zbudować na płaskim dachu znacznie większy dach dwuspadowy z czerwonej cegły i importowanych stalowych dźwigarów. W ten sposób powstało nad salą tronową piętro, które w miesiącach, kiedy prowadzono prace wykopaliskowe, służyło za magazyn nowych znalezisk, a równocześnie za pomieszczenie prowizorycznego muzeum. Emile junior ustawił tam sobie w kącie stół do rysowania i według szkiców ojca sporządzał dla Arthura Evansa minojskie akwarele i rysunki tuszem.

Swoim kształtem dwuspadowy dach przypominał jednak raczej stóg siana

z Europy Północnej niż neolityczną rezydencję królewską nad Morzem Śródziemnym. Nietrudno sobie wyobrazić, jak Arthur Evans w letni wieczór siedzi z oboma Gilliéronami przy stole pod oliwkowym drzewem i z niezadowoleniem przygląda się budowli.

Nie mogę się tu dopatrzeć pałacu w Knossos, mówi Evans. A pan go widzi?
Stoi przed nami, odpowiada Emile Gilliéron senior.

Ale ja go nie widzę, upiera się Evans, widzę tylko ceglany dach. Nasz obiekt to kpina. Ukrywamy wszystko, co minojskie, pod widocznym z daleka dachem, który nie ma w sobie nic minojskiego. Dlaczego nie zbudowaliśmy minojskiego dachu?

Bo nie mamy pojęcia, jak wyglądały minojskie dachy, odpowiada ojciec Gilliéron. Na całym terenie nie odkopaliśmy ani jednego minojskiego dachu, nawiasem mówiąc, piętra i parteru budynku też. Jedyne fundamenty.

Bądź co bądź fundamenty są grube, zauważa Evans. Z dość dużą dozą prawdopodobieństwa możemy więc przyjąć, że pałac miał trzy albo cztery piętra.

Ale nie wiemy, jak wyglądały te piętra, oponuje Gilliéron. Że nie wspomnę o dachach. Obok sali tronowej mogły być szerokie zadaszone schody zewnętrzne, wskazują na to wspinające się stromo fundamenty. Ale to już naprawdę wszystko, nic więcej nie możemy wiedzieć.

Emile junior, który skończył tymczasem dwadzieścia lat, siedzi bez słowa obok mężczyzn i przysłuchuje się ich rozmowie. Arthur Evans dostrzega, że prawą ręką rysuje coś na papierowym obrusie.

My jednak nie jesteśmy tak zupełnie niewiedzący, protestuje Evans. Mamy wizerunki minojskich budowli. Na freskach. Na wazach. Na monetach.

A ja mam tutaj amerykański banknot jednodolarowy, mówi Gilliéron. Czy na jego podstawie muszę utrzymywać, że wszyscy Amerykanie w czasach Abrahama Lincolna mieszkali pod marmurowymi kopułami podpieranymi przez kolumny?

Ten ceglany dach nie opowiada żadnej historii, upiera się Evans. Nawet fałszywej.

Z naukowego punktu widzenia żadna historia nie jest lepsza od fałszywej.

Jak pan wie, jestem przeciwnego zdania, odpowiada Evans. Jak w przypadku fresku przedstawiającego walkę z bykiem.

Tego nie da się porównać, mówi Gilliéron. Błagować trochę przy jakimś fresku to jedno. A zupełnie co innego podjechać betoniarką i wykorzystać mury, które mają cztery tysiące lat, jako fundamenty pod nowoczesne budowle – wytwory wyobraźni.

Także architektura jest metafizyką, stwierdza Evans. Bez metafizyki wszystko jest niczym.

Nikt nie wie, czy ta rozmowa miała dokładnie taki przebieg, i brak dowodów, że Emile Gilliéron junior milczał przez cały czas. Można sobie jednak

wyobrazić, że młody człowiek dla zabicia czasu rysował coś ołówkiem od niechcienia na papierowym obrusie i że Arthur Evans późnym wieczorem, kiedy ojciec i syn wycofali się do swoich pokoi, zabrał ten papierowy obrus do siebie, żeby przestudiować rysunki przy świetle lampy naftowej. A wówczas istniałaby możliwość, że tamtego wieczora Evans po raz pierwszy ujrzał na owym papierze w całej wspaniałości pałac w Knossos taki, o jakim marzył od wielu lat: z zewnętrznymi schodami i amfiladami pokoi oraz charakterystycznymi, zwężającymi się ku dołowi kolumnami w kolorze ochry.

Jest natomiast faktem historycznym, że w następnych latach, kiedy Gilliéron senior miał jeszcze głos decydujący, a junior musiał być posłuszny, na fundamentach w Knossos nie zbudowano niczego z wyjątkiem dużych schodów zewnętrznych obok sali tronowej. Prawdą jest także, że betoniarki wjechały do Knossos zaledwie pół roku po nagłym zgonie seniora wskutek ataku serca, który jak wspomniano na wstępie, dopadł go tuż przed siedemdziesiątymi trzecimi urodzinami w jednej z ateńskich restauracji. Wreszcie prawdą jest też, że w konsekwencji prac pod kierownictwem Emile'a Gilliérona juniora zmartwychwstał pałac Minosa, jaki wymarzył sobie Evans: z wszelkimi zewnętrznymi schodami i amfiladami pokoi oraz czerwono-czarnymi, zwężającymi się ku dołowi kolumnami. Stary ceglany dach nad salą tronową zastąpiono dwiema zalanymi światłem, opierającymi się na kolumnach górnymi kondygnacjami. W części południowej wznosiła się do nieba wysoka sala, którą Evans nazywał domem celnym, w zachodniej powstał bastion ozdobiony wewnątrz przez Gilliérona juniora freskiem przedstawiającym byka. A w odległości rzutu kamieniem Evans kazał zbudować ładny wiejski dom jako mieszkanie dla siebie i swoich gości, który ochrzcił mianem Willa Ariadny.

I tak przez lata z równiny wyrastało w stali i betonie marzenie Arthura Evansa o pałacu króla Minosa, a im wyżej i bardziej kolorowo wznosiło się ku niebu, tym więcej zwiedzających napływało, żeby wyrobić sobie pogląd o kolebce kultury europejskiej.

Obecnie pałac w Knossos stanowi po Akropolu najczęściej odwiedzany zabytek archeologiczny we wschodniej części Morza Śródziemnego. Niektórzy turyści dziwią się, że freski przypominają secesję z okresu schyłkowej *belle époque*, podczas gdy sama budowla za sprawą eleganckich kształtów i soczystych kolorów mogłaby uchodzić za typowy przykład art déco z końca lat dwudziestych i początku trzydziestych. A niejeden miejscowy przewodnik wskazuje z dumą na fakt, że pałac jest najstarszą wykonaną w żelazobetonie budowlą Krety.

Na przestrzeni dziesięcioleci zęb czasu nadgryzł dzieło Arthura Evansa, ponieważ tu i ówdzie beton pęka i wychodzą na wierzch zardzewiałe stalowe dźwigary i elementy zbrojenia. Również freski Emile'a Gilliérona ucierpiały pod wpływem wilgotnego i ciepłego klimatu; w niektórych miejscach zaprawa odpadła

od ściany. Współcześni konserwatorzy muszą rozstrzygnąć dylemat w swoim naukowym sumieniu: czy ratować neolityczne fragmenty, czy dzieło Gilliérona.

*

Do Felixa Blocha na kalifornijskiej emigracji dotarły w końcu pierwsze listy z kraju. Rozpoznał europejskie koperty już na pierwszy rzut oka, kiedy znalazły się w jego skrzynce między fachowymi czasopismami i gazetami, ponieważ miały inny kolor i inny format niż koperty amerykańskie.

Co trzy lub cztery dni dostawał list od matki, która ciężko znosiła, że jej jedyne pozostałe przy życiu dziecko jest tak daleko od domu. Opisywała mu swoje spokojne zuryskie życie codzienne i taktownie unikała pytań o jego zdrowie, jakość mieszkania i odżywiania się, a pod pożegnalnymi pozdrowieniami od matki ojciec dopisywał przeważnie kilka ciepłych, choć zarazem oschłych zdań.

Jak wszyscy emigranci Felix cierpiał na uwarunkowane odległością opóźnienia w otrzymywaniu wiadomości z domu. Kiedy na przykład czytał w jakimś liście od matki, że przecięła sobie palec przy krojeniu cebuli, to chętnie by się natychmiast dowiedział, czy rana porządnie się zagoiła, gdy jednak matka w następnych listach nie wspominała słowem o palcu i Felix musiał o niego zapytać, upływał czasem i miesiąc, zanim przychodziła pożądana informacja.

Raz napisał z Lipska Heisenberg, raz Niels Bohr z Kopenhagi. Coraz częściej jednak przychodziły listy od krewnych, którzy chcieli wyemigrować do Ameryki i prosili Felixa o radę. Jego babka ze strony matki, pisząca do niego z Wiednia, chciała wiedzieć, czy można wysłać w rejs transatlantycki dwie siedemnastoletnie dziewczyny bez opieki. Wuj z Pilzna pytał, czy na kalifornijskich plantacjach produkuje się już miód na dużą skalę. Kuzyn z Erfurtu prosił o pośrednictwo w uzyskaniu posady nauczyciela języka niemieckiego w jakiejś *high school*. Listy te były przeważnie utrzymane w tonie rzeczowym i pogodnym, każdy z osobna nie dawałby powodu do zmartwień – gdyby we wszystkich nie pobrzmiwało to samo koszmarne silenie się na ironię, ciężkawy dowcip i udawanie luzu, wynikające z nagiego strachu przed śmiercią.

Im więcej dostawał takich listów, im wyżej piętrzył się ich stos na małym regale przy wezglowiu jego łóżka, tym mocniej odczuwał bijącą od nich niewypowiedzianą zgrozę. Było to uczucie przerażenia dokonany już lub zbliżającymi się dopiero zbrodniami, strach przed umundurowanymi uczniakami, którzy bezkarnie ciągnęli przez śródmieścia z żelaznymi prętami i wybijali okna wystawowe, przed tupotem ciężkich buciorów i pękającymi drzwiami mieszkań w środku nocy, przed kolbami karabinów spadającymi na głowy babek i niemowląt, przed rabunkami i maszynami do pisania, które wyrzucano przez okna; przed wyrywaniem brodami i płonącymi synagogami oraz rachunkami za benzynę, jakie wręczano rabinom po tych podpaleniach; strach przed rozbitymi

okularami i odłamkami szkła wbijającymi się w gałki oczne i przed zrozpaczonymi ludźmi, którzy truli się weronalem, wyskakiwali przez okno albo wchodzili na ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem.

Uczucie to prześladowało Felixa Blocha, kiedy zasypiał, i czekało na niego znowu rano przy śniadaniu, i dręczyło go tym bardziej, ponieważ wiedział, że sam jest bezpieczny. Na czas zajęć udawało mu się zapominać o tym przerażeniu, ale gdy w południe siedział za kierownicą swojego chevroleta sportstera i jechał wśród kalifornijskiej wiosny do Berkeley, wystawiając lewą rękę za okno i nią dyndając, ono powracało i siedziało mu znowu na karku. Najbardziej go dręczyło, kiedy jechał w weekend w góry, żeby pospacerować między mamutowcami.

Myślał wtedy o nieszczęśnikach, których za karę za zmyślane przewinienia wieszano na gałęziach, związawszy za nadgarstki na plecach w ten sposób, że z wywichniętymi rękami tracili przytomność wśród straszliwych bólów. Myślał o tych, których przywiązywano do gałęzi i wieszano głową w dół, aż mózg w czaszce dosłownie im pękał, i o wielodniowych, słyszanych z odległości wielu kilometrów krzykach ludzi przywiązanych plecami do drzewa tak, że palcami nóg ledwo dotykali ziemi. Myślał o tych, których przywiązywano do drzewa parami, tak że słabość jednego podwajała cierpienia drugiego, i o tych, którym udało się uciec przez las, dopóki w leśnym poszyciu nie dogoniły i pogryzły ich psy, po czym młodzi ludzie w mundurach, chwyciwszy uciekinierów za nogi, wlekli ich z powrotem do obozu i wrzucali do skrzyni wyłożonej wewnątrz drutem kolczastym, którą zabijali deskami i zostawiali pod prażącym słońcem i w nocnym chłodzie, a po dwóch lub trzech dniach umęczeni mogli wreszcie umrzeć.

Większość drzewostanu na Palo Alto Hills stanowił gatunek *Sequoia sempervirens*. Doszło do tego, że Felix Bloch nie mógł znieść widoku ich szorstkiej, czerwonobrunatnej kory. Nie udało mu się przemówić sobie do rozsądku, że te drzewa stoją w innym świecie niż drzewa w Dachau; im bardziej zagłębiał się w las i im dłużej był sam, tym mocniej odczuwał coś przeciwnego: że wszystko równoczesne jest terazniejsze tak samo jak przeszłe i przyszłe.

Trzymał się zatem z dala od drzew. Żeby się zrelaksować i uniknąć samotności, zostawał na weekendy w kampusie i nawet uczestniczył w popijawach kawalerów. Kiedy natomiast był sam, siadał przy biurku i próbował robić obliczenia z magnetyzmu neutronów. Nigdy jednak nie zapominał, że jego rodzicom w Zurychu, jego babce w Wiedniu i całej szeroko rozgałęzionej rodzinie grozi niebezpieczeństwo, podczas gdy on w bezpiecznej odległości ośmiu tysięcy kilometrów zajada grejpfruty i dmuchane ziarna pszenicy.

Wytrzymał tak przez półtora roku. Ale gdy latem tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku znowu zaczęły się wakacje i kampus się wyludnił, ponieważ studenci pojechali do rodziców na trzy miesiące, również Felix Bloch wybrał się po własnych śladach do domu – najpierw pociągiem do Nowego Jorku,

a potem statkiem przez Ocean Atlantycki.

Owego lata statki do Ameryki pełne były uchodźców pochodzenia żydowskiego, natomiast w przeciwnym kierunku podróżowało bardzo mało takich ludzi jak Felix Bloch. Był to czas uchwalania rasistowskich praw znanych jako ustawy norymberskie oraz tak zwanej inicjatywy zmiany frontów, za pomocą której faszyci dążyli do objęcia władzy również w Szwajcarii – a także okres, gdy gestapo porywało żydowskich uchodźców, którzy znaleźli się w Szwajcarii, z powrotem do Niemiec.

Kiedy przybył do Zurychu, panowała piękna pogoda typowa dla późnego lata. Po Limmacie krążyły młode łabędzie, po jeziorze żaglówki. Na placu Bellevue przed Operą Chłopski Związek Mieszkańców Gór urządził wystawę bydła, na horyzoncie pozdrawiała życzliwie korona szczytów Alp Glarneńskich. Felix Bloch dał się uściskać matce i poszedł z ojcem na spacer wzdłuż jeziora. W ciągu wielogodzinnych rozmów próbował przekonać oboje, że najwyższa pora uciekać z Europy i udać się z nim do Ameryki.

Poza tym powrócił do swoich zwyczajów z okresu młodości, chodził popatrzeć na mecze piłki nożnej na Letzigrund, a także popływać w jeziorze. Pod koniec września odwiedził babkę w Wiedniu i również ją próbował przekonać o konieczności natychmiastowej emigracji. Na początku października pojechał przez Antwerpię do Kopenhagi na pięćdziesiąte urodziny Nielsa Bohra. Z Lipska przyjechali Werner Heisenberg i von Weizsäcker, z Berlina Otto Hahn. Odbyła się miła uroczystość w gronie przyjaciół i fizyków, o polityce znów nie rozmawiano. Felix Bloch opowiadał o życiu codziennym w Ameryce, a w spokojnej chwili zrelacjonował Nielsowi Bohrowi postępy swoich prac w dziedzinie magnetyzmu neutronów. Ten poradził mu nie bawić się dłużej w teoretyczne rozważania, tylko wrócić do laboratorium i przejść do eksperymentów. „Kiedy chce się pracować z neutronami, potrzeba neutronów – powiedział Bohr. – Niech pan zbuduje maszynę, która będzie wytwarzać neutrony. Wtedy zobaczy pan, co można z nimi robić”.

Po urodzinach Bohra Felix Bloch wrócił do Zurychu. Zbliżał się termin powrotu do Kalifornii, gdzie czekali na niego studenci. Ponadto miał plany dotyczące neutronu. W pierwszych dniach tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku podjął ostatnią próbę przekonania rodziców, że Szwajcaria nie jest już bezpiecznym miejscem. Potem zaś nadszedł dzień, kiedy wzdłuż Limmatu udał się z walizką na dworzec główny i pojechał koleją przez Bazyleę i Brukselę do Antwerpii. A gdy jego statek przepłynął połowę drogi do Nowego Jorku, pewien żydowski student medycyny zastrzelił w Davos przywódcę NSDAP w Szwajcarii, Wilhelma Gustloff.

Rozdział dziesiąty

Kozacki numer robił furorę, marynarze ze stalowych statków napływali coraz liczniej do Chat Noir. Trzeciego wieczora Laura d’Oriano wpadła na pomysł, żeby wygłaszane po francusku zapowiedzi przyprawić rosyjskim akcentem. Czwartego wieczora po raz pierwszy wymalowała sobie na twarzy wysokie słowiańskie kości policzkowe. Taka podobała się marynarzom jeszcze bardziej.

W sobotę po południu, kiedy zbliżał się szósty i ostatni występ, patron zaproponował jej przedłużenie cyklu o tydzień. Tego samego dnia „Liberté” doniosła na dwóch szpaltach o Słowiku z Kijowa, przypisując artystce tragiczną biografię, w której ważną rolę odgrywał majątek ziemski na Ukrainie i rodzina należąca do starej szlachty, a poza tym horda krwiożerczych czerwonoarmistów i masakra w końskiej stajni, jak również wierny sługa nazwiskiem Pawłow, który zawinął małą Anuszkę w niedźwiedzie futro i zaprzężonymi w psy saniami przewiózł przez zamarzną Wołgę w kierunku zachodnim, dopóki nie znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Konsekwencja artykułu w gazecie była taka, że w drugim tygodniu napłynęło do Chat Noir jeszcze więcej gości, a patron jeszcze raz poprosił o przedłużenie kontraktu; ponadto sam z siebie podwyższył jej gażę o połowę. Laura d’Oriano przyjęła sukces ze zmarszczonym czołem, ale też tylko wzruszając ramionami; nie zastanawiała się nad tym, czy jest on zasłużony, czy nie, po prostu potrzebowała pieniędzy. Ani nad tym, co powiedzieliby o jej występie nauczyciele z paryskiej akademii muzycznej, ani nad tym, czy publiczność uwielbia ją za jej śpiew, czy za podwiązkę, czy za owiane legendą dzieje życia, nie miało to znaczenia: faktem było, że kilkudziesięciu mężczyzn co wieczór miało łzy w oczach, kiedy zaczynała śpiewać *Bajuszki baju*, i że przy ostatnich zwrotkach na scenę sypał się deszcz banknotów, które pianista usłużnie podnosił i przekazywał potem Laurze.

A co było z wielkim, bezkresnym uczuciem w piersi, któremu dawno temu pragnęła nadać wyraz? Co stało się z dziwnym szumem pochodzącym z kosmosu? No cóż, przestało ją to interesować; w jej śpiewie, czy Laura tego chciała, czy nie, dawało teraz o sobie znać zupełnie inne odczucie. Wprawdzie odczucie to może i nie było tak wielkie i znaczące jak tamto wtedy, ale za to realne. I silne. I należało tylko do niej.

Ale naturalnie nie mogła przedłużać bez końca swoich występów w Chat Noir, które ograniczyły się do trzech tygodni; ostatecznie nie można było dopuścić do tego, żeby rozniosło się wśród publiczności, że Słowik z Kijowa jest tak

naprawdę córką marsylskiego kramarza, która opuściła męża i dwie córki i mieszka przy Starym Porcie u rodziców w dawnym pokoju z dzieciństwa. Ponieważ jednak patron Chat Noir znał właścicieli paru lokali, którzy płacili za ochronę tej samej rodzinie mafijnej co on, kilka miesięcy później Laura dostała zaproszenie do Cannes. Po kolejnych kilku miesiącach miała występ gościnny w Sète, potem w Nicei, a później nawet w Barcelonie.

Poprzedzała ją fama, lokale wszędzie były pełne. Wszędzie wśród publiczności siedzieli głównie marynarze, którzy zawsze mieli łzy w oczach, kiedy Laura śpiewała *Bajuszki baju*. Laura już dawno rozumiała, że ci twardzi faceci, pełniący ciężką służbę na stalowych statkach, byli we wcześniejszym życiu synami swoich matek, braćmi swoich sióstr i wnukami swoich babek. Gdy na koniec wieczoru zapalało się główne oświetlenie pod sufitem, Laura mogła się przekonać, jak młodzi są jeszcze oni wszyscy – w większości młodszy od niej, a wielu nawet młodszy od jej braci Umberta i Vittoria, których widywała już tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Od czasu do czasu zdarzało się, że któryś z marynarzy czekał na nią przy tylnym wyjściu. Na najbardziej rezolutnych, którzy od razu zamówili taksówkę z włączonym silnikiem, nie zwracała uwagi, przy zbyt nieśmiały, którzy posyłali jej tęskne spojrzenia z ciemnych bram domów, również się nie zatrzymywała. Ale niekiedy opierał się o uliczną latarnię marynarz, który wcisnął czapkę do kieszeni spodni, skręcał papierosa i mówił jej jakiś komplement, gdy przechodziła obok. A gdy nie ruszał za nią od razu, tylko stał dalej przy latarni i czekał na jej znak, to zdarzało się, że obracała głowę i przyglądała mu się bliżej. Jeśli jej się spodobał i miał miły uśmiech i wyglansowane buty, to mogło się zdarzyć – nieczęsto, ale niekiedy, od czasu do czasu – że dawała mu znak.

Laura uwielbiała takie godziny, bo wiedziała, że marynarze o świcie muszą być z powrotem na swoich statkach i żadnemu nie przyjdzie do głowy się z nią ożenić i wprowadzić ją do Bottighofen. Nie bała się też być z nimi sam na sam, bo wiedziała, że bicie, gwałt i zabójstwo grożą wszystkim kobietom na świecie głównie w domu w kręgu własnej rodziny i że z punktu widzenia statystyki kryminalnej najbezpieczniejszy żywot pędzą te dziewczęta, które trzymają się z dala od ojca, braci i ich przyjaciół i nigdy nawet nie myślą o ślubie, lecz co wieczór wychodzą z domu i w miarę możliwości spośród obcych mężczyzn wybierają sobie kochanka na jedną noc i najpóźniej następnego dnia o poranku żegnają się z nim na zawsze.

Nawiasem mówiąc, wszyscy marynarze byli do siebie podobni, wszak ludzie nie różnią się tak bardzo między sobą. Wszyscy odnosili się do Laury trochę zuchowato, ale też trochę nieśmiało, jakby była koleżanką ze szkoły lub najlepszą przyjaciółką starszej siostry, i wszyscy byli dobrodusznymi i młodzi i pachnieli zdrowo szarym mydłem. Wprawdzie wszyscy byli trochę nieporadni i żaden nie

miał właściwej mężczyznom pewności siebie, na którą wziął ją Emil Fraunholz, a potem tylko nieliczni potrafili zapewnić jej prawdziwe ciepło przez resztę nocy, ale za to wyróżniali się czarem nowości i urokiem obcości i kiedy byli dostatecznie zręczni lub wystarczająco chętnie pozwalali sobą kierować, przeważnie oboje docierali do celu.

Tak mijały miesiące i lata. Laura d’Oriano była zadowolona z życia. Wprawdzie była wszystkim, tylko nie wielką artystką, choć kiedyś chciała nią zostać, a z powodu opuszczonych córek dręczyły ją wyrzuty sumienia, które próbowała zagłuszyć, wysyłając pieniądze do Bottighofen, ale bądź co bądź śpiewała swoją pieśń i tańczyła swój taniec, a jej zdjęcie opublikowano w gazecie i mężczyźni oglądali się za nią, podczas gdy inne kobiety w jej wieku opadały już z ciała i zaczynały chylić się ku ziemi.

Ponieważ między poszczególnymi gościnnymi występami upływało zawsze wiele miesięcy, nie starczało jej pieniędzy, więc siedziała na garnuszku rodziców, którzy wszak sami nie spali na pieniądzach; w dodatku Słowik z Kijowa wyczerpał stopniowo możliwości występów na Lazurowym Wybrzeżu i musiał pomyśleć o definitywnym powrocie na Ukrainę. Laura zastanawiała się, czy nie wyruszyć na tournée jako Svenja, Lilia z Kopenhagi albo Carmen, Róża z Sewilli, a później może jako Aisza, Królowa Trypolisu.

Tak czy owak, potrzebowała jednak regularnych dochodów. Ponieważ nie dostała odpowiedzi na swoje podanie o pracę, dała następne anonse, w których ubiegała się o zajęcie jako opiekunka do dzieci, sprzątaczką oraz kelnerką. W końcu jeden z przyjaciół kelnerów załatwił jej posadę u swojej żyjącej w staropanieństwie ciotki, która prowadził sklep kapeluszniczy dla dam i panów przy avenue du 12 Mars i szukała biegle znającej języki obce sprzedawczyni dla międzynarodowej klienteli.

Ciotka nazywała się Maria Juarez i była pełną werwy kobietą w średnim wieku, miała krótkie nogi i szerokie biodra, a czarne oczy i oliwkowobrązowa cera świadczyły niewątpliwie o jej iberyjskim pochodzeniu. W chwili gdy Laura d’Oriano przekroczyła próg jej sklepu, poczuła serdeczną wrogość do tej niebieskookiej istoty, która miała taki bezczelnie francuski wygląd i prawdopodobnie nawet nie musiała jeszcze pościć, żeby zachować, niesprawiedliwie zresztą, smukłość topoli. Ponieważ jednak ciotka od dawna szukała kogoś dokładnie takiego jak ona – reprezentacyjnego, obytego w świecie, wielojęzycznego – zatrudniła Laurę na próbę na trzy miesiące.

Od wystawy do kontuaru sklep został podzielony na dwie połowy: lewa pełna była kapeluszy męskich, prawa – damskich. Małe drzwi za ladą prowadziły do pracowni, w której trzy siwe pszczołki w trudnym do określenia wieku od rana do wieczora w milczeniu wytwarzały kapelusze, pozwalały szefowej, żeby zwracała się do nich per „ty”, i kwitowały każdy jej rozkaz, mówiąc: *Oui, madame*.

Miejsce pracy Laury znajdowało się na lewym końcu kontuaru, w miarę możliwości jak najdalej od kasy rejestrowej. Jej zadanie polegało na prowadzeniu korespondencji w językach obcych. Kiedy do sklepu wchodził francuscy klienci, miała się wdzięcznie uśmiechać i w miarę możliwości nie pchać się przed oczy: najlepiej było, gdy znikła wtedy w pracowni na zapleczu. Kiedy jednak wkraczał Amerykanin, Włozka albo Egipcjanin, to szefowa wycofywała się do pracowni i ustępowała pola Laurze.

Laura dobrze wykonywała swoją pracę, traktowała wszystkich klientów z powściągliwie dyskretną uprzejmością, jakiej nauczyła się w składzie nut. Szefowa nasłuchiwała za małymi drzwiami obcojęzycznych rozmów Laury i aprobujących pomruków i bulgotów klientów, kiedy uznawali, że znaleźli właściwy kapelus. Miała wszelkie powody do zadowolenia z nowej pracownicy; prawie żaden klient nie opuszczał sklepu, nie kupiwszy przynajmniej jednego kapelusza. Mimo to nie ufała Laurze – właśnie z powodu jej umiejętności. Dla niej, która przez całe życie właściwie nie opuszczała miasta, w którym się urodziła, i nigdy nie postawiła stopy poza terytorium Francji, to, że ktoś opanował pięć języków, było już wystarczająco podejrzane, ale jeszcze by uszło. Ale jak to możliwe, że jedna i ta sama osoba z niewątpliwie taką samą znajomością rzeczy potrafi gawędzić o kuleczkach Mozarta, londyńskiej mgle i uprawie ryżu w delcie Nilu?

W spokojnych chwilach szefowa przyglądała się Laurze w zamyśleniu i nadymała nozdrza, jakby chwyciła trop – jakby go już chwyciła i domyślała się, że tam za jej ladą siedzi nie tylko biegła w językach pomoc biurowa Laura d’Oriano, którą zatrudniła na próbę na trzy miesiące, lecz również Anuszka, Słowik z Kijowa. I Svenja. I Carmen. I Aisza.

*

W sobotę dwudziestego szóstego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku o godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć krótkie, lecz gwałtowne trzęsienie ziemi wstrząsnęło wschodnim obszarem Morza Śródziemnego. Nad terenem wykopalisk w Knossos wisiał księżyc w pełni, na zachodnim horyzoncie żarzyło się ostatnie światło dnia. W Willi Ariadny Arthur Evans leżał w łóżku i czytał książkę, Emile Gilliéron junior siedział z butelką armaniaku na werandzie. W momencie pierwszego silnego wstrząsu masywny kamienny budynek zaczął trzeszczeć i skrzypieć, a potem rozchwiał się niczym statek na pełnym morzu; trzy miesiące później Arthur Evans relacjonował na łamach londyńskiego „Timesa”, że od gwałtownych ruchów dopadła go wręcz choroba morska. W ciągu siedemdziesięciu pięciu sekund, bo tyle trwało trzęsienie, spod ziemi wydobywał się głuchy ryk pochodzący jakby od wściekłego byka, w pobliżu dał się słyszeć huk walących się dachów domów, a wśród tego piski

kobiet i płacz dzieci. Z miasta od strony katedry dobiegało swego rodzaju inwersyjne bicie w dzwony, budowla poruszała się na boki wraz z wieżami i korpusami dzwonów, natomiast serca wewnątrz zwisały nieruchomo. A gdy trzęsienie ziemi się skończyło, do nieba wzniosła się chmura kurzu i zasłoniła całą tarczę księżyca.

Resztę nocy Arthur Evans i Emile Gilliéron spędzili w ogrodzie, czekając na wstrząsy wtórne, które jednak nie nastąpiły. O świcie obeszlą cały obiekt. Nowa konstrukcja żelbetowa nad salą tronową oparła się trzęsieniu, podobnie dom celny i bastion; ale stłukło się pięćdziesiąt dużych glinianych dzbanów i pękły dwie boginie z węzami, również freski zostały poważnie uszkodzone. Bardziej wyobrażony niż odrestaurowany przez Emile'a Gilliérona seniora fresk z klejnotów, na którym jedna paryżanka spiczastymi, polakierowanymi na czerwono paznokciami chwyta za naszyjnik drugiej, rozsypał się w proch; uszkodzona była także reprodukcja *Blue Boya* zbierającego szafran.

Emile'a Gilliérona czekało zatem teraz nowe zadanie: naprawa fresków odrestaurowanych kiedyś przez jego ojca. Minęło półtora roku od czasu, gdy przekazał jego prochy Jezioru Genewskiemu w porcie w Villeneuve. Nie był już juniorem, ale głową i żywicielem dużej, kosztownej rodziny. Kiedy jego ojca zaczęły opuszczać siły, przejął po nim kolejno: profesurę na królewskiej akademii sztuki, prace na rzecz Francuskiego Instytutu Archeologicznego i artystyczne kierownictwo w Knossos. Dla greckiego Banku Narodowego stworzył serię nowych monet, na których widać patronkę miasta Atenę, datę tysiąc dziewięćset dwadzieścia sześć oraz autograf „Gilliéron fils”; oprócz tego nadal prowadził po ojcu warsztat, w którym złotnicy, garncarze i kamieniarze sporządzali na zamówienie kopie posągów, waz, złotej biżuterii i mieczy.

Ostatni krok w świat dorosłych wykonał, żeniąc się z jedną ze swoich uczennic z akademii. Nazywała się Ernesta Rossi i była córką królewskiego projektanta dorożek. Rzuciło mu się w oczy przede wszystkim to, że zawsze chciała malować tylko Akropol w oleju i nie interesowało jej nic innego, czego próbował poza tym nauczyć całą klasę – ani rysowanie aktów czerwoną kredką, ani portrety węglem, ani malowanie martwej natury farbami wodnymi. Po ślubie rozstawiła swoje sztalugi na tarasie dachowym domu Gilliérona i nadal malowała Akropol w oleju – Akropol o wschodzie i o zachodzie słońca, Akropol w nocy i w południowym skwarze, Akropol pod śniegiem i Akropol w ulewnym deszczu – a Emile Gilliéron godził się na to, wiedząc, że samoograniczanie się jest wprawdzie dla każdego artysty największą klęską, ale i równocześnie najważniejszą cnotą.

Po trzęsieniu ziemi w Knossos Emile Gilliéron dokonał nieprzyjemnej konstatacji, że na umiejętności, za które przez długi czas wychwalano pod niebiosa i hojnie wynagradzano jego samego i jego ojca, panuje coraz mniejszy popyt. Śmiała rekonstrukcja, odważna dekoracja aż po swobodną imaginację – nie liczyły

się już dla nowego pokolenia archeologów, którzy na uniwersytetach w Londynie, Paryżu i Berlinie otrzymali raczej wykształcenie przyrodnicze niż artystyczne lub skończyli filologię klasyczną. Ci młodzi zbieracze faktów pracowali bez polotu, metodycznie i empirycznie, a genialne pomysły Schliemanna i fantazje Evansa były dla nich podejrzanę; także do paryżanek Gilliérona na krzeselkach kempingowych i w tenisówkach odnosili się nadzwyczaj krytycznie.

Emile Gilliéron przyjmował to do wiadomości, wruszając ramionami: jeśli klient sobie życzył, potrafił sprostać największej naukowej dokładności. Pozałowania godne było jedynie to, że za tę ciężką metodyczną harówkę płacono znacznie mniej, ponieważ do jej wykonywania nie trzeba było żadnego geniuszu ani nawet talentu, lecz jedynie odrobinę pilności i sumiennosci.

Gdy jednak Gilliéron zabrał się do odnowienia fresku *Blue Boy* według najnowszego stanu badań – a mianowicie nie jako chłopca zbierającego szafran, lecz w postaci niebieskiej małpy na polu kwiatów – jego nowa wersja spotkała się ze zgodnym odrzuceniem nie tylko ze strony Arthura Evansa, ale również całej ekipy wykopaliskowej i wszystkich turystów. *Blue Boy* był już zbyt sławny, żeby dało się go usunąć, tak głęboko zakorzenił się w zbiorowej wyobraźni ludzkości jako obowiązująca ikona kultury minojskiej, że wizerunek niebieskiej małpy postrzegano zawsze wyłącznie jako falsyfikat.

Konsekwencją nowej tendencji do autentyczności był coraz większy regres w replikowych interesach Gilliérona. Skończyły się zlecenia dla warsztatu, bo wielkimi światowymi muzeami kierowali teraz ludzie z wykształceniem akademickim, którzy nie czuli się już zobowiązani do barwnie romantycznego marzycielstwa, tylko do fragmentarycznie poprawnej naukowości. Pod koniec lat dwudziestych British Museum i Luwr wstrzymały zamówienia kopii dzieł minojskich, a Metropolitan Museum of Fine Arts w Nowym Jorku, które przez ćwierć wieku należało do najwierniejszych klientów, złożyło po raz ostatni zamówienie w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku. Kopie Gilliérona wyszły z mody, kuratorzy muzeów usuwali je wstydliwie z gablot wystawowych i umieszczali w piwnicznych magazynach, z których miały się już nigdy nie wynurzyć.

Warsztat Emile'a Gilliérona produkował jednak nadal, kamieniarze, złotnicy i garncarze mieli co robić. Od czasu do czasu pojawiały się zarzuty, że Gilliéron oprócz kopii wytwarza także falsyfikaty. Nikt jednak nie mógł tego dowieść, bo Emile prowadził swój interes całkowicie jawnie, a jego kopie można by określić jako falsyfikaty tylko wtedy, gdyby twierdził, że to oryginały.

Tak jednak nie robił. Dopóki przedmioty znajdowały się w warsztacie Gilliérona, uchodziły oczywiście za kopie i nikomu nie przysłoby do głowy uważać ich za oryginały. Kiedy jednak zostały już sprzedane i wyszły w szeroki świat, i kiedy gdzieś na splątanych ścieżkach międzynarodowego handlu antykami

jakiś pośrednik zapomniał napomknąć, że w przypadku wystawionego na sprzedaż obiektu nie chodzi o znalezisko sprzed tysięcy lat, lecz o jego wierną kopię – kiedy coś takiego zdarzało się w Paryżu lub Nowym Jorku, lub gdzie indziej tysiące kilometrów od Knossos, to leżało to poza strefą wpływów Gilliérona i trudno go było obwiniać o ten stan rzeczy.

Mimo to od czasu do czasu dochodziło do policyjnych przeszukań w obecności ekspertów. Z ich opisów wiadomo, że warsztat stanowił fantastyczne zbiorowisko prehistorycznych znalezisk we wszelkich stadiach wykonania i procesu postarzania. Pomalowane gliniane dzbany leżały obok nieobrobionych skorup, zwoje srebrnego drutu obok gotowych złotych ozdób, mydelniczki pełne grawerowanych i nieobrobionych kamieni półszlachetnych obok niewypalonych brył gliny i świeżo wykutych grotów lanc, podwójnych toporów i sztyletów bojowych.

Przez wiele lat wyjątkowo opłacalną gałęzią produkcji było wytwarzanie dziesięcio- do trzydziestocentymetrowych figurek kobiecych, które w każdej ręce trzymały węża i wypinały w stronę obserwatora obnażone piersi; te tak zwane wężowe boginie lub kapłanki uchodziły w oczach kuratorów muzeów i prywatnych kolekcjonerów za szczególnie reprezentatywne symbole społeczeństwa minojskiego, które Arthur Evans zawsze wyobrażał sobie jako matriarchalne. Pierwsze wężowe boginie, znalezione na początku wykopalisk w Knossos w tysiąc dziewięćset trzecim roku, były jeszcze skromnymi figurkami z terakoty lub alabastru, ale w trakcie wojny światowej z niejasnych źródeł zaczęły się pojawiać coraz cenniejsze posążki z kości słoniowej i złota, za które muzea mimo ich niewyjaśnionego pochodzenia płaciły wysokie sumy przez prawie dwadzieścia lat.

W warsztacie Gilliérona były wężowe boginie na wszelkich etapach wykonania, od kawałka surowej kości słoniowej po boginię sztucznie postarzaną i gotową do wysyłki. Ponieważ tak chciał nowy gust publiczności, świeżo wyrzeźbionym i ozdobionym złotem figurkom nadawano patynę minionych tysiącleci za pomocą kąpieli kwasowej, w której rozpuszczały się miękkie elementy kości słoniowej, jakby wężowe boginie leżały w kwaśnej ziemi od czasów prehistorycznych: różnicy między taką kością słoniową a autentycznie postarzaną nie potrafił stwierdzić nawet Arthur Evans. Prostsza i tańsza metoda polegała na zakopywaniu wężowych bogiń w ogrodzie w określonym miejscu i oddawaniu tamże moczu przez wszystkich domowników aż do odwołania.

W ostatnim kroku roboczym kończono proces sztucznego postarzania, uszkadzając nieznacznie zbyt idealne wężowe boginie za pomocą dobrze wymierzonych uderzeń młotkiem. Przeważnie odłupywano ramię lub druzgotano łydkę. Uderzeń w głowę starano się natomiast unikać, ponieważ wężowe boginie bez głowy lub ze zniszczoną twarzą osiągały kiepskie ceny. Kiedy jednak pojawiała się na rynku figurka ze zniszczoną twarzą, uchodziło to wśród

fachowców za pewny dowód jej autentyczności, ponieważ takie obniżające wartość uszkodzenie raczej nie mogło być dziełem fałszerza.

Przez dwadzieścia lat pałac króla Minosa był obiektem tęsknot archeologicznej opinii światowej. Arthur Evans otrzymał tytuł szlachecki od królowej Wiktorii, a Emile Gilliéron zarobił na swoich ilustracjach i kopiach więcej pieniędzy niż jakikolwiek rysownik sztuki starożytnej przed nim. Kiedy małżonki brytyjskich milionerów, niemieccy stalowi baronowie lub amerykańscy aktorzy filmowi wybierali się na rejs po Morzu Śródziemnym, wizyta w Knossos była obowiązkowym punktem programu. Evans oprowadzał wówczas turystów po pałacu i gościł na tarasie Willi Ariadny, a gdy na koniec długiego, ciepłego dnia nad obiektem zapadał zmierzch, niejednemu wydawało się, że wkrótce po okazałych zewnętrznych schodach musi zejść wężowa bogini w koronie z piór lub osobiście król Minos. Wyobrazenie to było tak kuszące, że amerykańska tancerka Isadora Duncan podczas takiej wizyty nie potrafiła się opanować i na zewnętrznych schodach między kolumnami w kolorze ochry w powiewających szatach wykonała spontanicznie bosą minojsko-mykeński taniec świątynny.

Wszystko to skończyło się niespodziewanie, kiedy czwartego listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku brytyjski archeolog Howard Carter tysiąc kilometrów na południe od Knossos w Dolinie Królów odkrył grób Tutenchamona. Jachty milionerów przestały nagle pływać na Krete, tylko pływały do Egiptu. Wszyscy chcieli teraz oglądać złotą maskę pośmiertną i oczy w lazurytowej otoczce, sarkofag z czystego złota i liczne pozłacane skrzynie, złoty tron oraz dwa posągi strażników. W muzeach, w gazetach i na uczelniach całego świata wybuchła egiptomania, która miała trwać wiele lat. A pałac króla Minosa już całkiem popadł w zapomnienie, gdy w Mezopotamii inny Brytyjczyk Leonard Woolley odkrył biblijne miasto Ur, które było jeszcze o tysiąc lat starsze od Knossos i gustownie usiane glinianymi tabliczkami z pismem klinowym, na których można było ewidentnie przeczytać, że już sumeryjskie dzieci musiały robić w szkole zadania rachunkowe z pierwiastkiem kwadratowym i sześciennym.

Ta degradacja przyprawiała Arthura Evansa o ból głowy – jego, który przez całe życie marzył o odnalezieniu kiedyś w Knossos grobu króla Minosa i być może jego biblioteki. Szukał ich przez długie lata, zataczając coraz szersze kręgi wokół Knossos; w drewnianym siodle na grzbiecie osła przemierzył całą górzystą wyspę wzdłuż i wszerz, w górę i w dół w poszukiwaniu królewskiego grobu aż po plażę na południu i z powrotem, wszedł do niezliczonych jaskiń i odwiedził każdą, nawet najmniejszą wysepkę wysuniętą poza strome skaliste wybrzeże.

Po wielkim trzęsieniu ziemi w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku jego wyjazdy stały się rzadkie, dawał mu się we znaki ciężar lat. Coraz rzadziej brał na siebie trudy morskiej podróży z Anglii na Krete, coraz częściej spędzał całe lata w Oxfordshire w swojej wiejskiej posiadłości Youlbury. Jednak w marcu

tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku, kiedy tuż przed swoimi osiemdziesiątymi urodzinami zawitał znowu na wyspę, żeby rozejrzeć się po Knossos, Nikolaos Polakis, kapłan z Forteby, zaproponował mu sprzedaż wielkiego sygnetu z masywnego złota, który wiejski wyrostek o nazwisku Michalis Papadakis znalazł rzekomo podczas zabawy w winnicy. W jednej wersji historii lśniący pierścień tkwił w ziemi, w innej wisiał na gałązce młodej rośliny, która dopiero co wystrzeliła z ziemi.

Na sygnecie wygrawerowana była wyprostowana po królewsku postać w łodzi, która miała kształt konika morskiego i pomiędzy dwoma murami kierowała się w stronę gaju oliwnego lub winnicy ze stojącym na szczycie, podpartym kolumnami budynkiem przypominającym małą świątynię lub grobowiec. Jak wynika z relacji Evansa, od pierwszego spojrzenia był przekonany o autentyczności sygnetu, bo znał wygrawerowane motywy z fresków w Knossos, poza tym ciężar złota wynoszący dwadzieścia siedem gramów kazał przypuszczać, że nosząca go osoba musiała być krwi królewskiej. Zakup nie doszedł do skutku, ponieważ kapłan zażądał dwudziestu milionów drachm, a mimo to dokładnie i za darmo opisał Evansowi miejsce znaleziska.

Na początku kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku Evans z małą ekipą wykopaliskową udał się na podane miejsce w małej winnicy trzy kilometry na południe od Knossos. We wskazanym miejscu znalazł mały grecki cmentarz, a pod nim dużą, ewidentnie minojską budowlę, która po kilku dniach prac wykopaliskowych okazała się wspartą na kolumnach świątynią z wybrukowanym dziedzińcem od frontu i położonym pod spodem grobowcem o czerwonych ścianach i pomalowanych na niebiesko sufitach.

Arthur Evans nie posiadał się z zachwyty. Ten grobowiec był większy od wszystkich innych grobów, jakie widział kiedykolwiek na Krecie. Wprawdzie krypta okazała się pozbawiona ozdób i pusta, nie zachwiało to jednak jego pewnością siebie, tylko umocniło go w przekonaniu, że istotnie ma przed sobą grobowiec króla Minosa. Minos bowiem, jak wiadomo, podczas pościgu za zbiegłym Dedalem pożeglował na Sycylię i tam został zabity i pochowany, z którego to powodu jego zwłoki nie mogły się znajdować na Krecie. Pusta krypta była więc dowodem lub przynajmniej poszlaką wskazującą na to, że ten grobowiec rzeczywiście zbudowano dla króla Minosa.

Złoty sygnet, który naprowadził Evansa na ślad królewskiego grobu, znany odtąd w archeologii jako pierścień króla Minosa, został kupiony przez muzeum miejskie w Candii, lecz później stwierdzono, że to falsyfikat, i oddano go kapłanowi, który podobno zostawił go pod opieką żony, a ona podobno gdzieś go zakopała, ale potem niestety nie mogła sobie przypomnieć miejsca – wszystko to zdarzyło się jednak dopiero po tym, jak Emile Gilliéron zdażył narysować i sfotografować pierścień, i w swoim warsztacie sporządził dla Evansa kopię, która

musiała być niemal identyczna z zagubionym oryginalnym falsyfikatem.

Potem wokół pierścienia króla Minosa na długo zapadła cisza, dopiero osiemdziesiąt lat później do muzeum archeologicznego w Heraklionie zwrócił się wnuk kapłana Polakisa i oznajmił, że pierścień pojawił się znowu. Dyrektor muzeum nabył go za nieznaną sumę. Od dwa tysiące drugiego roku przedmiot jest prezentowany w ramach wystawy stałej w eksponowanym miejscu.

*

Po powrocie do Kalifornii Felix Bloch w ciągu zaledwie kilku dni sformułował na piśmie swoją teorię magnetyzmu neutronów. Ta idea długo w nim dojrzewała, teraz się przed nim otwarła. Walki, wątpliwości i decyzje ostatnich lat znalazły się nagle daleko w tyle, jakby ktoś inny się z nimi uporał. Jego artykuł wzbudził sensację, kiedy w lipcu tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku ukazał się w „Physical Review”, Bohr i Heisenberg przysłali mu listy z gratulacjami. Ale dla samego Felixa magnetyzm neutronów przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie; wręcz dziwiło go, że mógł tak długo łamać sobie nad tym głowę. Teraz, po przelaniu na papier, idea wydawała mu się banalna i mało ważna, także dlatego, że pewnie nikt jej nie zrozumie oprócz paru dziwaków takich jak on.

W ogóle fizyka atomowa, którą kiedyś kochał, zubożyła mu z powodu braku sensu i celu. Uważał, że wobec grożącej światu katastrofy marnowanie czasu na pełne samozadowolenia introspekcje to próżność i wręcz nieprzyzwoitość. Kiedy leżał w nocy i nie mógł zasnąć w swoim kawalerskim bungalowie, a z Foothills dobiegało wycie kojotów, czuł się obcy i bezużyteczny, ponieważ nie zrobił nic sensownego z danego mu życia, nie miał przyjaciela i nie mógł wesprzeć swoich najbliższych w domu. Podróż do Europy posłużyła tylko jego własnemu dobremu samopoczuciu, ludziom w potrzebie nie pomógł. Wstydził się za miesiące, które spędził w swoim zuryskim łóżku z dzieciństwa i przy kuchennym stole matki, wstydził się za ostatnie dziesięć lat życia, które zmarnował bez pożytku dla ogółu.

Ponieważ jednak podpisał umowę o pracę z uniwersytetem i potrzebował pieniędzy na jedzenie, czynsz i benzynę, wstawał co rano, brał prysznic, golił się i szedł do sali wykładowej instytutu fizyki, żeby swoim jasnowłosym, napakowanym niewiniątkom opowiedzieć coś o liniach spektralnych albo o układzie okresowym pierwiastków. Był dobrym nauczycielem, lubianym przez studentów, bo życzliwie brał ich za rękę i przeprowadzał bezpiecznie przez ocean ich niewiedzy od jednej kry do następnej.

Sam nie był już jednak ciekawy. Nie chciał się już dowiedzieć, czy elektrony wykonują skok w dal, czy wzwyż, czy jeszcze coś innego pięknego, a niezdecydowanie teorii kwantowej, która próbowała pogodzić wszystkich, uważał wyłącznie za kokieterię. Przestał jeździć do Berkeley na seminaria

z Oppenheimerem, czasopisma fachowe czytał jedynie sporadycznie.

Dlatego miał dużo wolnego czasu i za mało zajęcia dla swojego umysłu. Mógł zacząć pić, lecz alkohol nie zatrzymywał jałowego biegu jego myśli, ale go tylko przyśpieszał; w dodatku nie smakowało mu cienkie amerykańskie piwo, które, ponieważ był wyrośniętym i mocno zbudowanym mężczyzną, musiałyby konsumować w nieapetycznie dużych ilościach, by poczuć jakiś efekt.

W pewną kwietniową sobotę tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku pojechał więc z rana do San Francisco, w Cole Hardware Store kupił zestaw kluczy płaskich najlepszej jakości i od tej pory poświęcał wolny czas na doprowadzanie do porządku swojego chevroleta sportstera. Zdjął zderzaki i w laboratorium instytutu chemii wsadził je do kąpieli chromowej. Wyszlifował poplamione rdzą błotniki i pomalował je na nowo lakierem w kolorze czerwonym jak wozy strażackie. Czarny dach kabiny kierowcy pomalował na białą, żeby absorbował mniej światła słonecznego. Wymienił tapicerkę w wysiedzianych fotelach, po czym wyszlifował i polakierował drewniane szprychy w kołach. Zdjął głowice cylindrów i w trakcie trzydniowej precyzyjnej roboty z cienkiej płyty korkowej wyciął nowe uszczelki głowicy cylindrów, mimo że za niewielkie pieniądze mógł je zamówić w Detroit. Potem posmarował wszystkie łożyska i wymienił paski klinowe, rozwiercił zawór dolotowy i przez kilka dni regulował rozdzielacz zapłonu, a na koniec skrócił rurę wydechową, wydłużył ją z powrotem, po czym skrócił ponownie.

Kiedy uporał się ze wszystkim, chevrolet wyglądał jak nowy, a silnik był wydajniejszy niż w dniu, w którym wyjechał z zakładów w Detroit. Felix Bloch słuchał warkotu silnika i cieszył się pięknem będącym nieodłącznym elementem dobrze działającej maszyny, a przy tym ku jego zdumieniu najbardziej podobały mu się nie kompleksowe elektryczne komponenty, jak prądnica samochodowa, rozdzielacz zapłonu czy przerywacz, tylko proste części mechaniczne, jak wycieraczki poruszające się leniwie ruchem wahadłowym, śliczne małe bakelitowe przełączniki wychylne kierunkowskazów na desce rozdzielczej i wał korbowy, który tak elegancko przenosił na tylną oś moment obrotowy silnika.

Praca manualna dobrze mu zrobiła, ale przy najlepszej woli następne prace konserwacyjne przy jego pojeździe nie będą potrzebne w dającej się przewidzieć przyszłości. Rozejrzał się więc za jakimś innym rzemieślniczym zajęciem i wpadł na pomysł, żeby w laboratorium instytutu fizyki zbudować maszynę do wytwarzania wolnych neutronów, niezwiązanych z jądrem atomowym. Kusiło go, żeby pracą własnych rąk stworzyć coś, czego nie ma w przyrodzie, i nadal miał w uszach radę Nielsa Bohra, że aby pracować z neutronami, potrzeba neutronów. A więc je wytworzy. Wtedy się okaże, co można z nimi począć.

W laboratoryjnych szafach z przyrządami znalazł różne naukowe zabawki, jak rura Crookesa czy pompa wodna Leonarda, poza tym również parę szpul drutu miedzianego i transformatory, rozmaite szklane naczynia do termodynamiki oraz

pompe próżniową i kilka pryzmatów, a przede wszystkim lampę rentgenowską, którą można było zasilać prądem pod maksymalnym napięciem dwustu tysięcy voltów. Dwieście tysięcy voltów to niemało, z czymś takim dało się już coś zrobić. Najpierw wyprodukuje ciężką wodę, żeby zahamować neutrony, i za pomocą lampy rentgenowskiej da się może wytworzyć w miarę trwały strumień. Pomysł Felixa Blocha zasadzał się na polaryzacji strumienia neutronów, który zamierzał przeprowadzić obok dwóch silnych elektromagnesów, żeby móc w ten sposób udowodnić magnetyczny ładunek neutronów, a może nawet go zmierzyć.

Ze świeżym zapalem zabrał się do pracy. Wielką pociechą była dla niego perspektywa, że po długim czasie zdoła pogodzić powziętą przez siebie myśl ze światem rzeczywistym. Dzień i noc lutował i przykręcał śruby jak wtedy w Zurychu, gdy budował spektrograf w piwnicach ETH. A potem przyszła chwila, kiedy na próbę umieścił wewnątrz lampy rentgenowskiej źródło promieniowania, mieszankę kilku miligramów radu i berylu.

O swojej maszynie Felix Bloch mówił potem, że była raczej źródłem inspiracji niż neutronów. Od czasu do czasu przy odrobinie dobrej woli udawało mu się wychwycić na kilka sekund jeden czy drugi wolny neutron, zanim ten został przyciągnięty przez jądro atomowe; produkcja była jednak zbyt mała, nigdy nie powstał jako tako trwały strumień neutronów. Poza tym Felix nie miał nawet lampy rentgenowskiej wyłącznie do własnej dyspozycji, co parę dni bowiem musiał ją pożyczać medykom, którzy prześwietlali nią martwe owce lub własne ręce.

Nie ulegało wątpliwości, że Felix Bloch potrzebuje większej maszyny – o wiele większej. W laboratorium jego przyjaciela Roberta Oppenheimera stała wprawdzie wyraźnie większa maszyna, której nadano nazwę cyklotron i która uchodziła za największy akcelerator cząstek na świecie; ale również ona produkowała neutrony bardzo nieregularnie i nietrwale i również ją trzeba było pożyczać co parę dni studentom medycyny.

Felix Bloch usiadł więc przy biurku, narysował pierwszy szkic własnego cyklotronu i powążył się na pierwsze oszacowanie kosztów materiałowych. Następnie sięgnął po słuchawkę i zaczął zbierać pieniądze. Dziekan przekazał mu, że uniwersytet nie ma wolnych środków na jego przypuszczalnie raczej daleki od praktyki eksperyment, ale obserwują z zainteresowaniem jego działalność i życzą mu powodzenia. Fundacja Rockefellera dała cztery tysiące, a Rotary Club z San Francisco tysiąc dolarów, miejscowa wielka piekarnia, która miała nadzieję, że będzie zaopatrywać uniwersytet w chleb, dołożyła pięćset dolarów.

Potem jednak niespodziewanie nadszedł dzień, który położył kres wszelkim dziecinadom i miał zmienić wszystko raz na zawsze – nie tylko w życiu Felixa Blocha, ale także w przyszłości rodzaju ludzkiego i wszelkich istot żywych na ziemi.

Owym dniem był dwudziesty szósty stycznia tysiąc dziewięćset

trzydziestego dziewiątego roku.

Felix Bloch siedział w Pietro's Barber Shop przy Hamilton Avenue, w radiu nadawano południowe wiadomości. Należał do stałych klientów Pietra, bo ten przystojny, milczący Włoch, który dobrze opanował swoje rzemiosło, z zamiłowania budował także małe aparaty elektryczne. Kiedy wchodziło się po dwóch stopniach do jego salonu i stanęło na wycieracze, drzwi otwierały się automatycznie, a kiedy usiadło się na fryzjerskim fotelu, Pietro, naciskając guzik, regulował wysokość siedziska za pomocą elektrycznego silnika. Do spienienia mydła używał skonstruowanego przez siebie mieszadełka, a do ostrzenia brzytwy małej maszynki z kamieniami obracającymi się w przeciwnych kierunkach. Pietro w ogóle nie cenił nowo wprowadzonych na rynek maszynek do golenia na sucho firmy Remington, bo przetestował taką na sobie i doszedł do proroczego przekonania, że za pomocą takich narzędzi porządne golenie nie będzie możliwe i za sto lat.

Kiedy zaś przystępował do strzyżenia włosów na głowie, to stawiał w zupełności na napędzane elektrycznie noże obrotowe, których groźnego widoku w miarę możliwości oszczędzał klientom. Przy skracaniu włosów na czubku głowy stosował odmienną maszynkę niż przy ścinaniu włosów na skroniach, do usuwania ich z nosa i uszu inną, a przy strzyżeniu w kancik na karku jeszcze inną, gdy natomiast usuwał ścięte włosy spod kołnierza, używał do tego celu małego odkurzacza ze skonstruowaną przez siebie nasadką dyszy wyściełaną aksamitem.

Na koniec Pietro brał acqua di parma i masował klientom skronie zawsze wyłącznie ręcznie. Felix Bloch zamknął oczy i słuchał wiadomości. Spiker w radiu czytał, że Sąd Najwyższy Stanu Kalifornia skazał na śmierć za morderstwo wiejskiego parobka Clauda Davida. Wojska generała Franco wkroczyły do Barcelony. Pod sufitem brzęczał wentylator, w kącie automat z coca-colą. Spiker przeszedł do prognozy pogody. Północną Kalifornię czekał pochmurny i chłodny weekend. Nagle głos spikera się ożywił, właśnie nadeszła ważna wiadomość. Dał się słyszeć szelest papieru. Niemieckiemu chemikowi z Berlina Ottonowi Hahnowi udało się rozbić jądro atomu uranu przez ostrzeliwanie go neutronami, co do tej pory uchodziło w fizyce za niemożliwe. Wiadomość tę przekazał duński noblista Niels Bohr podczas przemówienia inauguracyjnego piątą waszyngtońską konferencję poświęconą fizyce teoretycznej. W trakcie rozbicia jądra uranu powstał pierwiastek bar i została uwolniona niesamowita energia rzędu dwustu milionów elektronowoltów.

Felix Bloch od razu wiedział, co to oznacza. Zerwał ręcznik z szyi i wypadł z salonu, podbiegł do chevroleta i przekraczając dozwoloną prędkość, pojechał do Berkeley. Zaparkował przed zewnętrznymi schodami przypominającej pałac LeConte Hall i wbiegł na trzecie piętro do biura Oppenheimera, któremu jeszcze zdyszany zreferował, co usłyszał w radiu. Można sobie wyobrazić, że Oppenheimer

siedzący na kancie biurka powtórzył swoje „Tak... tak, tak... tak” i przy pierwszej okazji wpadł Felixowi w słowo.

Jakie produkty rozpadu znalazł Hahn? – spytał Oppenheimer.

Bar.

I nic poza tym?

Tak powiedzieli w radiu, ale to naturalnie niemożliwe. Uran 92 minus bar 56 daje 36, a więc krypton. Jeśli Hahn znalazł bar, to musiał też znaleźć krypton.

A wolne neutrony? Oppenheimer odpalił od żarzącego się jeszcze papierosa następnego chesterfielda.

O neutronach nie było mowy.

Dopóki nie są uwalniane neutrony, wszystko jest w połowie tak chaotyczne.

Obawiam się, że jakieś są uwalniane.

Jeden neutron na jedno rozszczepienie jądra atomowego oznacza maszynę uranową, rzekł Oppenheimer. Nieograniczona energia dla całej ludzkości do końca świata.

Ale dwa neutrony oznaczają bombę, odparł Bloch. Co teraz zrobimy?

Oppenheimer wzruszył ramionami. Jeśli bomba jest możliwa, ktoś ją zbuduje.

Prawdopodobnie.

Z całą pewnością.

Pytanie tylko kto.

Ktoś, kto to potrafi, powiedział Oppenheimer. Aż tylu takich nie ma. My albo tamci, prawda?

Felix Bloch pokiwał głową.

Gdzie właściwie jest teraz Hahn?

Nadal w Berlinie.

A pański przyjaciel Heisenberg?

Nadal w Lipsku.

A von Weizsäcker?

Nadal w Berlinie.

Rozdział jedenasty

Ostatnią podróż do Knossos Emile Gilliéron podjął w wieku pięćdziesięciu lat, kiedy Arthur Evans został mianowany honorowym obywatelem Heraklionu. Dziesięć tysięcy ludzi stało po obu stronach szosy piętnastego czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, a uroczysty orszak ciągnął z portu pod górę, do pałacu króla Minosa. Wiceminister kultury przybył specjalnie z Aten, żeby na wielkim placu przed terenem wykopalisk uczcić zasługi Evansa i wyrazić wdzięczność Grecji za dzieło jego życia. Po nim przemówienia wygłosili także ambasador Zjednoczonego Królestwa oraz burmistrz Heraklionu. A kiedy słońce stanęło w zenicie, prawosławny biskup Kreta odprawił uroczystą mszę.

Następnie Arthurowi Evansowi przypadło w udziale odsłonięcie spiżowego pomnika samego siebie wraz z marmurowym postumentem i tablicą pamiątkową. Kiedy ucichły brawa, podszedł do mównicy. Mówił jak zawsze z ciężkim angielskim akcentem mieszaniną staro- i nowogreckiego, którą Grecy rozumieli z trudem, a cudzoziemcy nie rozumieli jej wcale. Ze wszystkich obecnych tylko Emile Gilliéron śledził jego słowa z łatwością, bo od trzydziestu lat miał w uszach tę chińszczyznę.

Najpierw Arthur Evans opowiedział o czasach, kiedy Knossos nie było jeszcze królewskim pałacem, lecz gajem oliwnym. Potem szerokim gestem zademonstrował dzieło swojego życia i zawołał, że pałac jest wprawdzie tylko ruiną ruiny, lecz po wszystkie czasy będą go ożywiać duch organizatorski króla Minosa i wolność artystyczna Dedala.

Emile Gilliéron śledził zasmucony z drugiego rzędu, jak jego długoletni chlebowdawca dzielnie zachowuje wyprostowaną postawę pomimo ciężaru osiemdziesięciu sześciu lat i niewzruszenie przedstawia swoją wizję minojskiego królestwa. Nic z tego nie było nowe dla Gilliérona, wszystko słyszał tysiąc razy – mowę o pokojowej potędze morskiej, sen o znającym już pismo matriarchacie, legendę o nagłym upadku po trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanów. Z całego serca popierał przyznanie staremu człowiekowi tego zaszczytu, żałując tylko, że jak większość zaszczytów tak i ten przyszedł dwadzieścia albo trzydzieści lat za późno.

Gdyby jubilat miał dopiero pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat, może by jeszcze odstąpił od swoich przestarzałych wizji i potrafił nawiązać dialog ze swoimi następcami w szeregach naukowców. Ale teraz trwał bezpowrotnie w starczym uporze i stanowił jedynie oczekiwany kłopot dla młodych archeologów, którzy przybyli wszak z mocnym postanowieniem oddania hołdu

słynnemu staremu człowiekowi. Patrzyli z zakłopotaniem na czubki swoich butów, podczas gdy Evans rozwodził się nad duchem króla Minosa, a kiedy skończył, szczerząc zęby, trącali się w bok, patrzyli z ukosa na pałac i szeptali między sobą, że pod taką ilością żelbetu i farby olejnej przeżyje co najwyżej duch Arthura Evansa.

Mimo to oklaski były długie i szczerze. Po uroczystej ceremonii zaproszeni goście udali się na bankiet na tarasie Willi Ariadny, a późnym popołudniem wrócili do portu, gdzie czekał parowiec do Aten. Pożegnanie było serdeczne, lecz obłudne; pomimo całej czci dla Arthura Evansa, który poświęcił Knossos całe swoje życie i cały swój prywatny majątek, wspólnota archeologiczna Krety była jednak zadowolona, pozbywając się raz na zawsze starego człowieka, który stał tylko swoim następcą na drodze i zasłaniał im słońce. Kiedy więc pasażerowie weszli na pokład, a marynarze odwiązali cumy, Emile Gilliéron wiedział, że upłynął również jego czas na Krecie.

Gdy statek opuścił port i skończyło się machanie rękami i pożegnalne pozdrowienia, obaj towarzysze podróży wypili herbatę w małym salonie.

Pamięta pan jeszcze nasz pierwszy wspólny rejs przed trzydziestu laty? – spytał Arthur Evans. Kiedy rysował pan na obrusie?

Miałem wtedy piętnaście lat odpowiedział przepraszająco Gilliéron. Z tego powodu ojciec naśmiewał się potem ze mnie tygodniami.

Ach, pański ojciec, rzekł Evans. Jak długo nie ma go już pośród nas?

Jedenaście lat, odparł Emile. Zmarł cztery dni przed czwartymi urodzinami mojego syna.

W takim razie mały Alfred też ma już teraz piętnaście lat, prawda? Odziedziczył po panu talent, rysuje już na obrusach?

Nic mi o tym nie wiadomo, odrzekł lakonicznie Emile.

Po chwili Evans odchrząknął i rozejrzał się dokoła, jakby czegoś szukał.

Proszę mi powiedzieć, Gilliéron, czy przed trzydziestu laty nie odbywaliśmy rejsu na tym samym statku? Czy nie rysował pan na obrusie dokładnie tego stołu, przy którym siedzimy?

Niestety nie, sir. Przypadkiem wiem, że tamten statek zezłomowano przed wielu laty.

Jest pan pewny?

Absolutnie.

Jaka szkoda, powiedział Evans i pogładził rękami kant stołu, jakby chciał pogłaskać statek. Przysiągłbym... Po czym rozejrzał się dokoła zakłopotany i zmieszany.

Gilliéronowi zrobiło się żal starego człowieka.

Nie jest to wprawdzie ten sam statek, lecz mimo to zgadzam się z panem w zupełności. Tamten statek wtedy był bardzo podobny do tego tutaj.

Ach tak?

Zadziwiające podobieństwo. Jak dwie krople wody.

Prawda? Arthur Evans z zadowoleniem pokiwał głową. W ogóle wszystkie statki są do siebie bardzo podobne, nie sądzi pan?

Absolutnie, potwierdził Gilliéron, spoglądając na szare morze. Statek to statek, tyle jest pewne.

Potem rozmowa ustała. Arthur Evans przyglądał się obrusowi, unosząc brwi w geście zdziwienia, a Emile Gilliéron był zły na siebie, że mu współczuje.

Ponieważ dzień był męczący, położyli się wcześniej spać. Kiedy następnego dnia żegnali się w porcie w Pireusie, uścisnęli sobie nawzajem dłonie i przysięgli, że wkrótce znowu się zobaczą, choć obaj wiedzieli, że już się nie spotkają w tym życiu. Bardzo możliwe, że Emile Gilliéron podczas jazdy z Pireusu do Aten uronił łzę, ponieważ żegnał się nie tylko z Arthurem Evansem i jego epoką, lecz także z epoką swojego ojca i być może już też ze swoją własną.

Po raz pierwszy w ciągu trzydziestu lat tamtego dnia zdarzyło się bowiem, że wracał z Krety do domu bez żadnego sukcesu zawodowego – bez najmniejszego zamówienia, zlecenia czy zaproszenia. Nie był to przypadek i pewnie nie będzie wyjątkiem, Gilliéron nie miał co do tego złudzeń. W tamten świąteczny dzień młodzi zbieracze faktów niewyobrażalnie sromotnie posłali na emeryturę nie tylko Arthura Evansa, ale także jego. Tak było w porządku i taki był bieg rzeczy, Emile Gilliéron nie czuł gorczy, bo nie postrzegał siebie jako przegranego, a zbieraczy faktów jako zwycięzców; doszło jedynie do zmiany warty. Teraz ci młodzi ludzie będą musieli pokazać, co jest warta ich pragnąca zawsze mieć rację naukowość.

Arthur Evans i Emile Gilliéron mimo wszystko doprowadzili do powstania z martwych pałacu króla Minosa – a czym mogli się pochwalić w porównaniu z nimi zbieracze faktów? Paroma potwierdzonymi naukowo kupami kamieni. Jedna leżała osobno na skraju miasta Palekastro, a druga za plażą w Kato Zakros, trochę znaleźli Włosi w Fajstos, Francuzi zaś wykopali w Malii jeszcze inny stos kamieni: wszystko to zostało sumiennie obmierzone, zarchiwizowane i skatalogowane. Ale komu te ruiny coś opowiedzą? Choćby najmniejszą historię? I czy ktoś jeszcze będzie chciał je oglądać, jeśli widział kiedyś wspinały pałac w Knossos?

Arthur Evans i Emile Gilliéron byli twórcami pałacu w Knossos, nie dało się już tego zmienić i tak zostanie również po stu latach, kiedy młodzi puryści, archeologiczni belfrzy i ich księgowi od dawna leżeć będą w swoich grobach zgnili i zapomniani, ramię w ramię z kuratorami muzeów i urzędnikami ministerstw i wszystkimi innymi bezkrwistymi, beznamiętnymi liczykrupami, upierdliwcami i pasożytami, którzy nie mieli w życiu żadnej pasji, pysznili się na koszt państw i nigdy w życiu nie wydali z własnej kieszeni ani drachmy na cokolwiek poza własnym kałdunem. Również za sto lat, Emile Gilliéron był o tym przekonany, zbiorowa pamięć ludzkości będzie wspominać prehistorię Krety taką, jaką

stworzyli on i Arthur Evans – z salami tronowymi, zewnętrznymi schodami i kolumnami w kolorze ochry, które zwężały się ku dołowi, i z pięknościami na krzeselkach kempingowych, zbieraczami szafranu oraz węzowymi kapłankami.

W trakcie kilkudziesięcioletniej pracy stworzył dzieło, które niezależnie od jego historycznej prawdziwości zasłużyło sobie na miejsce w wielkich muzeach tego świata. Dla Emile'a Gilliérona było jasne, że za swoje życiowe osiągnięcia nie otrzyma tytułu doktora honoris causa, nie zostanie mianowany szlachcicem ani honorowym obywatelem żadnego miasta, lecz przeciwnie, będzie musiał się cieszyć, że nie skończy za kratkami jako fałszerz lub oszust. Ale skoro świat nie potrafił też docenić jego osiągnięć artystycznych, to wolno mu chyba rościć sobie prawo do tytułu największego fałszerza wszech czasów; nie kopiował bowiem tylko tak po prostu olejnych malowideł, figurek z kości słoniowej czy banknotów, lecz wymyślił coś tak ważnego jak portret życia najstarszej kultury wysokiej w Europie – z całą jej beztronską radością życia oraz skłonnością do secesji i art déco.

I choć Emile Gilliéron wciąż jeszcze nie osiągnął wielkiego celu z lat młodości – domku nad Jeziorem Genewskim – to jednak mógł być zadowolony: nie musiał już niczego sobie udowadniać ani szukać uznania w oczach młodych zbieraczy faktów.

Nieprzyjemne było tylko to, że nie miał jeszcze osiemdziesięciu pięciu lat i jeszcze dosyć długo będzie musiał zarabiać pieniądze. W Atenach jego sprawy nie wyglądały lepiej niż na Krecie, wielkie muzea i instytuty nie kupowały u niego niczego. Rok wcześniej po raz ostatni wygrał przetarg z młodymi archeologami i w państwowym muzeum sztuki starożytnej urządził całą salę za pomocą podróbek sztuki minojskiej własnej produkcji. Ale to już minęło, a na widoku nie było nowych zleceń.

Z Pireusu do Aten zbudowano linię tramwajową, a samą szosę pokryto asfaltem. Sunął nią gęsty sznur samochodów; pojazdów konnych i wózków zaprzężonych w osły prawie się już nie widywało. Od paru lat miasto było pełne samochodów, w miesiącach letnich wisiały w ulicach gęste kłęby gazów spalinowych. Większość konduktorów w tramwajach znała język francuski, wielu kelnerów – niemiecki. Dom rodziny Gilliéronów nie stał już na pastwisku kóz, tylko znajdował się w środku hałaśliwego, szybko rosnącego miasta.

W ciągu połowy stulecia ojciec i syn przeszli wszystkie fazy rozwoju historycznego archeologii. Ze Schliemannem przeszukiwali basen Morza Egejskiego jako myśliwi i kolekcjonerzy o zacięciu archeologicznym, potem osiedli z Evansem w Knossos niczym rolnicy. Kiedy skurczyło się obrabiane pole, przetrucili się na wyspecjalizowany handel dziełami sztuki dla zamożnych ludzi z wyższych warstw, a gdy ten feudalny mały rynek się załamał, otworzyli się na szersze kręgi kupujących, budując manufakturę i obniżając koszty jednostkowe.

Ostatnim krokiem w kierunku industrializacji było zlecenie maszynowego i masowego powielania wykonanych przez nich kopii w pewnej fabryce w południowych Niemczech.

Na podstawie modeli Gilliérona Wirtemberskie Zakłady Metalowe w Geislingen produkowały metodą galwanoplastyczną minojskie łby byków i mykeńskie pucharki ze złota i srebra w każdej żądanej liczbie, a do tego rozmaite wazy, lampy oliwne i kielichy, miecze i sztylety, monety i maski pośmiertne, a także złote sygnety jak ten króla Minosa, który zaprowadził Arthura Evansa do grobowca pod świątynią. Bogato ilustrowany katalog obejmował sto czterdzieści cztery artykuły, zamówienia należało kierować do Emile'a Gilliérona, ulica Skoufa 43 w Atenach. Paul Wolters, profesor z Monachium, pisał we wprowadzeniu, że artefaktów nie zostawiono powyginanych, zgniecionych i rozbitych, tylko nadano im z powrotem pierwotną formę.

Podróжки dzieł sztuki minojskiej z Geislingen zapewniały Emile'owi Gilliéronowi egzystencję, były tanie i sprzedawały się dobrze. Jednak popyt stopniowo malał, rynek wydawał się nasycony. Poza tym Wirtemberskie Zakłady Metalowe dostawały coraz więcej zleceń od Wehrmachtu i rzadko znajdowały czas na oryginalne specjalne życzenia Gilliérona.

Nie chcąc dopuścić do tego, żeby i to źródło dochodów wyschło, Emile musiał ciągle odnawiać asortyment. Dwa razy w roku – przeważnie jesienią i wiosną – jeździł do Geislingen, przywożąc nowe artefakty i udzielając wskazówek co do ich reprodukcji. Za każdym razem zostawał wtedy w fabryce kilka dni, nadzorował wytwarzanie form odlewniczych i przed powrotem do Aten oceniał pierwsze kopie.

Podróże statkiem i koleją z roku na rok stawały się dla niego bardziej uciążliwe, szukał więc możliwości uniknięcia tych niewygód. Kiedyś będzie za niego jeździł syn Alfred, ale jemu brakowało jeszcze paru lat do pełnoletniości.

Drugiego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, kiedy Emile Gilliéron wybierał się jak zwykle w jesienną podróż do Geislingen, przeczytał w porannej gazecie, że między Niemcami a Polską wybuchła wojna. Odstawił filiżankę, zadzwonił do Lloyda Triestino i przesunął wyjazd do Triestu o cztery tygodnie. Do tego czasu, jak pisano w gazecie, wojna się skończy, Polska nie zdoła stawić oporu nawet przez dwa tygodnie.

Miesiąc później znów szykował się do wyjazdu. W wieczór poprzedzający podróż jadł z żoną Ernestą kolację na tarasie swojego domu: sepię w sosie na czerwonym winie. Był ciepły wieczór, jakby panowało jeszcze późne lato, na południu w blasku zachodzącego słońca żarzył się Akropol, obok wschodził księżyc. Po kawie Ernesta postawiła lampę obok swoich sztalug i pracowała dalej nad najnowszym obrazem olejnym, przedstawiającym widok Akropolu przy pełni księżyca; szkicowała przebieg rzucanego cienia przy wschodzącym księżycu

i musiała się zdecydować, która pozycja będzie najefektowniejsza.

Emile Gilliéron przyglądał się jej podczas pracy i popijał armaniak. Już od dwudziestu lat był jej mężem, od dwudziestu jeden lat przyglądał się jej przy malowaniu. Cenił jej obrazy, bo były wysokiej jakości pod względem rzemieślniczym, jakkolwiek zbyt ugrzecznione i pozbawione artystycznej odwagi. Swoisty tragizm polegał na tym, że obrazy Akropolu pędzła Ernesty były zbyt dobre, żeby je sprzedawać turystom, i zbyt mało znaczące, żeby wzbudzić zainteresowanie galerzystów i kolekcjonerów. Każdy bazgracz, każdy partacz i każdy geniusz miał swoich kupców na nienasyconym ateńskim rynku sztuki, tylko dzieła Ernesty były niesprzedawalne i piętrzyły się setkami w domu Gilliéronów. Jedynie raz na parę miesięcy któryś z nich znajdował drogę w świat, żeby skończyć jako zakurzony depozyt, wiszący bez ograniczeń czasowych w salonie przyjaciół lub znajomych.

Księżyc jak zawsze oderwał się zadziwiająco szybko od horyzontu. Kiedy stał blisko zenitu i Akropol prawie już nie rzucał cienia, Ernesta sprzątnęła swoje utensylia malarskie i wycofywała się z tarasu. Emile nalał sobie ostatni kieliszek armaniaku, walizkę na podróż miał już spakowaną. Tym razem będzie musiał jechać, mimo że wojna jeszcze trwała; zapasy w magazynach się kończyły.

Emile'a przechodziły ciarki na myśl o czekającej go podróży. Kontrole celne będą jeszcze uciążliwsze niż zwykle, przejazdy koleją jeszcze dłuższe, a terminy przybycia na miejsce jeszcze bardziej niepewne. W takiej sytuacji niewskazane było przewożenie w bagażu podróżnym rzucających się w oczy przedmiotów, jak topór bojowy Menelaosa czy wielki miecz Tezeusza. Tym razem weźmie do Niemiec tylko minojskie złote pierścienie i mykeńskie monety, inne rzeczy natomiast zostawi w domu.

Kiedy butelka była pusta, wszedł do budynku i umył twarz i ręce, po czym rozebrał się i nastawił budzik na wpół do siódmej. Było tuż po północy, zaczął się właśnie trzydziesty wrzesnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Emile położył się po cichu w łóżku obok żony i jak zawsze szybko zasnął. W ciągu pięćdziesięciu czterech lat jego życia nie było chyba takiej nocy, żeby nie zasnął lekko i szybko.

Dwie godziny później obudziła się jednak jego żona, bo nie chrapał. A kiedy nim potrząsnęła, okazało się, że jest już zimny.

*

Laura d'Oriano na pewno myślała często o tym, że jej obowiązkiem jest wrócić do Bottighofen do córek i Emila Fraunholza. Zwłaszcza podczas długich popołudni za ladą, kiedy do sklepu przychodziło niewielu klientów i godziny mijały powoli między kapeluszkami damskimi i męskimi, nawiedzało ją czasem uczucie, jakby budziła się z głębokiego snu i w niewyjaśniony sposób znajdowała

się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu w towarzystwie obcych ludzi, z którymi nie miała nic wspólnego. Czasami była bliska tego, żeby wziąć torebkę i płaszcz pod pachę i odejść bez słowa pożegnania; ponieważ jednak nie wiedziała, dokąd iść i do kogo, nie zrobiła tego nigdy.

Jedno wiedziała z pewnością: że nikomu by się nie przysłużyła, gdyby wróciła do Bottighofen – na pewno nie swoim córkom, które nad spokojnym Jeziorem Bodeńskim wyrastały pod opieką babki na dobrze odżywione, zgodne i pracowite turgowijskie młode chłopki; podobnie nie przysłużyłaby się mężowi, który tym łatwiej przewycięży zazdrość i ból rozstania, im rzadziej Laura będzie się pokazywać; i koniec końców także samej sobie, ponieważ nigdy nie zdobyłaby się na to, żeby pędzić żywot w drewniakach jako turgowijska gospodyni między jabłoniemi a sznurami do bielizny.

Uświadomiła też sobie coś innego: że opuściła Bottighofen nie dlatego, że chciała śpiewać, ale było na odwrót: chciała śpiewać, żeby trzymać się z daleka od takich miejscowości jak Bottighofen. Wcale nie było prawdą, że Laura dążyła w życiu do wielkiego celu; ona zawsze wiedziała tylko, czego nie chce. Nie chciała być posłusznym dzieckiem ani uroczym podlotkiem, pożądaną panną na wydaniu ani niezawodną żoną, rozważną panią domu ani troskliwą matką – wyłącznie dlatego zawsze stawała na podeście i śpiewała.

Odrzucała wszelkie marionetkowe role, jakie przygotowywał dla niej świat, pod tym względem pozostawała nieugięta i silna. Kiedy jednak miała stworzyć sobie własną rolę, odpowiednią dla siebie, okazywała się bezradna, podobnie zresztą jak większość ludzi, i zachowywała się stosownie do okoliczności, z dnia na dzień pokonując codzienne problemy najlepiej, jak się dało.

Tym sposobem Laura d’Oriano pozostawała na kolejny rok w sklepie kapeluszniczym Marii Juarez i sprzedawała kapelusze cudzoziemcom, a co kilka miesięcy śpiewała w nocnych kawiarniach przebrana za Svenję, Carmen albo Aiszę. Sądząc po ambicjach z czasów młodości, była to klęska, jakkolwiek elegancka, gdyż mimo wszystko Laura nie musiała się nikomu tłumaczyć z koloru swojej bielizny i była osobą wolną: w każdej chwili mogła iść, dokąd chciała. Nikt jej nie trzymał, nie knebłował ani nie wiązał – tyle że, ściśle rzecz biorąc, powinna się raczej cieszyć, że jej nie odesłano na zieloną trawkę. Nastąpiły bowiem ciężkie czasy: nocne kawiarnie prawie już nie miały płacących gości, a sklep kapeluszniczy Marii Juarez odnotowywał coraz mniejsze obroty.

Zmieniło się to raptownie latem tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, kiedy miasto zalały nagle tłumy ludzi ze wszystkich krajów. Po napaści Wehrmachtu na północną Francję miliony Francuzów uciekły do tak zwanej wolnej strefy, a wraz z nimi kilkaset tysięcy emigrantów niemieckich uchodzących przed nazistami: wcześniej znaleźli oni schronienie w północnej Francji, a teraz parli na południe w poszukiwaniu statku, który przewiozłby ich przez ocean w bezpieczne

miejsce, gdzie nie czyhali na nich mordercy.

Po przyjeździe każdego pociągu z Północy na dworzec Saint-Charles po wielkich zewnętrznych schodach rozlewała się na Canebière kolejna fala nowo przybyłych uchodźców. Tylko nieliczni byli elegancko ubrani, a ich walizki nieśli do taksówek tragarze w uniformach; większość miała na nogach wydeptane buty i trzymała pod pachą wybrzuszone, powiązane sznurkiem konopnym tekturowe walizki. Wszyscy mieli wypisany na twarzy strach, niedostatek i wyczerpanie, a bogatych tak samo jak biednych martwił problem, na jak długo wystarczy im ostatni grosz, który zaszyli gdzieś w ubraniu i mieli zawsze przy sobie.

W sumie jednak dzięki nowo przybyłym trafiało do miasta dużo pieniędzy. Z każdym wjeżdżającym pociągiem rósł popyt na żywność, noclegi i przedmioty codziennego użytku, a ponieważ podaż była niewielka, ceny niewyobrażalnie poszybowały w górę. Sklep kapelusznicy Marii Juarez korzystał na tym, że wiele osób podczas ucieczki często straciło kapelusze i podczas pierwszego postoju rozglądało się za innym, żeby znów w miarę poczuć się jak ludzie. Dzwonek przy drzwiach nie milkł. Interesy szły wybornie, ręce szwaczek w pracowni śmigały od rana do wieczora przy wyrobie damskich i męskich kapeluszy. A ponieważ klientami byli przeważnie cudzoziemcy, którzy mówili obcymi językami, Laura d’Oriano była niezastąpiona za ladą bardziej niż kiedykolwiek.

W związku z tym znów zapełniły się również nocne kawiarnie. Laura miała tyle występów, ile chciała. Zdarzały się wieczory, kiedy stawała na scenie w trzech różnych lokalach w trzech różnych przebraniach – najpierw jako Svenja, Lilia z Kopenhagi, potem gdzie indziej jako Carmen, Róża z Sewilli, i na koniec jeszcze gdzie indziej jako Aisza, Królowa Trypolisu.

Pieniądze, jakie zarabiała, przeciekały jej przez palce. Życie w Marsylii było coraz droższe, a to, co zostawało jej w kieszeni, wysyłała jak zwykle do Bottighofen. Odkąd Emil Fraunholz przestał przyjmować od niej przekazy, przesyłała pieniądze teściowej, która w rewanżu co parę miesięcy wysyłała jej bez komentarza fotografie obu córek: pyzate dziewczynki uśmiechały się do obiektywu i prezentowały grube blond warkocze. Laura doceniała ten niemy gest kobiecej solidarności, rozumiała go jednak też jako wskazówkę, że jej córki mają się dobrze i nie powinno jej czasem przyjść do głowy pojawienie się w Bottighofen.

Tamtego lata tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Laura d’Oriano skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Urodziny obchodziła sama w swoim dawnym pokoju z dzieciństwa przy Starym Porcie. Ojciec już się trochę postarzał i pozwalał Laurze na wszystko pod jednym warunkiem: że nie będzie przyprowadzać mężczyzn do domu. Również matka pogodziła się z tym, że córka odrzuca wszelkie marionetkowe role – jeśli marionetkową rolą nie było to, że powoli stawała się podstarzałą panną, która w dalszym ciągu mieszka u rodziców, utrzymuje znajomości z mężczyznami bez widoków na przyszłość i od

niepamiętnych czasów wykonuje dorywczą pracę, pomyślaną kiedyś jako przejściowe rozwiązanie w trudnej sytuacji.

Laura czuła się w tej roli całkiem dobrze. Można sobie wyobrazić, że odgrywałaby ją jeszcze długo, gdyby pozwoliły na to okoliczności. Kiedy jednak Włochy wypowiedziały Francji wojnę i Mussolini kazał swoim rodakom wracać do kraju, rodzice Laury spakowali walizki i wezwali do siebie czworo najmłodszych dzieci, następnie sprzedali mieszkanie i popłynęli promem do Rzymu – nie po to, żeby spełnić rozkaz Mussoliniego, tylko żeby uniknąć aresztowania przez policję francuską, która przestała udzielać pozwoleń na pobyt obywatelom włoskim.

Laura została sama. Z początku nie spodziewała się trudności ze strony władz, ponieważ wychodząc za Szwajcara, została Szwajcarką. Musiała się jednak wyprowadzić z mieszkania przy Starym Porcie i poszukać sobie nowego lokum. Okazało się to trudne, bo wszystkie hotele i pensjonaty były zajęte bądź zarezerwowane, a ceny za najbardziej podejrzane spelunki osiągnęły absurdalny poziom.

Pewnego lipcowego poranka tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Laura d'Oriano wylądowała na ulicy, a wszystko, co posiadała, zniosła do pracy w starej walizce ze szlachetnej skóry. Szefowa zrobiła surową minę, a pracowite pszczołki poszeptały między sobą. Kiedy szefowa tuż przed zamknięciem sklepu poszła z dziennym utargiem do banku, jedna z pszczołek wychynęła z pracowni, wcisnęła Laurze do ręki jakąś karteczkę i szepnęła jej, że na razie spokojnie może u niej zamieszkać, w jej pokoju na poddaszu jest bowiem jeszcze wolne miejsce do spania.

Laura przyjęła z wdzięcznością jej propozycję. Mansarda znajdowała się przy rue du Tapis Vert na szóstym piętrze, a miejscem do spania była wysłużona empirowa sofa umieszczona obok nieszczelnego okna. Pośrodku pokoju stał parawan, a za nim łóżko pracowitej pszczołki. Obie kobiety położyły się wcześniej. Potem leżały po ciemku i, jedna zasłonięta przed spojrzzeniami drugiej, toczyły jeszcze długą kobiecą rozmowę. Następnego wieczór spędziły w taki sam sposób. Zaprzyjaźniły się i niebawem wiedziały o sobie wszystko. Kiedy znów trzeba było zapłacić czynsz za przemieszkanie tydzień, Laura zapłaciła połowę, podobnie za następny i kolejny.

Tak minęło pół roku.

Po południu dziesiątego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku do sklepu kapeluszniczego wszedł niewysoki, pulchny jegomość z grzywką opadającą na czoło, który także poza tym przypominał z wyglądu Napoleona Bonapartego. Pozdrowienie szefowej odwzajemnił opryskliwie po włosku i szukając pomocy, rozejrzał się po sklepie, na co Maria Juarez miękkiem ruchem krąglego ramienia wskazała Laurę, a sama wycofała się do pracowni.

Laura już przy pierwszych słowach małego mężczyzny zwróciła uwagę, że

mówi po włosku z francuskim akcentem, ale podjęła tę grę i zapytała go po włosku, czego sobie życzy.

Potrzebuję czarnego filcowego kapelusza na zimną porę roku, odparł mały człowiek. Rozmiar pięćdziesiąt cztery.

Laura zdjęła z półki kilka filcowych kapeluszy, położyła je na ladzie i wyjaśniała ich specyfikę, podczas gdy klient przymierzał jeden po drugim.

Wezmę ten, powiedział w końcu. Proszę nie pakować, włożę go od razu. Nawiasem mówiąc, pani włoski jest bardzo wyszukany.

Moi rodzice są Włochami, wyjaśniła Laura.

W takim razie na pewno pani zauważyła, że jestem Korsykaninem.

Laura skinęła głową.

Mój włoski jest okropny, ale pani, jak się wydaje, ma talent do języków. Powiedziano mi, że mówi pani także po grecku, turecku i rosyjsku. Zgadza się?

To prawda.

A co z niemieckim?

Laura bez słowa zmierzyła go wzrokiem ze wzmożoną uwagą.

Co z pani niemieckim, signora?

Żałuję, ale nie mówię po niemiecku.

Nie szkodzi, rzekł mały człowiek. Muszę z panią porozmawiać, signora, to ogromnie ważne.

Słucham.

Nie tutaj. Dziś wieczór o godzinie dziewiętnastej oczekuję pani w barze hotelu Select.

Za kogo mnie pan uważa, monsieur, zaprotestowała Laura. Nie jestem z tych, które pozwalają się wzywać do hotelowych barów, a już na pewno nie...

Nie tak głośno, zaprotestował mały człowiek.

...na pewno nie fałszywemu Włochowi, który nie podał mi nawet swojego nazwiska.

Usilnie pani radzę, signora, przyjść dzisiaj wieczór do Selecta. Pani pozwolenie na pobyt upływa w najbliższym czasie, wie pani o tym?

Laura skinęła głową.

Nie powinna pani dopuścić do takiej sytuacji, żeby można było panią bez powodu aresztować na ulicy. Nawiasem mówiąc, do tej pory nie zgłosiła pani w konsulacie szwajcarskim nowego adresu, proszę to nadrobić. Czy ma pani licencję na występy sceniczne?

Jaką licencję?

Na zarobkowe publiczne występy sceniczne. Zarządzenie z dwunastego listopada zeszłego roku.

Nie wiedziałam o tym.

Powinna pani jak najszybciej uporządkować swoje papiery, signora, a do

tęgo czasu zachować wielką ostrożność. Proszę przyjść dzisiaj o dziewiętnastej do Selecta. Mogę pani pomóc.

W dalszym ciągu nie wiem, kim pan jest.

Lepiej dla pani, żeby pani nie znała mojego nazwiska.

Nie umawiam się z nieznajomymi.

Signora...

Nalegam.

Nazywam się Simon Cotoni, jestem komisarzem w Dyrekcji Nadzoru Terytorium w Nicei. Proszę nikomu nie mówić o mojej wizycie, nigdzie nie wymieniać mojego nazwiska. Ile jestem pani winien za kapelusz?

Czternaście franków i pięćdziesiąt centymów. Proszę bardzo, monsieur.

Mały człowiek położył na ladzie piętnaście franków.

Dzisiaj wieczorem o dziewiętnastej. Niech pani będzie punktualna.

Kiedy Laura przesunęła na drugą stronę lady paragon i resztę, położył obok plik banknotów.

To dla pani na pokrycie najpilniejszych wydatków. Proszę to schować. No już, szybko. Znowu trzeba zapłacić czynsz przy rue du Tapis Vert. Proszę posłać trochę do Szwajcarii, jeśli pani chce. I ani słowa o mojej wizycie. Nikomu. Zrozumiała mnie pani?

Po wyjściu małego człowieka Laura przeliczyła plik pieniędzy. Było w nim trzysta franków. W sam raz na tydzień.

*

Potem nadszedł rok, kiedy Felix Bloch podczas kongresu w Massachusetts Institute of Technology w Bostonie poznał młodą fizyczkę Lore Misch, która zrobiła w Getyndze doktorat o promieniach rentgenowskich, a w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku uciekła do Ameryki. Ślub wzięli czternastego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Na początku mieszkali w kawalerskim bungalowu Felixa w kampusie, a później przeprowadzili się do ładnego małego domu przy Emerson Road w Palo Alto. Szesnastego stycznia następnego roku przyszli na świat bliźniacy George i Daniel. Dla młodej matki pierwszy rok z dwójką nowo narodzonych dzieci był męczący, po krótkim czasie pilnie wymagała odpoczynku. Felix Bloch przygotowywał się do spędzenia z rodziną lata tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku na plaży w La Carpinteria na południe od Santa Barbara.

Wtedy jednak zadzwonił Robert Oppenheimer i poprosił go o udział w letnim seminarium, które zamierzał zorganizować w Berkeley.

Tym razem nie, odparł Bloch.

To ważne, upierał się Oppenheimer.

Żałuję, rzekł Bloch. Zapakowaliśmy już kąpielówki i pieluchy.

I zapłaciliśmy zaliczkę za dom plażowy.

Niech pan rozpakuje z powrotem kąpielówki i pieluchy, powiedział Oppenheimer, i nie przejmuj się zaliczką. Proszę pozdrowić ode mnie Lore i przekazać, że wszystko jej zrekompensuję.

Nie mogę tego zrobić. Mamy za sobą ciężką zimę.

Przykro mi. Chodzi o neutrony, Bloch, potrzebuję pana na tym seminarium. Udział jest obowiązkowy. Przez telefon nie mogę nic więcej powiedzieć.

Jak mam to rozumieć? – spytał Bloch.

Proszę posłuchać. Seminarium tak czy owak się odbędzie, czy to nam obu pasuje, czy nie. Jeśli my tego nie zrobimy, zrobią to tamci. My albo tamci, Bloch, rozumie pan? Prawdopodobnie tamci zabrali się już do pracy. Nie możemy tracić czasu.

Rozumiem.

Włączenie pana jest osobistym życzeniem prezydenta Roosevelta. Startujemy na początku lipca. Będzie też paru naszych starych przyjaciół z kopenhaskich czasów.

Kto?

Hans Bethe i Edward Teller. Van Fleck. Mój asystent Robert Serber. I paru moich doktorantów. Czy Teller nie doktoryzował się u pana w Lipsku?

U Heisenberga. Na temat jonizowanych cząsteczek wodoru. U mnie tylko gotował herbatę. W piwnicy do ping-ponga.

Tym sposobem lato tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Felix Bloch spędził nie na plaży w Santa Barbara, lecz na poddaszu LeConte Hall w Berkeley. Celem seminarium było czysto hipotetyczne zbadanie, w ramach swobodnej wymiany poglądów, czy zasadniczo można sobie wyobrazić wytworzenie broni o największej sile rażenia poprzez uwolnienie sił wiążących wewnątrz atomów.

W seminarium brało udział dziewięć osób należących do czołówki w tej dziedzinie wiedzy. Spotkania przeprowadzano potajemnie. Odbywały się na poddaszu w pomieszczeniu, do którego klucz miał tylko Oppenheimer. Dwa okna francuskie wychodziły na balkon, który ze względów bezpieczeństwa zasłonięty był stalową siatką.

Pierwszego dnia rano Robert Oppenheimer otworzył seminarium, dla zbudowania nastroju opowiadając o największej do tego czasu wywołanej przez człowieka katastrofie w postaci eksplozji, która wydarzyła się szóstego grudnia tysiąc dziewięćset siedemnastego roku w porcie Halifax. Po detonacji o sile pięciu tysięcy ton trotylu na francuskim frachtowcu wiozącym materiały wybuchowe powstała ogromna kula ognia, fala uderzeniowa zrównała miasto z ziemią na powierzchni dwóch i pół mili kwadratowej i zabiła dwa tysiące osób. A gdy nad Halifaxem z powrotem zaległa cisza, ku niebu wzbijała się chmura dymu w kształcie

grzyba.

Moc rażenia eksplozji była potężna. Ale efekt bomby uranowej – co do tego uczestnicy seminarium zgodzili się już pierwszego dnia – będzie co najmniej dziesięciokrotnie większy. Słup dymu i pyłu wzbije się dziesięć razy wyżej, kula ognista będzie dziesięć razy większa, a fala uderzeniowa dziesięć razy silniejsza: moc takiej bomby wystarczy do zniszczenia za jednym zamachem nie tylko małego miasta jak Halifax, ale także wielkiego jak Berlin lub Hamburg. Albo Rzym. I zginie wtedy nie dwa tysiące ludzi, tylko dwadzieścia tysięcy. Albo dwieście tysięcy.

Uczestnicy seminarium bardzo wczesnie zdali sobie sprawę, że technicznym wyzwaniem będzie zbudować bombę niewielkich rozmiarów i odpowiednio wygodną w transporcie, żeby bombowiec B-29 mógł ją przenieść na długi dystans do miejsca przeznaczenia. Ale zasadniczo wydawało się to wykonalne. W pierwszym podsumowaniu Oppenheimer stwierdził, że do szybkiej reakcji łańcuchowej wystarczy wypełniony uranem ²³⁵ pojemnik o średnicy dwudziestu centymetrów, przy czym naturalnie należałoby dodatkowo przewidzieć wielokrotnie większą objętość i ciężar na mechanizm zapłonowy oraz metalową powłokę.

Przez całe lato dziewięciu ludzi liczyło i planowało pod dachem LeConte Hall projekt swojej hipotetycznej bomby. Trzeba było dokładnie określić, jaka minimalna ilość uranu ²³⁵ będzie potrzebna, żeby niezawodnie uruchomić reakcję łańcuchową. Problemem był mechanizm zapłonowy, który należało tak skonstruować, żeby możliwie szybko osiągnąć masę krytyczną, a reakcja łańcuchowa przebiegała od początku do końca i nie została przerwana przez przedwczesną detonację. Bardzo ważna była też kwestia, ile energii uwolni reakcja łańcuchowa. Ze szczegółowych obliczeń wynikało, że siła eksplozji bomby atomowej przewyższy tę z Halifaxu nie dziesięciokrotnie, lecz co najmniej stukrotnie, jeśli nie tysiąckrotnie i że liczba ofiar śmiertelnych może zatem wynieść nie dwa lub dwadzieścia tysięcy, tylko dwieście tysięcy.

Felix Bloch w ramach swojej specjalności miał się zajmować problemem dyfuzji neutronów; musiał ustalić, jak szybkie neutrony będą się zachowywać podczas reakcji łańcuchowej. Pewne kwestie udało mu się wyjaśnić, inne pozostały otwarte. Ale podczas seminarium nie pojawiały się zasadnicze trudności natury teoretycznej lub technicznej. Zbudowanie bomby było wykonalne – co do tego wszyscy uczestnicy się zgadzali.

Tylko raz pojawiły się poważniejsze wątpliwości: było to w ów lipcowy poranek, kiedy Edward Teller przykuśtykał do pokoju obrad, poprosił Oppenheimera o głos i przedstawił swoje obawy, że żar wybuchu atomowego może podzielać jako zapłon inicjujący pożar całej atmosfery ziemskiej, który po wodzie rozprzestrzeni się na oceany i zniszczy wszelkie życie na planecie.

Uwaga ta wywołała szok. Oppenheimer, Bloch i Bethe zostawili swoje wyliczenia i pochylili się nad nowym problemem. Było faktem znanym, że wodór w wysokich temperaturach staje się niestabilny, podobnie azot, z którego w trzech czwartych składa się atmosfera ziemska. Pytaniem pozostawało, w jakiej temperaturze nastąpi reakcja łańcuchowa i Ziemię ogarnie pożar.

Nad tym zagadnieniem nie zastanawiał się nigdy żaden człowiek przed Edwardem Tellerem. Nikt nie znał odpowiedzi. Oppenheimer polecił Bethemu sprawdzić wyliczenia Tellera. Po kilku dniach Bethe odwołał alarm: prawdopodobieństwo globalnego zapalenia się powietrza i wody zbliżało się „mocno do zera”. Reakcja łańcuchowa nie może się zacząć także w najwyższej temperaturze wyjściowej, ponieważ jądra atomowe w powietrzu i wodzie są bardzo od siebie oddalone i dlatego straty energii są o wiele za duże.

Bethe nie mógł jednak dać gwarancji i niektórzy uczestnicy wciąż mieli wątpliwości. Robert Oppenheimer odetchnął jednak z ulgą, gdyż wydarzenia ostatnich dni bardziej niż kiedykolwiek umocniły go w przekonaniu, że bomba jest niezbędnie potrzebna, żeby złamać opór Hitlera. W Rosji Wehrmacht w drodze do pól naftowych na Kaukazie przed kilkoma dniami zaatakował Stalingrad, a na Atlantyku niemiecki okręt podwodny U-201 zatopił nieuzbrojony brytyjski parowiec pasażerski „Alvira Star”.

Seminarium prowadzone było nadal, wszyscy kontynuowali swoje prace.

Minęło lato. Seminarium dostarczało satysfakcji i przyjemności, nadal prowadzono ożywione dyskusje. Jednak pewnego sierpniowego popołudnia, kiedy słońce stało już nisko nad horyzontem i jego promienie wpadały do pomieszczenia przez francuskie okna, zdarzył się epizod, który Robert Serber, asystent Oppenheimera, miał zapamiętać do końca życia. Oppenheimer przerwał dyskusję i powiedział:

Jezu, popatrzcie na to.

Wnętrze całego pomieszczenia wypełniał cień siatki, którą rozpięto przed balkonem dla ochrony uczestników seminarium. Wzór z czarnych kar kładł się na ścianach i biurkach, na krzesłach i stosach papierów, uwięzły w nim także ręce i twarze fizyków atomowych – na wszystkim spoczywał ciemny cień stalowej sieci.

Rozdział dwunasty

Po południu siódmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Laura d’Oriano siedziała w autobusie dalekobieżnym z Tuluzy do Mont-de-Marsan. Było gorąco, autobus jechał wśród winnic i łąnów zboża w stronę słońca, które stało już nisko na zachodzie. Wszystkie szyby w oknach autobusu były odsunięte, firanki łopotały od pędu powietrza. Laura zawiązała chustkę na głowie i czytała książkę, w siatce bagażowej nad siedzeniem umieściła małą torbę podróżną; rzucającą się w oczy walizkę ze szlachetnej skóry zostawiła w Marsylii.

Kierowca przyglądał się jej w lusterku wstecznym. Bardzo możliwe, że uważał ją za wdowę wojenną z Tuluzy, która jedzie w sprawach spadkowych do rodziny męża, albo za nauczycielkę szkoły powszechnej udającą się w odwiedziny do rodziców na wsi i skracającą sobie czas podróży lekturą Verlaine’a lub Stendhala.

Gdyby do autobusu wsiedli policjanci w celu kontroli podróżnych, Laura wyciągnęłaby z torebki nową kartę identyfikacyjną i wylegitymowała się jako obywatelka francuska Louise Fremont, zamieszkała w Paryżu, urodzona dwudziestego siódmego września tysiąc dziewięćset dwunastego roku w Marsylii. Stan cywilny: niezamężna. Wzrost: sto sześćdziesiąt jeden centymetrów. Zawód: tancerka i śpiewaczka. A przy tym starałaby się nie patrzeć na swoją torbę podróżną, w której pokrowcu zaszyła siedem tysięcy franków w drobnych nominałach i kartki na różne towary racjonowane.

Przy wyjeździe z Tuluzy autobus był dosyć pełny, potem stopniowo się opróżniał; teraz zbliżała się nadmorska strefa zamknięta, oprócz Laury nie został nikt z pasażerów. Kierowca przestał zwracać na nią uwagę, wyrobił już sobie pogląd na jej temat. Na trzecim przystanku przed linią demarkacyjną, w zamieszkaną przeważnie przez winogrodników wioskę o nazwie Aire-sur-l’Adour, wysiadła i znalazła się wśród zamkniętych już sklepików na wąskiej głównej ulicy, od której po lewej i po prawej stronie odchodziły boczne uliczki. Dzwony z położonego przed nią kościoła wzywały na mszę. Kocie łby były jeszcze gorące od popołudniowego słońca.

Kiedy autobus odjechał, z drugiej strony ulicy pomachał do niej wysoki, chudy stary wieśniak z czerwonym nosem i siwym szczeciniastym zarostem. Powitał ją radośnie i nazywał głośno *ma petite Louise*, jakby była jego ulubioną siostrzenicą albo wnuczką, następnie przeszedł przez ulicę, chwycił Laurę w objęcia i ucałował mocno w oba policzki. Wziął od niej torbę podróżną, otoczył ją ramieniem i pociągnął szybko w boczną uliczkę, u której wylotu polna droga

prowadziła poza wioskę do jednej z winnic.

W winnicy stał czerwony traktor. Wieśniak wskoczył za kierownicę, Laura usiadła na małym siedzisku nad prawym tylnym kołem. Dojechali do końca winnicy, skąd inna polna droga prowadziła do następnej, a potem jeszcze do kolejnej winnicy. W ten sposób Laura i wieśniak, trzęsąc się i podskakując, dryndali przez dwie godziny między winnicami Akwitanii na zachód w kierunku czerwieniejącego na horyzoncie słońca, dopóki nie zostawili za sobą linii demarkacyjnej i nie zniknęli w lesie piniowym, który ciągnął się przez dziesiątki kilometrów po piaszczystych i bagiennych gruntach aż do Oceanu Atlantyckiego i w górę do Żyrondy.

Następnego popołudnia Laura z rozczochranymi włosami i w sfatygowanych butach pojawiła się sama w Bordeaux. Zrobiła pierwszy spacer po śródmieściu, kupiła nowe buty do chodzenia po mieście i poszła się uczesać do fryzjera, po czym wypła kawę w ulicznej kawiarni. Kiedy nastał wieczór, udała się do pensjonatu niejakiej madame Blanc przy rue du Quai Bourgeois 4, którego adres miała zapisany na kartce. Pensjonat znajdował się nad brzegiem Garonny, niedaleko portu. Były jeszcze wolne pokoje, a ceny niskie. Odkąd uchodźcy uciekli przed zbliżającym się Wehrmachtem, w Bordeaux było wiele wolnych pokoi.

Pierwszy występ w najbliższą sobotę Laura miała w nocnej kawiarni o nazwie *Le Singe Dansant*. Znow włożyła kostium kozacki, znow pokazywała podwiązkę i znow śpiewała *Bajuszki baju*, a marynarze wśród publiczności znow mieli łzy w oczach; jedyna różnica w porównaniu z wcześniejszymi występami polegała na tym, że tutaj marynarze nosili mundury włoskiej marynarki wojennej, ponieważ należeli do załóg trzydziestu dwóch okrętów podwodnych, które stacjonowały pod niemieckim dowództwem w porcie w Bordeaux i przygotowywały się do udziału w bitwie o Atlantyck. A ponieważ o północy musieli być z powrotem na swoich okrętach, żaden z nich nie czekał na Laurę, kiedy o wpół do pierwszej wychodziła przez tylne drzwi na ulicę.

Mimo to jej zadanie okazało się łatwe, po prostu marionetkowa rola w sztuce. Wszystko było takie proste, że musiałoby ją zasmucić, gdyby nie poczuła wielkiej ulgi z tego powodu. Następnego dnia Laura musiała tylko nałożyć przed lustrem trochę szminki, by zamarkować słowiańskie kości policzkowe, i narzucić na ramiona kozacki kaftanik, a już włoscy marynarze ją rozpoznawali, kiedy podczas niedzielnego spaceru przechadzała się obok wejścia do portu.

Laura nie musiała nawet kołysać biodrami, żeby zamieszać w głowie młodym marynarzom; w zupełności wystarczało, że zatrzymała się na Quai du Sénégal i włożyła do ust papierosa. Kiedy zaczynała grzebać w torebce w poszukiwaniu zapalek, rzucało się w jej stronę całe stado, żeby podać ogień i w taki czy inny sposób nadać się jak paw, a gdy nienagannym włoskim podziękowała i idąc dalej, pomachała młodzieńcom przez ramię czubkami palców,

do tego od niechcenia dorzucając *Arrivederci* i błyskając białymi zębami, zachwyty nie miały już granic.

Wszystko było tak przewidywalne, marionetkowa gra znana od milionów lat. Ale Laura w niej uczestniczyła, bo służyła jej celom. Od tamtej niedzieli stała się sławna wśród włoskich marynarzy z okrętów podwodnych. Kiedy w ulicznej kawiarni zamawiała martini, alkohol, który dostawała, był już zawsze zapłacony. Kiedy taszczyła zakupy, za każdym razem znajdował się kawaler gotów zanieść jej wszystko na rue du Quai Bourgeois. A gdy w ogrodzie botanicznym siadała na ławce ze Stendhalem lub Verlaine'em, zawsze któryś prosił o zgodę, by mógł się do niej przysiąc na chwilę.

Tym sposobem Laura nawiązywała z nimi rozmowy. Niemniej wciąż na nowo musiała zapewniać, że w realnym życiu wcale nie jest Kozaczką z krwi i kości, tylko zacną córką nauczyciela z Marsylii i że naprawdę wcale nie ma na imię Anuszka, lecz właściwie nazywa się Louise, a przyjaciele mówią na nią Loulou, i że dlatego tak dobrze mówi po włosku, że jej matka jest Włoszką. A kiedy potem Laura tym samym tonem pytała marynarzy, czy życie pod wodą jest bardzo ciężkie, każdy z nich brał głęboki oddech i zaczynał opowiadać.

Opowiadali o wysokiej temperaturze na pokładzie, stęchłym powietrzu i niesamowitej ciszy po zanurzeniu, gdy okręt podwodny z wyłączonymi maszynami spoczywa na dnie oceanu wśród wraków statków leżących tam od wieków i tygodniami musi udawać trupa, żeby nie zwróciły na niego uwagi urządzenia nasłuchowe nieprzyjaciela. Opowiadali o niewypowiedzianej rozkoszy wynurzania się, kiedy stoją wreszcie znowu na pokładzie na świeżym powietrzu i piana pryska człowiekowi w twarz, i o diabolicznej radości po celnym uderzeniu torpedy, kiedy posyłają na morskie dno dziesiątki tysięcy ton rejestrowych wraz z całą załogą.

Wszystko było całkiem proste. Marynarzom nie zamykały się usta i później żadnemu nie przyszłoby do głowy, że dał się wziąć Laurze na spytki; bo ona faktycznie prawie nie zadawała pytań, tylko sporadycznie zachęcała swoich rozmówców do dalszego mówienia za pomocą wyrażających zdziwienie wykrzykników, przed czym ci, jak wszyscy mężczyźni, nie potrafili się obronić. Mówili więc i mówili. Wyjaśnili Laurze, co się robi, żeby okręt podwodny zanurzył się i wynurzył z powrotem, i skąd pochodzi powietrze do oddychania, i gdzie znajdują się koje dla załogi. Wyliczali, ile okrętów podwodnych znajduje się w porcie w Bordeaux – aktualnie trzydzieści dwa, ale nie wszystkie w stanie gotowości bojowej, i wyłącznie włoskie, niemieckich nie ma – i podawali nazwy okrętów, na których wcześniej służyli.

Parę razy tak się złożyło, że akurat wpływała lub wypływała jakaś jednostka, kiedy Laura siedziała w towarzystwie któregoś z marynarzy przy wejściu do portu. Pozwalała wtedy, żeby pokazywano jej kiosk z lukiem, zwracała uwagę na

zbiorniki balastowe na burtach i chowane działka przeciwlotnicze na pokładzie, zapamiętywała ich kaliber i przytakiwała wszelkim wyjaśnieniom z uprzejmym zainteresowaniem. Kiedy jednak proponowała przechadzkę po pilnie strzeżonym porcie wojennym, jej towarzysze kręcili z ubolewaniem głową i recytowali wyuczone na pamięć zdania, prosząc o zrozumienie. Najściślejsza tajemnica, wróg czuwa. Najgroźniejszą i najważniejszą bronią okrętu podwodnego jest jego niewidzialność. Jeśli wróg zna pozycję albo kurs okrętu podwodnego, jest on właściwie stracony.

Laura wszystko zapamiętywała, a wieczorami w swoim pokoju robiła notatki. Dwa lub trzy razy na tydzień pisała list do przyjaciela w Tuluzie, którego nigdy dotąd nie widziała. Poza tym nie miała żadnych obowiązków. W soboty śpiewała swoje pieśni kozackie w Singe Dansant. W niedziele jeździła autobusem nad morze, do Lacanau albo do Cap Ferret i odbywała długie samotne spacerunki po wydmach. Tamto lato w Akwitanii było długie i spokojne. Wojna toczyła się gdzieś daleko, a od oceanu stale wiała świeża bryza. A kiedy któryś z marynarzy rozpoznał Laurę przed powrotem do Bordeaux na przystanku autobusowym, dawała się czasem zaprosić na talerz małży z frytkami.

Na oceanie jednak szalała wojna, na całym świecie zatapiano od nowa całe floty i dziesiątki tysięcy młodych marynarzy znalazło śmierć w wodzie. Można sobie wyobrazić, że byli wśród nich także tacy, którzy dotrzymywali Laurze towarzystwa, ponieważ owego lata tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku wyjątkowo dużo włoskich okrętów podwodnych nie wracało po akcjach do portu w Bordeaux.

Okręt „Gluco” wypłynął w kierunku Morza Śródziemnego dwudziestego czwartego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, trzy dni później został zaatakowany w Cieśninie Gibraltarskiej i poszedł na dno na zachód od Tangeru. Ośmiu członków załogi utonęło, czterdziestu dwóch trafiło do niewoli.

Czwartego lipca „Michele Bianchi” wyruszył z misją do nieznanego celu, ale zaraz przy ujściu Żyromy został zatopiony razem z wszystkimi sześćdziesięcioma ludźmi na pokładzie.

„Maggiore Baracca” został zatopiony pod Gibraltarem ósmego września. Dwudziestu ośmiu marynarzy utonęło, trzydziestu dwóch trafiło do niewoli.

Na początku października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku wypłynął z portu okręt „Guglielmo Marconi”. Z nieznanych powodów zatonął u wybrzeży Portugalii z wszystkimi sześćdziesięcioma ludźmi na pokładzie.

W październiku niespodziewanie zawitała do Akwitanii jesień z burzami i wielotygodniowym deszczem. Laura wypowiedziała angaż w Singe Dansant i pożegnała się z właścicielką pensjonatu. Następnie ze swoją torbą podróżną udała się w kierunku południowym do dużego piniowego lasu, na którego przeciwległym końcu na drugi dzień czekał na nią pewnie wieśniak w czerwonym traktorze.

Stacjonująca w Bordeaux włoska flotylla okrętów podwodnych, mimo że nadal w nie mniejszym zakresie uczestniczyła w operacjach, w następnych miesiącach nie odnotowała już jednak kolejnych strat.

*

A potem trzeba było tę bombę atomową, skoro już została wymyślona, także zbudować.

Od wybuchu wojny Felix Bloch nie miał kontaktu ze swoimi kolegami fizykami w Niemczech. Na pewno jednak czytał w gazetach, że Heisenberg i von Weizsäcker pracują w Berlinie nad maszyną uranową, możliwe także, iż dowiedział się, że podczas ostatniej wizyty u Nielsa Bohra w Kopenhadze obaj mówili o bliskim już ostatecznym zwycięstwie i biologicznej konieczności wojny. Być może wiedział też, że von Weizsäcker złożył w Berlinie wniosek o patent na bombę plutonową i że Wehrmacht w trakcie grabieżczego marszu przez Europę zwoził, skąd tylko mógł, wszelki dostępny uran. Wprawdzie dla każdego rozsądnie myślącego człowieka najpóźniej od Pearl Harbor, a już na pewno od Stalingradu było jasne, że Niemcy przypominają szachistę, który ma dwie wieże mniej od przeciwnika, ale bomba atomowa, co było równie jasne, umożliwiłaby mu ponowne włączenie do gry obu wież. A może i dodatkowego hetmana.

Taka była sytuacja, gdy pewnego wiosennego dnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Robert Oppenheimer przyjechał do Palo Alto i poprosił Felixa Blocha, żeby również tego lata zrezygnował z wakacji na plaży i udał się z nim na pustynię w Nowym Meksyku, gdzie w tajnym miejscu, niezaznaczonym na żadnej mapie, mieli pracować nad skonstruowaniem bomby atomowej. I to nie tylko w ciągu lata, ale także przez resztę roku i dłużej, przez czas nieokreślony.

Nie wiadomo, jak brzmiała pierwsza odpowiedź Blocha. Nie wiadomo, czy Oppenheimer przedstawił mu tę prośbę na uniwersytecie, czy w domu przy Emerson Road, i czy spotkanie odbyło się rano, po południu, czy wieczorem. Nie wiadomo, czy była przy tym żona Felixa, Lore, jak również czy bliźniaki już spały, czy jeszcze nie. Nie wiadomo, czy rozmowa odbyła się w ogrodzie, na werandzie, czy wewnątrz domu – czy też panowie wybrali się na spacer, żeby mieć pewność, że ich słowa nie trafią do niepożądanych uszu.

Nie wiadomo również, czy rozmowa trwała krótko, czy długo, czy był to oszczędny w słowach męski dialog, czy gorąca debata dwóch uczonych, spierających się o najgłębszy sens swojej dyscypliny. Nic nie wiadomo o tej rozmowie, która musiała być najważniejszą i najtrudniejszą rozmową w życiu Felixa Blocha, ponieważ w owej godzinie miał udzielić wiążącej odpowiedzi na pytanie, czy w służbie wolności, ludzkości i pokoju światowego może wziąć na swoje sumienie – tak czy nie? – nie tylko spekulacje nad najstraszliwszą w dziejach

ludzkości maszyną do zabijania, ale także faktyczną pracę nad jej skonstruowaniem. I czy jako europejski Żyd – tak czy nie? – jest uprawniony lub nawet zobowiązany do zwalczania nazistowskiego ludobójstwa wszelkimi dostępnymi sposobami, choćby chodziło nawet o zbudowanie broni masowej zagłady, przy porównaniu wielokroć przewyższającej skutecznością gaz bojowy Fritza Habera z pierwszej wojny światowej.

Nic o tym nie wiadomo, ponieważ Felix Bloch w całej swojej spuściźnie, która liczy wiele tysięcy stron, nie wspomina ani słowem o tym jakże trudnym pytaniu, na które musiał odpowiedzieć także przed swoim sumieniem. W żadnym z jego artykułów, listów i notatek, które starannie uporządkował i przekazał potomności w Stanford Library, nie znajdziemy ani jednego jego słowa o bombie atomowej. Aż tak sumiennie temat został pominięty – aż tak starannie, wypadałoby przypuszczać, usunięto każdy skrawek papieru – że nie pada nawet nazwisko Oppenheimera, który był przecież przez dziesięć lat jego najbliższym przyjacielem i naukowym powiernikiem.

Mimo to można stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa najważniejsze fakty dotyczące tej rozmowy: po pierwsze, że istotnie się odbyła, i po drugie, że Felix Bloch na oba wspomniane, jakże doniosłe pytania odpowiedział dwa razy „tak”. A gdyby faktycznie zadał sobie pytanie, czy trzysta lat badań w dziedzinie fizyki rzeczywiście osiągnęło apogeum w budowie bomby atomowej, Oppenheimer rozwiałby jego wątpliwości, zauważając na koniec, że poza wszelkimi rozważaniami filozoficznymi w aktualnej sytuacji geopolitycznej ostatecznie chodzi tylko o jedno – a mianowicie o kwestię, kto pierwszy będzie dysponował bombą atomową: Hitler czy Ameryka.

Rozmowa ta musiała przebiegać właśnie tak lub bardzo podobnie. Faktem jest, że Lore i Felix Blochowie wczesnym latem tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – możliwe, że pod koniec czerwca, na początku wakacji – spakowali walizki i zabrawszy swoich bliźniaków, którzy mieli po dwa i pół roku, wyruszyli na pustynię Nowego Meksyku.

Z uwagi na konieczność zachowania tajemnicy Oppenheimer polecił Blochowi nie kupować od razu biletów do Santa Fe na małej stacji kolejowej w Palo Alto, ale nabywać nowe bilety podczas każdej z przesiadek w Bakersfield, Albuquerque i Lamy. Jazda trwała w sumie czterdzieści cztery godziny. Późnym rankiem trzeciego dnia podróży Felix Bloch wraz z rodziną przybył do dawnej stolicy Nowego Meksyku.

Santa Fe było jeszcze wtedy spokojnym hiszpańskim miasteczkiem z dawno minionych czasów. Na rynku rosły stare, dające cień drzewa, pod nimi stały żeliwne parkowe ławki, na których o każdej porze dnia mężczyźni w każdym wieku odbywali sjęstę. Grupki młodych kobiet o czarnych włosach i jaskrawoczerwonych wargach w kolorowych spódnicach paradowały wokół

obelisku pośrodku parku i rozglądały się nieśmiało za ewentualnymi wielbicielami. Na stopniach katedry Świętego Franciszka bawiły się dzieci, na werandzie pałacu gubernatora siedziały indiańskie kobiety z dziećmi w kolorowych chustach związanych na plecach, oferujące na sprzedaż wyroby garncarskie i ozdoby.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku do zaspanego miasta przybyło wyjątkowo wielu obcych. Większość z nich stanowili miastowi ludzie o bladych twarzach z Północy, z których prawie żaden nie znał hiszpańskiego, a wielu mówiło po angielsku z europejskim akcentem. Niektórzy przyjechali sami, a niektórzy we dwoje, wielu miało ze sobą dzieci i razem z walizkami taszczyło dziwne przedmioty, jak: miotły, wiadra, lustra, rośliny doniczkowe i wózki dziecięce.

Codziennie rano na tych miastowych ludzi przy East Palace Avenue czekał stary szkolny autobus, na którym widniał napis „US Army” wymalowany błyszczącymi czerwonymi literami. Przysadzisty żołnierz pomagał kobietom w załadunku sprzętów domowych i dobrodusznie pozwalał, żeby nim komenderowały. Kiedy wszystko w środku było porządnie przywiązane, siadał za kierownicą i liną konopną przywiązywał klamkę u drzwi do deski rozdzielczej. Następnie włączał pierwszy bieg i ruszał.

Autobus był zarezerwowany dla gości Roberta Oppenheimera; wczesnym latem tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku ponad tysiąc osób odbyło nim dwugodzinną jazdę do Los Alamos. Przede wszystkim byli wśród nich fizycy z rodzinami, ale także chemicy, eksperci od materiałów wybuchowych, biolodzy, mechanicy precyzyjni, inżynierowie elektrotechnicy, balistycy i metalurgowie. Szutrowa droga prowadziła po czerwonej ziemi obok fioletowych skał i przybrzeżnych raf w kolorze ochry w kierunku północno-zachodnim pod górę do dawnego internatu dla chłopców w Los Alamos, leżącego na wysokości dwóch tysięcy trzystu metrów nad poziomem morza na skraju krateru potężnego wygasłego wulkanu. W oddali ciągnęły się wysunięte najdalej na południe lawendowe odnogi gór Sangre de Cristo, obok rysował się ponuro czarny bazaltowy masyw płaskowyżu Black Mesa. Wśród skał znajdowały się indiańskie puebla. Niektóre były opuszczone i w ruinie, inne zamieszkane. Tu i ówdzie przy glinianych ścianach rozwieszono do suszenia strąki czerwonego pieprzu, na placikach przed budynkami leżała w słońcu żółta, niebieska, biała i czarna kukurydza.

Wąski drewniany most prowadził ponad czerwonymi nurtami Rio Grande, potem droga wiodła stromo pod górę. Kwitły kaktusy, grzechotniki ukrywały się w kępach bylicy pustynnej. Nagle za zakrętem w potężnych chmurach kurzu dał się słyszeć ryk ogromnych buldożerów US Army, które podkopywały fioletowe skały i rafy w kolorze ochry, żeby wyrównać drogę dla ruchu ciężkich pojazdów.

Autobus z trudem wspinał się bez końca pod górę. Kiedy dojechał na skraj

krateru, szosa poprowadziła już prosto do Los Alamos, które w ciągu niewielu tygodni straciło wszelkie podobieństwo do internatu dla chłopców i rozrosło się w miasto baraków dla tysiąca mieszkańców. Otoczono je szczelnie drutem kolczastym w promieniu sześciu kilometrów, od wschodu i od zachodu znajdowały się bramy wejściowe i blokady dróg. Żandarmi z pistoletami maszynowymi skontrolowali pasażerów i omietli niemymi spojrzeniami wnętrze autobusu, po czym sierżant dał sygnał, że mogą jechać dalej.

Kiedy autobus zatrzymał się przed dawnym budynkiem szkolnym, Oppenheimer stał już przed nim gotów powitać nowo przybyłych. Poklepywał mężczyzn po plecach i wypytywał ich żony, jak upłynęła podróż, powtarzał swoje „tak... tak, tak... tak” i podawał każdemu po kolei ogień zapalniczką. Następnie przywołał żołnierzy, którzy zajęli się bagażami i wskazali wszystkim kwatery.

Felix i Lore Blochowie zamieszkali niedaleko wieży ciśnień w apartamentowcu T124 – dwupiętrowym, zbudowanym naprędce i pomalowanym na seledynowo drewnianym domu dla czterech rodzin. W kuchniach stały kopzące piecyki na drewno, które pochodziły z zapasów wojskowych. Wszystkie salony były urządzone tak samo skromnie, sypialnie wyposażone w łóżka polowe. Na kołdrach i prześcieradłach widniały wyraźne czarne nadruki „USED”, co znaczy „United States Engineer Detachment”.

W Los Alamos Felix i Lore Blochowie na pewno nie narzekali na samotność. Sąsiedzi za cienkimi ścianami byli ich starymi przyjaciółmi. Obok na parterze mieszkał Edward Teller, który w Lipsku gotował Felixowi herbatę w piwnicy do gry w ping-ponga, a tuż przed przyjazdem wystraszył tajne seminarium w Berkeley wizją pożaru świata. Na pierwszym piętrze zakwaterował się fizyk Robert Brode, którego Felix poznał już jako studenta w Getyndze, a potem spotykał w Berkeley jako członka Monday Evening Journal Club. W bezpośrednim sąsiedztwie mieszkali też Robert Oppenheimer i Hans Bethe, trochę dalej zuryski fizyk Hans Staub oraz matematyk John von Neumann, z którymi Felix studiował na ETH.

Przeważnie przyjechali z żonami, wielu z dziećmi, a dla wszystkich było jasne, że za sprawą pobytu w Los Alamos mają dostęp do najważniejszych tajemnic i muszą tam zostać do końca wojny. Średnia wieku wynosiła dwadzieścia dziewięć lat, nie było prawie nikogo po czterdziestce, a wskaźnik urodzeń w Los Alamos znacznie przewyższał średnią krajową przez wszystkie lata wojny. Oppenheimer i Bloch wraz z Serberem i Bethem należeli do najstarszych, przynajmniej do przyjazdu Enrica Fermiego i Nielsa Bohra.

Wszyscy przyjechali, żeby pracować, w Los Alamos prawie nie było emerytów ani chorych, żadnych bumelantów, artystów czy spekulantów, żadnych nicponi, pasożytów i kieszonkowców, żadnych symulantów, łowców spadków ani innych miglanców. O siódmej rano wyły syreny, potem mężczyźni śpieszyli do laboratoriów, które znajdowały się na obrzeżach osady w ściśle chronionych

strefach. Dzieci chodziły do szkoły albo były prowadzone do żłobka, kobiety pracowały w biurach, kantynach, bibliotekach lub szkołach. Panowała atmosfera jak na obozie letnim.

Codziennie przybywali nowi fachowcy, transportery wojskowe zwoziły codziennie wielotonową aparaturę z najodleglejszych zakątków USA; w samym tylko lipcu przyjechały do Los Alamos cztery najwydajniejsze i największe w świecie akceleratory cząstek: postawiono je w specjalnie dla nich zbudowanych barakach na specjalnych betonowych fundamentach.

Felix Bloch pracował z Edwardem Tellerem i Johnem von Neumannem nad mechanizmem zapłonowym, w którym z radioaktywnego izotopu formowano wydrążoną kulę i za pomocą implozji mocno go zagęszczano w bardzo krótkim czasie, aby osiągnął pełną masę krytyczną, niezbędną do rozpoczęcia reakcji łańcuchowej, unikając jednak przedwczesnej detonacji. Ich zadaniem było teoretyczne ustalenie, a następnie eksperymentalne udowodnienie, że jest to możliwe. Wyliczenie skierowanych ze wszystkich stron do wewnątrz fal uderzeniowych okazało się matematycznie nadzwyczaj trudne i zajęło im wiele tygodni, ponieważ nie mieli jeszcze do dyspozycji kalkulatorów.

Po zakończeniu wyliczeń nastąpił etap eksperymentalnego potwierdzenia. Felix Bloch i jego koledzy budowali małe bomby z metalowych kul, które otaczał materiał wybuchowy, znosili je do kanionu o stromych ścianach i kładli na płycie z ciężkiego żelbetu. Potem chowali się na specjalnie urządzonej dla nich stanowisku ogniowym i zatykali uszy.

Kiedy między skalnymi ścianami przebrzmiało echo detonacji i rozwiął się dym, wychodzili z ukrycia i zbierali szczątki metalowej kuli. Pierwsze próby wydawały się mało zachęcające. Kule nie były ściskane równomiernie wskutek detonacji, tylko rozszarpywane na odłamki o najbardziej nieobliczalnych kształtach.

Mężczyźni wrócili więc do laboratorium, odłożyli kule i zaczęli projektować bomby w kształcie rury w nadziei, że w ten sposób zmniejszą o jeden wymiar przeciwbieżność fal uderzeniowych.

O godzinie osiemnastej syreny wyły znowu, obwieszczając koniec pracy, i wszyscy szli do domu. Wiezorami spotykano się na koktajlach w stołówce dawnej szkoły dla chłopców. Mieszkańcy Los Alamos, przeważnie ludzie po studiach, przywykli do życia towarzyskiego miast uniwersyteckich; ponieważ na pustyni Nowego Meksyku prawie nie było rozrywek, organizowali na własną rękę koncerty, projekcje filmowe i przedstawienia teatralne oraz wieczorki taneczne jeden po drugim bez końca, a od czasu do czasu taneczne występy gościnne Indian, którzy w ciągu dnia pracowali jako palacze centralnego ogrzewania, rzemieślnicy lub posługacze na potrzeby naukowców. Pewnego razu grupa fizyków entuzjastów teatru wystawiła spektakl *Arszenik i stare koronki*, w którym Oppenheimer grał

pierwszego trupa w skrzyni, a Edward Teller drugiego. Około północy wracano do domu ciemnymi, nieoświetlonymi szutrowymi ulicami. Kiedy świecił księżyc, pinie rzucały czarne cienie.

Nocą w Los Alamos robiło się cicho, wszyscy spali za ogrodzeniem z drutu kolczastego, które otaczało osadę szerokim kołem. Wzdłuż ogrodzenia patrolowali teren milczący żołnierze, w oddali wyły szakale. Od czasu do czasu padał strzał. W takie noce Felix Bloch długo nie mógł zasnąć i dziwił się, że niczym uczeń podpala teraz małe bomby w ustronnych wąwozach. Ze zdziwieniem stwierdzał, że choć koniecznie chciał robić w życiu coś w służbie pokoju i zupełnie niepotrzebnego w aspekcie techniki wojennej, to jednak wylądował tutaj, za drutem kolczastym. I niekiedy zadawał sobie pytanie, kogo właściwie chroni ten drut kolczasty: Los Alamos przed światem czy świat przed Los Alamos.

Także jego sąsiad Edward Teller często jeszcze nie spał późnym wieczorem. Nocną porą miał zwyczaj grać na fortepianie Steinwaya, który jego żona nabyła na licytacji w jakimś hotelu i nieznanymi drogami sprowadziła z Chicago. Teller był wirtuozem i namiętym pianistą, jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku grał niezmiernie *Rapsodię Węgierską* Nr 12 Liszta. Dźwięki przenikały na zewnątrz przez cienkie ściany i pośród ciszy było je słyszeć daleko na równinie aż po wzgórza i wewnątrz ciemnych kanionów, gdzie spoczywały dawne opuszczone indiańskie puebla.

Rozdział trzynasty

Kiedy Laura d'Oriano dwunastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku wróciła do wolnej strefy, pojechała prostą drogą do Nicei i odwiedziła komisarza Cottoniego w biurze, które znajdowało się przed dworcem przy avenue Georges Clemenceau. Ze zdziwieniem przyjęła do wiadomości, że mały Korsykanin wstał i zaszalutował, gdy weszła do jego biura, i że poklepał ją po plecach jak żołnierza, który wyróżnił się dzielnością w walce.

Dyrekcja Nadzoru Terytorium jest bardzo zadowolona z pani pracy, rzekł i wręczył jej kopertę z siedmioma tysiącami franków. Generał de Gaulle kazał przekazać pani swoje osobiste podziękowanie.

To ja dziękuję, odpowiedziała Laura i schowała kopertę.

Chciałem panią prosić o nieopuszczanie miasta w najbliższym czasie. Możliwe, że wkrótce będziemy mieli dla pani nowe zadanie.

Skinęła głową i odwróciła się, chcąc wyjść, lecz Cotoni przytrzymał ją za łokieć.

Proszę powiedzieć, Lauro, dobrze się pani czuje?

Ależ tak, dziękuję.

Pewnie uzna mnie pani za osobę niedyskretną, ciągnął. Ale ma pani na twarzy ten specyficzny wyraz, który widuję u mojej żony.

Dokładnie tak, potwierdziła Laura. To pewnie to.

Tak, powiedział Cotoni. Niemniej moja żona nie zawsze go ma. Pani natomiast miała go już podczas naszego ostatniego spotkania. I podczas przedostatniego również, jeśli dobrze pamiętam.

Co robić, odparła Laura. Taki jest los kobiety.

Jak długo już?

Rok, może półtora. Wzruszyła ramionami. Raz silniej, raz słabiej.

W takim razie proszę zdjąć płaszcz i usiąść, powiedział Cotoni i chwycił za słuchawkę. Z czymś takim trzeba się rozprawić. W tym stanie nie mogę korzystać z pani usług.

Dziewiętnastego października pojechał z Laurą wozem służbowym do szpitala im. św. Dziewicy Orleańskiej, gdzie następnego dnia poddano ją operacji. Jakiego dokładnie rodzaju było jej schorzenie, nie da się już ustalić. Ale kilka tygodni później zeznała na przesłuchaniu, że wycięto jej ślepą kiszkę, a ponieważ jama brzuszna była już otwarta, od razu usunięto też macicę. Potem wyglądało na to, że nic już jej nie dolega.

Rachunek za szpital w wysokości ponad siedmiu tysięcy franków uregulował

komisarz Cotoni. Po operacji odpoczywała jedenaście dni w szpitalu, po czym kontynuowała rekonwalescencję w pokoju hotelowym. Cotoni zaglądał do niej codziennie, przynosił owoce i świeże mleko. Od czasu do czasu zabierał ją na obiad do restauracji i wtedy obstawał przy tym, żeby zamówiła duży kawałek mięsa.

Mięso i mleko były w owych czasach rzadkością, większość produktów rolnych zabierali niemieccy okupanci. Październik tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku to jednak także okres, kiedy niemieckie czołgi po raz pierwszy utknęły w rosyjskich błotach. Na Morzu Śródziemnym Churchill szykował się do kampanii przeciwko Włochom, a na Atlantyku amerykańskie okręty wojenne otrzymały od prezydenta Roosevelta rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do każdego okrętu niemieckiego lub włoskiego.

Kiedy Laura d'Oriano odzyskała siły, komisarz Cotoni wezwał ją do siebie do biura i przedstawił szczegóły następnej operacji. Pod fałszywym nazwiskiem miała pojechać do Włoch i odwiedzić porty wojenne w Genui i Neapolu. W Genui miała tylko pobieżnie zapoznać się z sytuacją, w Neapolu natomiast pozostać sześć tygodni i na bieżąco informować, jakie okręty wpływają i wypływają z portu.

Szóstego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku zaprowadził Laurę do agenta, który nazywał się Ćosić. Ten pojechał z nią srebrnoszarym panhardem do Briançon, najwyżej położonego miasta na wschodnim krańcu Alp francuskich, oddalonego od włoskiej granicy zaledwie dziesięć kilometrów i pięćset metrów różnicy wysokości.

Tam wzięli dwa sąsiednie pokoje w Auberge de la Paix i zachowywali się jak turyści. Wędrowali po zaśnieżonych lasach i spacerowali po starówce. Ćosić kupił jej norweski sweter, wełniane spodnie narciarskie i buty górskie. W kiosku wybierali widokówki, potem pili kawę na słonecznych tarasach. Wieczorami jadali w hotelowej restauracji chateaubrianda przy butelce dobrego wina.

Tak wyglądało to przez pięć dni. Drugiego dnia zapanowało w miasteczku poruszenie, ponieważ stacje radiowe podały wiadomość o japońskim ataku na Pearl Harbor. Piątego dnia znów zapanowało poruszenie, ponieważ Niemcy wypowiedziały wojnę Ameryce.

Tamtego wieczora – był jedenasty grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku – Laura d'Oriano długo stała przy oknie i patrzyła na uliczkę w dole. Miała na sobie nowy norweski sweter i wełniane spodnie narciarskie. Wcześniej pożegnała się z Ćosiciem. Ten przed wyjazdem wręczył jej włoską kartę identyfikacyjną, wystawioną na nazwisko Laura Fantini, do tego sfalszowane prawo jazdy i legitymację członkowską Narodowej Federacji Faszystowskich Związków Właścicieli Domów, a ponadto grubą kopertę z dziewięcioma tysiącami lirów wraz z napomnieniem, żeby wydawała je oszczędnie, w sposób niewzbudzający niepotrzebnej sensacji.

Tuż przed północą pojawił się w uliczce młody człowiek w czerwonej czapce z długim zwisającym rogiem, zatrzymał się pod oknem Laury i zaczął zacierać ręce, jakby marzył. To był umówiony znak. Laura zasnuowała górskie buty, zeszła hałaśliwie po schodach i mijając portiera z nocnej zmiany, pomachała mu, jakby wychodziła na przejażdżkę saniami albo na curling. Nie miała przy sobie żadnego bagażu.

Młody człowiek w czerwonej czapce nie przedstawił się jej, nie chciał też poznać jej nazwiska, tylko z rzadka otwierając usta, żeby coś powiedzieć, poprowadził ją przez miasto do drogi wiodącej ku przełęczy, gdzie za wałem z odgarniętego śniegu wyciągnął dwie pary rakiet śnieżnych i dwie góralskie laski. Pokazał jej, jak przywiązać rakiety do butów i posuwać się w nich po głębokim śniegu tak, żeby oszczędzać siły, po czym ruszył przodem w kierunku Col de Montgénévre, która od dwóch miesięcy była zamknięta z powodu zimy.

Nocny marsz po stromej przełęczy w głębokim śniegu trwał pewnie siedem do dziewięciu godzin i musiał być bardzo męczący dla Laury d'Oriano, która nie widziała w życiu zbyt wiele śniegu i chyba nigdy prawdziwej góry. Według informacji francuskiego instytutu meteorologicznego noc z jedenastego na dwunasty grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku nie była jakoś szczególnie zimna, ale wiał silny północno-zachodni wiatr, a na wysokości około tysiąca ośmiuset metrów spadło do trzydziestu centymetrów śniegu.

Tuż po świcie Laura i jej przewodnik dotarli pewnie na szczyt przełęczy i w zamieci śnieżnej przekroczyli granicę, a następnie po stronie włoskiej zeszli do wioski granicznej Cesana. Tam byli oczekiwani w pensjonacie Croce Bianca przez gospodynię, która nie stawiała wielu pytań i od razu dała Laurze pokój, żeby odpoczęła kilka godzin. Norweski sweter, spodnie narciarskie i górskie buty Laura pozostawiła swojemu przewodnikowi. Ten miał przechować jej rzeczy do czasu, gdy będzie wracała za sześć tygodni i przekraczała przełęcz w odwrotnym kierunku.

Rakiety śnieżne zostawiła w pensjonacie, jakby zapomniała je zabrać. W południe podeszła do szosy wiodącej do miasta i o godzinie dwunastej trzydzieści wsiadła do autobusu, który zawiózł ją z gór na niziny do dworca głównego w Turynie. Tam złapała najbliższy pociąg pośpieszny do Genui, a gdy znów pojawiło się Morze Śródziemne i pociąg wjechał na dworzec Piazza Principe w starym mieście portowym, poczuła się już znowu prawie jak w domu.

Ćosić dał jej list polecający do niejkiej Marii Talii, która prowadziła mały pensjonat przy via San Donato 2 na skraju Starego Miasta, niedaleko portu. Kiedy Laura tam się zjawiła, w odległości kilku kroków obok zaparkowanego samochodu stało dwóch mężczyzn, którzy palili papierosy, gestykulowali i rozmawiali o piłce nożnej. Laura nie zwróciła na nich uwagi.

Jak miała się dowiedzieć dwa tygodnie później, owi dwaj mężczyźni byli

urzędnikami włoskiej tajnej policji. Przez cały dzień czekali na via San Donato, ponieważ od agenta kontrwywiadu z Nicei otrzymali wiadomość, że w piątek dwunastego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku do pensjonatu Marii Talii przybędzie francuska agentka z siatki niejakiego Ćosicia. Kiedy Laura zniknęła wewnątrz budynku, wsiedli do auta i nie spuszczali z oka drzwi pensjonatu. Tylnego wyjścia nie było, sprawdzili to po południu. W porze posiłku poszli coś zjeść do osterii na rogu, ale obserwowali przez okno, co dzieje się na ulicy. Następnie usiedli z powrotem w aucie i palili papierosy. O północy przyszli zmiennicy.

Laura d'Oriano pojawiła się dopiero następnego ranka dwanaście minut przed dziewiątą. Poszła via San Donato obok Wydziału Architektury i obok Teatro Nazionale aż do ulicy wiodącej do portu, gdzie w barze Santa Lucia zamówiła kawę i brioszkę. Podejrzenie często patrzyła przez okno na basen portowy, z nikim jednak nie nawiązywała kontaktu. Także z kelnerem zamieniła tylko dwa słowa.

Potem wróciła do śródmieścia i, śledzona cierpliwie przez dwóch tajniaków, ruszyła na długi spacer połączony z zakupami w najróżniejszych sklepach specjalistycznych: rozpoczęła go o wpół do dziesiątej, a skończyła dopiero o wpół do pierwszej, kiedy zamykano sklepy na przerwę obiadową. Najpierw po długim sprawdzaniu różnych modeli nabyła lekką damską torbę podróżną firmy Il Ponte, potem zaś rozmaite damskie ciuszki i artykuły kosmetyczne najwyższej jakości, które zapakowała do swojej nowej torby. W ciągu tych trzech godzin z nikim nie nawiązała kontaktu, także z personelem sklepowym wymieniała jedynie zwyczajowe uprzejmości.

W drodze powrotnej na via San Donato kupiła w jakiejś piekarni *panino al prosciutto crudo*, którą zjadła w swoim pokoju. Po jej wyjeździe zabezpieczono papier do zawijania i słoninę z szynki znalezione w koszu na papiery. Sobotnie popołudnie i wieczór spędziła w pensjonacie. Według informacji Marii Talii nie przyjmowała żadnych wizyt, nie utrzymywała też kontaktów z żadnym innym gościem pensjonatu.

W niedzielę rano, czternastego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, wyszła z domu o dziewiątej pięćdziesiąt trzy, kiedy dzwony z San Donato zaczęły dzwonić na mszę. Weszła do kościoła i usiadła w trzeciej ławce od końca po lewej stronie. Siedziała tam sama do końca mszy, w której brała aktywny udział. Wydawało się, że zna biegle język włoski, gdyż pieśni i modlitwy brzmiały w jej ustach wiarygodnie, podeszła także z innymi wiernymi do ołtarza i przyjęła komunię świętą.

Po mszy poszła tak samo jak poprzedniego dnia do portu i zamówiła kawę i brioszkę w barze Santa Lucia. Następnie spacer do bramy portu marynarki wojennej. Przed szlabanem stało dwóch wartowników. Kiedy d'Oriano ich zagadnęła, zabronili jej wstępu.

Potem powrót do pensjonatu Talia. Żadnych specjalnych wydarzeń aż do wieczora. O dwudziestej drugiej osiemnaście d'Oriano ponownie wyszła z domu, tym razem z nową torbą podróżną, i udała się bezpośrednio na dworzec Piazza Principe. W hali dworcowej kupiła bilet drugiej klasy na nocny pociąg do Neapolu. Tuż przed odjazdem pociągu wrzuciła do skrzynki pocztowej list, a wtedy dwóch tajniaków się rozdzieliło. Jeden podążył za nią na peron i po odjeździe pociągu o dwudziestej trzeciej czternaście przysiadł się do jej przedziału, a w tym czasie drugi otworzył skrzynkę pocztową i przechwycił list. List znajdował się w różowej kopercie i był adresowany do Emilia Braydy z Turynu.

Najdroższy,

niecierpliwie czekam na nowiny od Ciebie, proszę, daj rychło znać, co z Tobą. Znasz mnie przecież i wiesz, że w przeciwnym razie jestem nieszczęśliwa i zawsze od razu wyobrażam sobie najgorsze. Gdybyś wiedział, jak bardzo się boję! Proszę, napisz mi, że wszystko w porządku i że nie zapomniałeś o mnie. Modłę się codziennie do Matki Boskiej za nas i mam gorącą nadzieję, że wysłucha moich modlitw.

Całuję Cię, całuję, całuję.

Twoja Antonia

Tajniak zaniósł list do komisariatu i podgrzał go zwyczajnym żelazkiem, które trzymano tam do takich celów, dopóki papier listowy nie zaczął brązowieć i pomiędzy linijek miłosego listu nie wyłoniła się druga, dotąd niewidzialna wiadomość, która została napisana drukowanymi literami za pomocą rozpuszczonej w wodzie soli i po dziś dzień można ją oglądać we włoskim archiwum państwowym w Rzymie.

Port w Genui STOP

4 ścigacze STOP

Krążownik Roma przebudowany na lotniskowiec STOP

Bardzo trudno we wszystkim się połapać STOP

Dalsza podróż do Neapolu STOP KONIEC.

Nocna jazda koleją do Neapolu przebiegała bez specjalnych wydarzeń, pociąg przyjechał na dworzec Napoli Centrale w poniedziałek rano, piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, o dziesiątej trzydzięci. Kiedy Laura d'Oriano rozglądała się na placu dworcowym za taksówką, zagadnął ją jakiś żołnierz i zaprosił na kawę. Podziękowała i odmówiła, zapytała jednak

żołnierza, czy cywile mogą wchodzić na teren portu. Gdy nie potrafił jej odpowiedzieć na to pytanie, przywołała taksówkę i wsiadła.

W konsekwencji żołnierz został zatrzymany przez policję i zaprowadzony do komisariatu dworcowego w celu przesłuchania. Tam zdołał wiarygodnie wytłumaczyć, że nie zna kobiety, a zagadnął ją tylko dlatego, że rzuciła mu się w oczy, bo miała tlenione włosy i była dobrze ubrana.

Taksówka pojechała prosto do pensjonatu Lombardi przy via Angiporto, gdzie Laura wprowadziła się do pokoju na czas nieokreślony i zapłaciła czynsz za miesiąc z góry. Przez następne dwa dni znów wędrowała po Starym Mieście i spacerowała wzdłuż portu, nie kontaktując się z nikim.

Wieczorem szesnastego grudnia poszła do kina i wdała się w rozmowę z jakimś podoficerem w mundurze. Również on zapewniał później podczas przesłuchania na policji, że nigdy wcześniej nie widział jej na oczy, nie rozmawiał z nią także o sprawach wojskowych.

Po kinie Laura d’Oriano wróciła prostą drogą do pensjonatu. Przez resztę nocy nie odnotowano żadnych specjalnych wydarzeń.

Wczesnym rankiem siedemnastego grudnia niespodziewanie opuściła pensjonat jeszcze przed świtem, udała się na dworzec główny i kupiła bilet na pociąg pośpieszny do Rzymu odjeżdżający o godzinie siódmej trzydzieści. Tuż przed odjazdem znowu wrzuciła list do skrzynki.

Drogi Kuzynie,

poniżej kreślę parę słów, żeby Cię poinformować, że moja żona czuje się już lepiej. Przeżywalismy chwile strachu z powodu tej choroby, która dzięki Bogu minęła, miejmy nadzieję, że na zawsze. Przede wszystkim Mama jest zadowolona, że nie będzie już musiała przeżywać takiego strachu.

Mamy nadzieję, że niebawem zobaczymy Cię znowu, wtedy wyjaśnię Ci wszystko dokładniej. A Ty? Jak się miewasz? Mam nadzieję, że dobrze. Daj znać, zawsze bardzo się cieszymy z wiadomości od Ciebie.

Papa Cię ściska, wszyscy w domu serdecznie Cię pozdrawiają. A ja przybijam Ci mocną piątkę.

Do zobaczenia wkrótce!

Bartoly

Również ten list był podgrzewany gorącym żelazkiem, dopóki nie zbrązował. Między wierszami pojawił się tekst:

Port w Neapolu STOP

1 niszczyciel, dwa okręty szpitalne STOP
Ogromne trudności, ledwo co widać STOP
Muszę odwiedzić matkę STOP KONIEC.

Jazda koleją z Neapolu do Rzymu trwała trzy godziny i sześć minut. Przez całą drogę Laura d’Oriano, nie wiedząc o tym, siedziała naprzeciwko tajniaka, który po przybyciu na dworzec Roma Termini przekazał śledzenie Laury swojemu rzymskiemu koledze. Ten podążał za nią aż do mieszkania rodziców przy Largo Brancaccio numer 83. Odtąd dom był pod stałą obserwacją przez całe dziesięć dni odwiedzin Laury. Ponieważ jednak prawie nie wychodziła z domu, nie przyjmowała żadnych wizyt i nie pisała listów, raporty tajniaków były bardzo krótkie i dostarczały skąpych informacji. Nigdy się nie dowiemy, co działo się w tamtych dniach.

Można przypuszczać, że wielka była radość z ponownego spotkania, gdy Laura po półtorarocznym niewidzeniu bez zapowiedzi zadzwoniła do drzwi, i że matka i córka obejmowały się i tuliły do siebie już w progu, i że pewnie uroniono przy tym także parę łez. Poza tym można założyć, że matka zaprowadziła Laurę do salonu, posadziła na kanapie i wmusiła w nią herbatę lub ajerkoniak i herbatniki. Laura pewnie się zdziwiła, że matka mieszka sama w wielkim mieszkaniu. A wtedy matka opowiedziała jej, jak doszło do tego, że członkowie rodziny opuścili ją jeden po drugim.

Bracia Laury już podczas rejsu z Marsylii do Rzymu w ciągu jednej nocy stali się płomiennymi zwolennikami faszyzmu. Natychmiast po przybyciu do brzegu w porcie Ostia wpadli do najbliższego biura rekrutacyjnego i dali się przydzielić do pułku piechoty, który niewiele później wysłano do Afryki Wschodniej. Od tej pory przysyłali matce listy skreślone niemal identycznym charakterem pisma i o niezmiennie nic niemówiącej treści z Massawy, Adui i Addis Abeby.

Obie dziewczyny pogrzebały w Rzymie swoje marzenia o rosyjskich księżętach i polubiły eleganckich wysportowanych mężczyzn w czarnych koszulach i wypastowanych butach z cholewkami. Jedna wyszła za mąż za księgowego z Ministerstwa Finansów i przeniosła się do Palermo, druga wywędrowała do Grecji i została pomocniczą pielęgniarką na okręcie szpitalnym.

Wreszcie ojciec przed kilkoma miesiącami wyjechał do Albanii w interesach, mając nadzieję, że pozwolą one postawić rodzinę z powrotem na nogi. Ostatnie pieniądze zainwestował w drukarnię w Tiranie, która specjalizowała się w nutach i mogła zapewnić najwyższą jakość usług po konkurencyjnych cenach – a właściwie mogłaby, gdyby w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku nie skończyły się jej papier i czernidło drukarskie, ponieważ na tkwiącym w kryzysie rynku światowym nie można już było znaleźć dostawców.

Możliwe, że opowieść matki zajęła kilka godzin i że Laura kazała sobie to i owo opowiadać dwa lub trzy razy, by się upewnić, że wszystko dobrze rozumiała. Bardzo możliwe, że matka i córka przeniosły się potem do kuchni i przygotowały posiłek, na przykład *parmigianę* albo *spaghetti aglio e olio*, a do czasu udania się na spoczynek wspominały zabawne anegdoty rodzinne. Może kiedy wypily jeden ajerkoniak lub dwa, zaśpiewały jeszcze parę pieśni, po czym poszły spać. Można sobie wyobrazić, że następnego dnia przy śniadaniu, popijając kawę, podjęły przerwana rozmowę i streściły wszystko, co omówiły w przeddzień, i że potem grały w karty, załatwiły, co było w domu do zrobienia, uczesały sobie nawzajem włosy lub oglądały fotografie z dawnych czasów.

Wszystko to można sobie wyobrazić, ale nie wiadomo, czy tak było, bo policjanci przed domem przez dziesięć dni prawie nie widywali Laury. Co rano matka i córka chodziły na zakupy do sklepiku na rogu, po czym znikaly z powrotem w mieszkaniu. Nigdy nie wychodziły wieczorem, nikt ich nie odwiedzał – także w Wigilię ani w Boże Narodzenie, ani w drugi dzień świąt.

Po dziesięciu dniach funkcjonariusze śledczy byli pewni, że agentka Laura d’Oriano nie będzie prowadzić w stolicy działalności szpiegowskiej ani kontaktować się z oficerami prowadzącymi, bo przyjechała do Rzymu wyłącznie z powodów rodzinnych.

W celu rozwiania ostatnich wątpliwości zostawili ją jednak w spokoju jeszcze dwudziestego siódmego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy rankiem wróciła z torbą podróżną na dworzec i kupiła bilet drugiej klasy do Neapolu. A ponieważ tym razem nie wrzuciła listu do skrzynki pocztowej, dwaj tajniacy nie musieli się rozdzielać, tylko przysiedli się do niej do przedziału i zajęli miejsca obok siebie na wypadek, gdyby jednak próbowała nawiązać z kimś kontakt w pociągu.

Ale gdy pociąg ruszył o wpół do jedenastej, Laura d’Oriano nadal była sama i pozostała sama przez całą półgodzinną podróż do pierwszego postoju na stacji w Littorii. Kiedy pociąg się zatrzymał, zaczęła wyglądać przez okno i obserwować wysiadających pasażerów. Na peronie stało wyjątkowo wielu karabinierów z pistoletami maszynowymi zwróconymi w stronę pociągu. Dwóch mężczyzn w skórzanych czarnych płaszczach przeszło obok nich szybkim krokiem i wsiadło do pociągu.

Parę sekund później wkroczyli do przedziału Laury. Zasalutowali, przedstawili się jako *maresciallo* Riccardo Pasta i *maresciallo* Giovanni Spano i poprosili ją o dokument tożsamości. A potem aresztowali ją jako podejrzaną o wojskową działalność szpiegowską przeciwko Królestwu Włoch.

Laurze d’Oriano założono kajdanki, następnym pociągiem zawieziono ją do Rzymu i umieszczono w tchnącym wilgocią więzieniu Regina Coeli, które było kiedyś żeńskim klasztorem zbudowanym w siedemnastym wieku. Boczne skrzydło

było zarezerwowane dla Ovry, tajnej policji Mussoliniego, która trzymała tam więźniów politycznych w pojedynczych celach i prowadziła przesłuchania.

Rozdział czternasty

Czas płynął też w Los Alamos. Felix Bloch z rodziną przez kolejne dni, tygodnie i miesiące żył w mieście, które oficjalnie nie istniało i nie było zaznaczone na żadnej mapie. Nie miało kodu pocztowego, telefonicznego numeru kierunkowego ani klubów sportowych, a jego mieszkańcy nie mieli prawa wyborczego, ponieważ nie mogli się pojawić w żadnym spisie wyborców, nie mieli też numerów telefonicznych, a pisane listy musieli przed wysłaniem przedkładać cenzurze wojskowej.

Felix Bloch starał się traktować jako część wielkiej skautowskiej zabawy, że dzień w dzień zawsze o tej samej godzinie musi pokazywać legitymację służbową na zawsze tych samych posterunkach kontrolnych, choć zawsze ci sami żandarmi znali go od dawna i pozdrawiali po imieniu. Starał się przymykać oczy na to, że ilekroć jego żona jechała na zakupy do Santa Fe, zawsze na każdym kroku śledziło ją dwóch agentów po cywilnemu, których mimo to z daleka rozpoznawano, bo byli zbyt dobrze ubrani w czarne garnitury, czarne kapelusze i szare krawaty na białych, zawsze świeżo wyprasowanych koszulach. Starał się przyjmować z humorem fakt, że nie pozwalano mu rozmawiać z synami w szwajcarskiej odmianie języka niemieckiego, ponieważ niepełnoletni żandarmi z Oklahomy uważali jego dialekt zuryski za język węgierski lub esperanto, lub jakiś inny sztuczny język. A gdy wieczorem kładł dzieci do snu na łóżkach polowych i przykrywał prześcieradłami, na których widniał czarny nadruk „USED”, przywoływał sam siebie do porządku i napominał się, że to wszystko dzieje się przecież w służbie wielkiej sprawy.

Jego eksperymenty z bombami w kształcie rury prowadzone w odległych kanionach poczyniły postępy. Metoda zapłonu implozyjnego została udoskonalona. Była skomplikowana, ale nadzwyczaj skuteczna. Oppenheimer nie krył zadowolenia, kiedy Felix Bloch, Edward Teller i John von Neumann zaprezentowali mu rezultaty pod koniec października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku.

Ostatnia trudność polegała na zdobyciu dwudziestu do trzydziestu kilogramów uranu 235 niezbędnych do budowy bomby atomowej. Na całym świecie nie było jeszcze takiej ilości sztucznego izotopu, ponieważ do jego wyizolowania z naturalnego uranu trzeba by zużyć mnóstwo energii, surowców oraz siły roboczej. Ministerstwo Wojny na odległych terenach Alaski wybudowało jednak z niczego ogromne fabryki i zatrudniło łącznie sto pięćdziesiąt tysięcy robotników, którzy produkowali bez przerwy uran 235 i pluton, nie mając najmniejszego pojęcia o ich przeznaczeniu.

W ciągu jednego tylko roku projekt bomby Roberta Oppenheimera rozrósł się od teoretycznych rozważań w kręgu najbliższych przyjaciół do najdroższego naukowego przedsięwzięcia w dziejach ludzkości. Nie było już żadnych zasadniczych przeszkód, wszystkie istotne problemy techniczne zostały rozwiązane. Równocześnie jednak rozwiązania techniczne dały też odpowiedź na wielkie pytania natury etycznej – lub przynajmniej sprawiły, że wątpliwości tego rodzaju wydawały się zbędne. Pierwsza na przykład – czy wolno zbudować bombę atomową tylko dlatego, że można to zrobić – okazała się niewarta roztrząsania, odkąd w tym celu wzniesiono z niczego całe miasta, zabudżetowano miliardy dolarów i zatrudniono sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Przerwanie przedsięwzięcia nie było już możliwe choćby ze względów finansowych.

Druga wątpliwość natury etycznej – czy wolno doprowadzić do eksplozji bomby atomowej tylko dlatego, że się ją posiada – nie była wprawdzie tematem dyskusji, lecz Felix Bloch domyślał się, że również na to pytanie udzielono odpowiedzi. Bomba rozpoczęła już swój żywot na świecie. Zostanie więc zbudowana i zdetonowana. Uniemożliwienie tego nie leżało już w jego mocy, jak i w mocy Roberta Oppenheimera, teraz nawet zjednoczone siły wszystkich naukowców z Los Alamos nie zdołałyby nic wskórać. Prawdopodobnie bombę zbudowano by nawet wtedy, gdyby Roosevelt, Churchill, Hitler, Stalin i Hirohito spotkali się jakimś cudem na konferencji pokojowej, żeby wspólnie i szczerze przysiąc, że na zawsze z niej zrezygnują.

Na nowo należało rozstrzygnąć kwestię, przeciwko komu właściwie Ameryka skieruje nową broń. Do niedawna dla każdego mieszkańca Los Alamos było oczywiste, że bombowiec B-29 zrzuci ją na Niemcy, żeby zatrzymać Holocaust i zakończyć wojnę światową. Jednak jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku nie było to już tak całkiem jasne. Coraz wyraźniej dało się bowiem przewidzieć, że alianci wygrają wojnę z bombą atomową albo i bez niej. Wojska amerykańskie i brytyjskie wylądowały na Sycylii, Mussolini został pozbawiony władzy, japońska marynarka wojenna, począwszy od bitwy o Midway, była w odwrocie. Alianckie bombowce wywołały burzę ogniową w Hamburgu, wojska sowieckie pędziły Wehrmacht z powrotem na zachód.

Na szachownicy Hitlera brakowało już nie tylko dwóch wież, ale także obu gońców, i nie miał on także szansy wprowadzenia z powrotem do gry hetmana w postaci siły atomowej. Wprawdzie Heisenberg, von Weizsäcker i Hahn pracowali w Berlinie nadal nad swoją maszyną uranową, lecz widać już było wyraźnie, że wyczerpane wojną Niemcy nigdy nie będą dysponować niezbędną ilością energii, siły roboczej i surowców, żeby przed końcem wojny wyprodukować wystarczająco dużo plutonu lub uranu 235.

Taka była sytuacja, kiedy Felix Bloch zakończył pracę nad zapłonem implozyjnym, w którym to celu Oppenheimer ściągnął go do Los Alamos. Wszyscy

inni pracowali nadal pod najwyższą presją. Właściwie Felix powinien się teraz zająć czymś nowym, gdyż trzeba było jeszcze rozwiązać wiele pomniejszych zadań natury rachunkowej. Były to jednak obliczenia, które potrafił wykonać każdy student fizyki. Do tego Oppenheimer go nie potrzebował.

Z dnia na dzień rosło prawdopodobieństwo, że wojna się skończy, zanim bomba będzie gotowa do użycia. W niedzielę Lore i Felix wybrali się na łono natury, szukając ciszy z dala od światowego hałasu. Bliźniaki zostawili pod opieką sąsiadów, samochód pożyczili od Tellerów. Ponieważ w górach leżał już śnieg, wyjechali przez zachodnią bramę miasta, a potem osiemnaście kilometrów przez Valle Grande, gdzie na dnie dawnego wulkanu rosła gęsta, zielona trawa. Zostawili samochód przy wejściu do Frijoles Canyon i wędrowali wąskim wąwozem między żółtymi sosnami, świerkami kłującymi i topolami drżącymi wzdłuż strumienia, gdzie wiewiórki, szopy pracze i skunksy jeszcze nie bały się człowieka, a sosny żółte, szukając światła, rosły wyżej niż gdziekolwiek indziej.

W wystrzelających w górę pionowo skalnych ścianach widać było tu i ówdzie opuszczone jaskinie mieszkalne, które dawno wymarłe plemiona indiańskie wykopały w miękkim tufie w ciągu stuleci. Teraz Lore i Felix byli sami. Do tego miejsca tajniacy nie poszli za nimi, ponieważ w kanionie nawiązanie kontaktu ze światem zewnętrznym było praktycznie niemożliwe.

Kiedy zrobili postój i zachowali milczenie, udało im się usłyszeć zmęczone jesienią grzechotniki, które szukały sobie miejsca na zimowy sen. A kiedy dotarli do końca wąwozu, gdzie Frijoles uchodziła do Rio Grande, zatrzymali się i obserwowali z czcią czerwoną rzekę i białe piaszczyste łąchy oraz wciąż jeszcze kwitnące kaktusy.

Musiało to być w jeden z pierwszych dni listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Felix Bloch udał się do biura Roberta Oppenheimera i poprosił o zgodę na opuszczenie Los Alamos. Nic nie wiadomo na temat treści tej rozmowy, ponieważ Bloch do końca życia nie wypowiedział się ani razu o swoim pobycie w Los Alamos, możliwe, że z uwagi na konieczność zachowania tajemnicy, do której armia zobowiązała go także po zakończeniu wojny. W całej korespondencji, jaką pozostawił, znajduje się tylko jedna wzmianka o Los Alamos: w telegramie wojskowego dowódcy generała Lesliego Grovesa, który stanowczo przypominał Blochowi, że także po wojnie zachowanie tajemnicy nie traci mocy. Możliwe, że z tego powodu Felix nie wypowiadał się na ten temat również w gronie rodzinnym. Jego dzieci i wnuki nie przypominają sobie, żeby kiedykolwiek o tym mówił, a publicznie, o ile wiadomo, wypowiedział się tylko raz.

Otóż pojechał do Los Alamos wyłącznie z jednego powodu, jak oznajmił historykowi nauki Charlesowi Weinerowi piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku w swoim biurze w Instytucie Fizyki na

Uniwersytecie Stanforda: ponieważ obawiał się, że Niemcy skonstruują bombę przed nimi. Kiedy potem okazało się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa tak się nie stanie, pożegnał się, co rozeźliło niektórych jego przyjaciół, zwłaszcza Oppenheimera.

W dniu wyjazdu Lore i Felixa Blochów generał Groves odwiedził ich w apartamentowcu T124 i przypomniał o obowiązku dochowania tajemnicy. Potem przyszedł ich sąsiad Edward Teller i zaproponował, że podwiezie ich swoim prywatnym samochodem na stację kolejową w Lamy. W momencie pożegnania, gdy walizki umieszczono w bagażniku auta Tellera, a bliźniaki siedziały na tylnym siedzeniu, Oppenheimera nie było. A kiedy Felix Bloch poszedł go poszukać, nie dało się go odnaleźć w całym Los Alamos.

Jazda do Lamy trwała dwie i pół godziny. Rozmawiano o końskim mięsie, Orsonie Wellesie i węgierskim czerwonym winie. Nie było nic do omówienia. Pożegnanie na dworcu trwało krótko. Pociąg miał wkrótce odjechać, a Tellera czekała długa droga powrotna. Wieczorem był umówiony na pokera z Oppenheimerem.

*

Nazajutrz po osadzeniu w więzieniu Regina Coeli Laura d'Oriano została przesłuchana przez urzędników tajnej policji Ova. Według protokołu z początku wypierała się działalności szpiegowskiej, twierdząc, że przyjechała do Włoch tylko dlatego, iż chciała odwiedzić w Rzymie chorą matkę, której nie widziała od lat; na potajemne przekroczenie granicy przez Col de Montgénévre zdecydowała się zaś dlatego, że włoskie władze odmówiły jej wizy wjazdowej.

Potem jednak policjanci pokazali jej własnoręcznie przez nią napisane listy, na których po zbrązowieniu żelazkiem pojawiły się tajne wiadomości, a wtedy Laura d'Oriano złożyła obszernie zeznania.

Na początku kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku przeniesiono ją do więzienia sądowego w Turynie i tam przesłuchano ponownie. W grudniu wróciła do Rzymu. W sumie przebywała w więzieniach rok i trzy tygodnie. Był to okres, kiedy państwa Osi dostawały się pod coraz większy nacisk wojskowy, reżim musiał więc pokazać siłę w polityce wewnętrznej.

Proces karny przeciwko Laurze d'Oriano przed rzymskim sądem wojskowym zaczął się w niedzielę, piętnastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku o godzinie ósmej trzydzieści rano, orzeczenie o winie przewodniczący składu sędziowskiego Antonino Tringali Casanuova wygłosił jeszcze tego samego dnia. Wyrok brzmiał: śmierć przez rozstrzelanie.

Niezwłocznie po ogłoszeniu wyroku przewieziono ją wozem sądowym do twierdzy Bravetta na zachodnim skraju miasta. Następnego ranka o godzinie szóstej piętnaście do jej celi przyszedł duchowny i wyspowiadał ją. Strażnik

przyniósł jej śniadanie, poprzedniego wieczora zamówiła kawę z mlekiem i brioszkę. Następnie wyprowadzono Laurę d’Oriano na plac ćwiczeń. Dowódca plutonu egzekucyjnego odczytał wyrok, który został wykonany o godzinie siódmej siedem.

*

Niespodziewana śmierć Emile’a Gilliérona wpędziła jego rodzinę w kłopoty finansowe. Ciotki i szwagierki wyprowadziły się, młodsze dzieci znalazły schronienie u swoich chrzestnych. Przy ulicy Skoufa pozostali jedynie pierworodny syn Alfred i jego matka, która nadal malowała obrazy Akropolu i próbowała je sprzedać. Gdy pod koniec października tysiąc dziewięćset czterdziestego roku wojska włoskie wkroczyły do północnej Grecji, Ernesta, która była z urodzenia Włoszką, musiała opuścić Ateny. Przeniosła się z Alfredem do Włoch i w pierwszym okresie zatrzymała u krewnych w Neapolu; potem oboje przeprowadzili się do Rzymu, gdzie Alfred uczył się zawodu kamieniarza i rzeźbiarza w kamieniu. Wydaje się mało prawdopodobne, ale nie można wykluczyć, że nieświadomie napotkał tam Laurę d’Oriano, kiedy ta odwiedziła matkę w Rzymie na Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

Gdy Ernesta i Alfred Gilliéronowie wrócili do Aten w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, zastali swój dom przy ulicy Skoufa gęsto zaludniony uchodźcami wojennymi ze wszystkich krajów; musieli go odzyskiwać pokój po pokoju. Po wojnie Alfred kontynuował tradycję rodzinną, produkując kopie minojskie dla zamożnych turystów. Nie udało mu się jednak nawiązać na nowo współpracy z Wirtemberską Fabryką Wyrobów Metalowych, ponieważ podczas wojny przepadły gdzieś wszystkie formy. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku ożenił się z Łotyszką o nazwisku Rosentreter, w dzień noworoczny tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego przyszedł na świat jego jedyny syn, którego na cześć ojca i dziadka kazał ochrzcić imieniem Emile. W połowie lat sześćdziesiątych przy ulicy Skoufa wystrzeliły w niebo nowoczesne budynki z betonu i stali i niebawem zasłoniły piękny widok na Akropol. Alfred Gilliéron kazał więc zburzyć stary dom i wznieść nowoczesny, sześciopiętrowy dom wielorodzinny, którego dwie najwyższe kondygnacje zajął on sam z rodziną. Jego syn Emile III studiował chemię i nadal mieszka ze swoją matką przy ulicy Skoufa. Mieszkanie jest bogato ozdobione dziełami ojca, dziadka i pradziadka, a w salonie wisi obraz olejny jego babki Ernesty, przedstawiający Akropol o zachodzie słońca.

*

Po opuszczeniu Los Alamos Felix Bloch trafił na Uniwersytet Harvarda w Cambridge i zaangażował się w projekt radarowy, który w decydującej mierze

przyczynił się do zwycięstwa aliantów nad państwami Osi. W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku wrócił na Uniwersytet Stanforda i podjął na nowo działalność pedagogiczną. W pracy badawczej koncentrował się w dalszym ciągu na magnetyzmie neutronów. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku za odkrycie indukcji jądrowej, nowej metody pomiaru momentu magnetycznego jąder atomowych, otrzymał Nagrodę Nobla z fizyki. Od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego kierował Europejską Organizacją Badań Jądrowych Cern w Genewie.

Indukcja jądrowa prowadziła prostą drogą do tomografii rezonansu magnetycznego, która zrewolucjonizowała diagnostykę medyczną w ostatnich dziesięcioleciach dwudziestego wieku. Dlatego bez przesady można powiedzieć, że dzieło życia Felixa Blocha uratowało życie znacznie większej liczbie ludzi, niż bomba atomowa kiedykolwiek zdołała unicestwić.

*

Laura d’Oriano była jedyną kobietą w dziejach Królestwa Włoch, która została skazana na śmierć i stracona. Pochowano ją w anonimowym grobie, który po wojnie odszukał jej ojciec Policarpo. Kazał pogrzebać córkę na rzymskim cmentarzu Verano, na którym spoczywają także Giuseppe Garibaldi, Natalia Ginzburg i Sergio Leone. A kiedy on sam zmarł ósmego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, jego zwłoki również złożono obok niej na wieczny spoczynek.

Emil Fraunholz do samej śmierci w dniu dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku nie wspominał słowem o żonie, z którą nigdy się oficjalnie nie rozwiódł. Obu córkom nie pozwalał wymawiać jej imienia. Młodsza, Anna, występowała w latach pięćdziesiątych pod pseudonimem Laura jako śpiewaczka, nie wiedząc, że jej matka i babka też śpiewały. Jednak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku odszukała w Rzymie swojego dziadka Policarpa, od którego dowiedziała się, że jej matka była agentką wywiadu.

Koniec

